

blaski  cienie

Irena Matuszkiewicz Odkurzenie firmamentu

 mg



Sabina sprząta firmament niebieski, a mówiąc prosię, mieszkała gwiazd. Wcześniej jej życie było bardzo barwne. Córka znanego jublera i nieza sportsmenka, wychowywała się, jak na prelewiwskie rzęsy w luksusie. Kiedy zaczął się czas przemian, Sabina odwiera ze współnikiem kawalek, wchodzi w szermiane interesy, a wreszcie pije. Akcja książki rozgrywa się w ciągu dwóch, przełomowych dni bohaterki, tygodni 2008 roku, kiedy została jej do spłacenia ostatnia rata bankowa i piętnaście tysięcy w różnych kasach udzielających pożyczek na dowód osobisty. Od pamiętnej piąty minęło dwanaście lat. Przyszłość jednak lubi powracać. Sabina natyka się na dawnego partnera, który najwyższej omotał kolegą owie. Czy kobiety dadzą sobie radę z nieuczynym oszustem?

RENA MAŁUŻKIEWICZ

W wieku lat pięciu nauczyła się stawiać lenki, w wieku lat dwudziestu siedmiu, już jako doświadczeni, zaczęła zakochać na życie pianinem, a osem lat temu, kiedy wślówie nic nie musiała, rozstrakowała się w planu dla przyjemności. Wydała osem powieści: „Agenci Zimnych Serce”, „Dziś nie tylko miłość”, „Dziewczyny do wzięcia”, „Salonowe życie”, „Nie żałuj piątków”, „Przekup, zakłep!” oraz, całkiem niedawno: „Przebudzenie”. Flakry na najbliższą przyszłość ma bardzo ambitne, chociaż serho planowane traktuje jak stawiane znaków na wodzie. Skoro już jest zapiską, tylko oprymko wierz, że wyszło im się udi. Ale ona jest oprymko, i to niepoprawna, jest też mamą, seklową podobno doświadczeni i białej szlachy chłopaków i dziewczynki. Najbardziej na świecie lubi ludzi, choć od niektórych woli dobre książki i piękne opisy. Za to nie lubi pyton o drogę urodzenia. Odpowiada wtedy: to było dość dziwne. I co z tego?

ISBN 978-83-61297-09-3



www.wydawnictwomg.pl
matuzkiewicz@interia.pl

Cena 29,90 zł

mg



Irena
Matuszkiewicz
Odkurzenie
firmamentu

ing

Copyright © 2009, Irena Matuszkiewicz

ISBN: 978-83-61297-09-3

Projekt okładki: Maciej Sadowski

Skład i łamanie: Dariusz Pudo

Wydawca: Wydawnictwo MG

Warszawa 134, skr. pocztowa 51

PKiN, Pl. Defilad 1

00-901 Warszawa

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

Drukarnia Naukowo Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej S.A.

03-828 Warszawa

Książkę wydrukowano na papierze

Ecco-Book 60 g/m² V-2,0

Dostarczonym przez

MAP Polska Sp. z o.o.

Bronisze, ul. Piastowska 38

05-850 Ożarów Mazowiecki

map

www.mappolska.pl Infolinia 0801687

Dystrybucja: Grupa A5 sp. z o.o.

92-101 Łódź, ul. Krokusowa 1-3

tel./fax: (042) 676 49 29

e-mail: handlowy@grupaA5.com.pl

Fabula tej książki i występujący w niej bohaterowie to fikcja literacka.

Poniedziałek rano

W poniedziałki o jedenastej rano Sabina wysiadała przy Jana Pawła II i biegła na Nowolipki. Swój pracowity tydzień zaczynała od wizyty u Wielkiej Zapomnianej Artystki. Słowo wizyta może niezbyt dokładnie oddaje charakter cotygodniowych spotkań, bo o ile Wielka Zapomniana Artystka starała się w poniedziałki wyglądać odświętnie, a więc narzucała na ramiona jakieś zwiewne szale, które przy okazji wietrzyła, o tyle Sabina wiozła do przebrania stare sztruksy i powyciąganą bluzkę. W drodze na piętro opróżniła skrytkę pocztową z reklam. Wielka Zapomniana Artystka nie czytywała reklam. Nie interesowały jej korzystne pożyczki w bankach, wczasy w Tunezji ani przecenione pomidory w supermarkecie, żyła wspomnieniami i nadzieją na drobną choćby rolę w wielkim dramacie. Kiedyś była znakomitą Lady Makbet, teraz z ochotą poleżałaby na katafalku w roli Eugenii, czyli „osoby na razie zwanej babcią”. Pukając do drzwi klatki, Sabina wiedziała, że nie ominie jej monolog o wielkiej sztuce. Nie miała nic przeciwko monologom, chociaż przez rok nasłuchiwała się ich do syta, a nawet wypracowała niezły sposób na pozorne słuchanie. Patrzyła rozumnie, kiwała głową, ale myślała o swoich sprawach.

Klatka, jak to klatka, miała zaledwie dziewiętnaście metrów kwadratowych, za to drzwi prowadziły do niej solidne, wzmocnione metalem, opatrzone dwoma zamkami i grubym łańcuchem. Te drzwi pierwszorzędnie strzegły zdjęć, bibelotów i recenzji prasowych, a przy okazji także właścicielki owych pamiątek.

- Kto tam? - pytał dźwięczny głos, nie bardzo pasujący do mizernego szurania kapci za progiem.

- To ja, Sabina.

- Aby na pewno?

Nogi wciąż szurały, ręka manipulowała przy judaszu, żeby możliwie najsprawniej oderwać przylepiec, który zastępował urwaną klapkę. Chwilę trwało lustrowanie.

- Pani Sabina, faktycznie, a ja myślałam, że listonosz.

Tym razem w dzwięcznym głosie pobrzmiwała nutka zawodu, całkiem jakby pojawienie się Sabiny odbierało listonoszowi prawo zapukania do klatki oznaczonej w spisie lokatorów numerem pięć.

Drzwi wreszcie ustępowały. Wielka Zapomniana Artystka cofała się kilka kroków, by zrobić miejsce Sabinie. W wąziutkim przedpokoju dwie osoby nie mogły się wyminąć żadną miarą. Ktoś kiedyś tak to sprytnie wymyślił i zaprojektował, że jedną małą klatkę podzielił na kilka jeszcze mniejszych. Pomieszczenie o szerokości drzwi mieściło jakimś cudem wnękę kuchenną i dodatkowo dwa wejścia do następnych klateczek. Na lewo wchodziło się do pokoju, na prawo do łazienki nieco tylko większej od męskiej chustki do nosa.

- Pięknie pani wygląda - mówiła Sabina, ściągając w przedpokoju wyjściowe dzinsy.

Nigdy nie pomijała milczeniem zwiewnych szali ani naszyjników. Widziała też puder i róż na policzkach. Wielka Zapomniana Artystka kwitowała komplementy lekkim uśmiechem, jakby chciała powiedzieć, że to przecież nic wielkiego, że kobieta powinna wyglądać elegancko nawet wówczas, kiedy siedzi sama w domu.

- Jestem zmęczona - odpowiadała niezmiennie. - Moi goście wczoraj trochę się zasiedzieli. Wie pani, jak to jest: przy herbatce i miłej rozmowie nikt nie patrzy na zegarek. Trzeba się spotykać z ludźmi, żeby nie zdziczeć. Czasem z tych spotkań wynika coś bardzo zaskakującego. Czy pani uwierzy, że zaproponowano mi powrót na scenę?

- To cudownie! - wykrzykiwała Sabina. - Powinna pani wrócić.

- Też tak uważam. Ćwika trzymała się sceny do dziewięćdziesiątki, a mnie jeszcze osiemdziesiątka nie stuknęła, więc czemu miałabym nie wrócić? Zatańczyć nie zatańczę, amantki nie zagram, natomiast mogę zagrać w karty. „Cztery piki skurczybyki!” - tak się powinna zaczynać moja rola. Mówiono mi wczoraj, że są przymiarki do nowego wystawienia Tanga i że jestem poważnie brana pod uwagę. Co prawda grywałam w wielkich tragediach, ale z groteską też sobie poradzę. Jak ja podam tekst, to nawet głuchy w ostatnim rządzie usłyszy i zrozumie.

Co do tego nie było wątpliwości. Wielka Zapomniana Artystka wypowiadała każde słowo tak, jakby je pieściła, a więc z uczuciem, z odpowiednią intonacją i bardzo wyraźnie. Nikt inny tak nie mówił. Niestety, Sabina nie przychodziła do klatki, by delektować się brzmieniem głosu, nawet jeśli ten głos należał do niegdysiejszej sławy polskiej sceny.

- To cudownie! - powtarzała z lekkim roztargnieniem, a jej wzrok błędził w poszukiwaniu wiaderka i ścierki.

- Tak, tak, niech pani robi swoje, porozmawiamy potem przy herbatce - mówiła Wielka Zapomniana Artystka i znikała w pokoju.

Szelest przewracanych kartek i ciche mruczando to był znak, że poważnie potraktowała możliwość powrotu na scenę. Rola babki Eugenii przesładowała ją od dłuższego czasu.

Sabina zaczynała porządki od wnęki kuchennej, gdzie w zlewie czekały na umycie naczynia z całego tygodnia: nierdzewne sztucce, grube ciemne szklanki i brzydkie siwe talerzyki, miejscami wyszczerbione. Gdyby pojawili się goście, tacy prawdziwi i warci zachodu, Wielka Zapomniana Artystka na pewno sięgnęłaby do biblioteczeki po odświeżone filiżanki z cienkiej porcelany. Porcelana to byłby niezbity, a przy braku szczęścia może nawet zbity dowód na obecność kogoś obcego w domu. Od wiosny filiżanki tkwiły spokojnie na półce, tuż obok niekompletnych dzieł Szekspira, wszystkie zwrócone uszkami w prawo, dokładnie tak, jak zostały ustawione w czasie generalnych porządków. Skrobiając talerzyki z zaschniętych resztek jedzenia, myjąc je i wycierając do sucha, Sabina niezmiennie myślała o gościach, którzy mogliby przyjść w odwiedziny, lecz z jakichś powodów nie przychodzili. Może było im nie po drodze, może osiedli w raj, a może zwyczajnie, po ludzku, przestali pamiętać, że Wielka Artystka, choć zapomniana, wciąż jeszcze żyje. Zmieniła mieszkanie, żeby mniej płacić za czynsz, przestała się pokazywać w mieście, bo nogi nie chciały jej nosić, jednak z całą pewnością żyła.

Po wnęce kuchennej przychodziła kolej na łazienkę. W łazience Sabina myślała o poprzednim właścicielu klatki. Było to myślenie ciepłe i

przyjazne, na które ów nieznajomy człowiek zasłużył sobie jednym, jakże mądrym posunięciem: wyrzucił wanienkę, taką wysoką, przystosowaną do siedzenia, i zastąpił ją kabiną z prysznicem. Do kabiny przynajmniej dało się normalnie wejść, w przeciwieństwie do wanienki. O wanience Sabina miała zdanie jak najgorsze i każdego wieczoru słała niewybredne uwagi pod adresem tego, kto ją wymyślił. Sabina też mieszkała w klatce, tylko u niej pokój był na prawo, łazienka na lewo, co nie stanowiło istotnej różnicy. Klatka była klatką bez względu na rozkład mniejszych klateczek.

Najwięcej pracy wymagał pokój, w którym Wielka Zapomniana Artystka zgromadziła wszystko to, z czego nie chciała i nie mogła już zrezygnować. Na czternastu metrach kwadratowych pomieściła dziewiętnastowieczny sekretarzyk ze złotego orzecha odziedziczony po matce, dwudrzwiowa szafę oraz biblioteczkę z rustykalnego dębu, z tak zwaną rzeźbioną górką, niewielki stolik i cztery krzesła podobno w stylu chippendale oraz bardzo współczesny, jednoosobowy tapczan z szufladą na pościel. W szufladzie trzymała ubrania, które nie mieściły się w szafie, pościel natomiast zostawiała na wierzchu przykrytą wielkim szalem. Było to i wygodne, i praktyczne. W samym rogu stał jeszcze czarny stolik, tak współczesny, że nie pasował ani do mebli, ani do właścicielki mieszkania, ale gdzieś trzeba było wcisnąć telewizor. Jednak to nie meble, choć ciasno upchane, sprawiały wrażenie natłoku rzeczy, tylko ściany. Na podłodze pozostało troszkę wolnej przestrzeni, na ścianach już nie. Ze zdjęć oprawionych w ozdobne ramki patrzyła Artystka z czasów, gdy była Wielką i nie dopuszczała do siebie myśli, że jej sława przebrzmi. Władcze spojrzenie, mars na czole i odrobina goryczy w kącikach ust. Artystki dramatyczne, zwłaszcza tragiczki, rzadko mają okazję do śmiechu, tchną powagą i dostojnością, całkiem jak ich role. Jeżeli nawet przed wielu laty nie była skończoną piękną, to na pewno była interesującą kobietą. Czas odebrał twarzy urodę i świeżość, zostawił dostojność, które z upływem lat bardziej zaczęło przypominać napuszenie niż powagę. Nadmierna tusza rozmyła rysy i choć oszczędziła twarzy zmarszczek, to dołożyła trzy podbródki. Sabina nieraz się zastanawiała, jak można żyć w muzeum sztuki. Wokół piękne zdjęcia, a w szafie ukryte lustro, kryształowe i szczerze aż do przesady.

Na ścianach, między zdjęciami, wisiały rekwizyty przypisane do konkretnych ról: wachlarz królowej, czepok wdowi, jakieś rajery i kar-neciki, a między tym wszystkim półeczki zastawione drzewkami szczę-ścia, figurkami z porcelany oraz drobiazgami, które kiedyś znaczyły bardzo wiele: muszla od pierwszego mężczyzny życia, posążek z jaspisu od drugiego, coś tam od trzeciego. Artystka, kiedy jeszcze była tylko Wielką, nie kolekcjonowała mężczyzn, nie chciała sobie po kobiecemu układać życia, bo sprzedawała duszę teatrowi, temu najbardziej zaborczemu z kochanków. Powtarzała, że niczego nie żałuje, jednak widać było, że mijała się z prawdą. Wciąż pytała, czy Sabina odwiedza matkę, czyjej pomaga. Interesowały ją wyłącznie relacje matka-córka, żadne inne. Czasem z grzeczności zapytała o męża i syna Sabiny, przy czym odpowiedź zwykle puszczała mimo uszu. Z kolei Sabina niewiele miała do powiedzenia o matce. Nawet gdyby chciała, to ta historia nie zado-woliłaby Wielkiej Zapomnianej Artystki, która oczekiwała czegoś w rodzaju idylli.

W dużym pokoju Sabina zaczynała porządki od ścian. Przecierała ramki i szkła, strzepywała kurz z razerów i pozostałych pamiątek. Zaw-sze przy tym chciała otwierać okno i wietrzyć.

- Jeszcze mi potrzebne zapalenie płuc - mawiała zwykle Wielka Za-pomniana Artystka. Tym razem dodała coś więcej, nie tyle z Mrożka, ile od siebie. - Nie może mi pani powiedzieć: „Leżeć!”, jak Artur babce, bo tu nie ma katafalku, a łóżko się nie liczy. Pani mogłaby skazać mnie na sedes. Niech pani rozkaże: „Siedzieć!”, to pójdę. Opuszczę klapę i znowu zasiądę na tronie.

Sabinie umknęła ironia zawarta w ostatnich słowach. Pomyślała, że ona nie jest tu od rozkazywania. Uśmiechnęła się po swojemu, trochę krzywo, trochę nieśmiało i dalej omiatała kurze przy zamkniętym oknie. Kłopot ze sprzątnięciem pokoju polegał na tym, że Wielka Zapomniana Artystka nie miała gdzie wyjść na czas mycia podłogi. Przesia-dała się więc z krzesła na krzesło i to wszystko. Gdzie niby miała się podziać, jeśli nie opuszczała klatki od trzech lat. Kiedy zamieniała mieszkanie, pierwsze piętro po trzecim wydawało się błogosławień-stwem. Minęło trochę czasu i to pierwsze też stało się niedostępne naszym Himalaje.

- Jestem bardzo ciekawa - powtarzała Sabina - jak mieszkał ten mądry, co pomylił życie ze spaniem. Spać od biedy tu można, ale żyć w takiej klatce się nie da. To barbarzyństwo...

Nie kończyła, gryzła się w język, bo za każdym razem chciała dodać, że barbarzyństwem jest skazywanie ludzi starych na życie w klatce. Uwaga, choć szczerza, byłaby mocno nietaktowna. Kto wie, czy Wielka Zapomniana Artystka nie odgadrywała intencji Sabiny, bo wpadała jej w słowo.

- „Miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny...” - powiedział biskup Krasicki. Zełgał, bo nigdy nie mieszkał w ciasnym domku, jednak kłamstwem też nie zgrzeszył. Własny kąt jest najważniejszy. Ja nie narzekam, cieszę się, że nie muszę tkwić w jakimś domu opieki. Jeden pokój i dwie, trzy obce, stare kobiety. Br. Mój dramat polega nie na wielkości mieszkania, tylko na stosunku państwa do sztuki. Występowałam dużo, byłam noszona na rękach i nie zachowały się żadne nagrania z tamtych czasów. To bardzo smutne, że ani jednego spektaklu nie można pokazać w telewizji.

Sabina raz tylko odważyła się spytać, czy w latach pięćdziesiątych nagrywano już spektakle i Wielka Zapomniana Artystka bardzo się zdenerwowała.

- Nie wiem czy wszystkie, ale te najlepsze na pewno! - wykrzyknęła z oburzeniem. - Ktoś nagrania zawieruszył, winnego nie ma, pieniędzy z tantiem też nie ma i artyści klepią biedę. Kiedyś w teatrze nie pracowało się dla pieniędzy, jeno dla sztuki. Opamiętanie przyszło na emeryturze... Ale i tak niczego nie żałuję.

Poprawiała się w krześle i zaczynała opowieść o magii teatru, Sabina zaś na kolanach przecierała podłogę. Można powiedzieć: tu sacrum, a tu profanum.

Odkąd Sabina zaczęła bywać u Wielkiej Zapomnianej Artystki regularnie raz w tygodniu, nie musiała już wrywać sobie rękawów. Po roku starań, drobnych napraw i różnych babskich zapobiegliwości, klatka zaczęła wyglądać jak mieszkanie i w niczym nie przypominała stajni Augiasza. Sabina nie była mocna w mitologii, o stajni Augiasza powiedziała jej pani Magda, bardzo daleka i jedyna kuzynka Wielkiej Zapomnianej Artystki. To ona płaciła Sabinie za sprzątanie, bo zależało jej, czego nie ukrywała, na odziedziczeniu klatki. Dwie godziny pracy teraz i dwie przed rokiem to całkiem nie to samo. Teraz wystarczyło

przetrzeć podłogę szmatką zwilżoną płynem do parkietów, przed rokiem trzeba było ten parkiet skrobać klepka po klepce. Teraz porządkowało się wnękę kuchenną, przed rokiem trzeba ją było co tydzień szorować, żeby przestała cuchnąć. I tak było ze wszystkim. Powoli Sabina uprała i uprasowała to, co w szafie i w tapczanie, domyła okna, doczyściła zdjęcia i ramy, wygłaskała każdy kąt. Podarowała nawet Wielkiej Zapomnianej Artystce afrykański fiołek w doniczce, bo pokój bez jednego kwiatka wydawał jej się smutny. Był to chybiony prezent. Artystka kochała wyłącznie cięte kwiaty od wielbicieli, do doniczkowych brakowało jej serca, a do sprzątanania zdrowia i sił.

Na samym końcu Sabina zajmowała się przedpokojem.

- Tylko niech pani nie ściąga przylepca z judasza! - przypominała Wielka Zapomniana Artystka. - Nie chcę, żeby mi ktoś z zewnątrz zaglądał do mieszkania.

- Z zewnątrz nic nie zobaczy - prostowała Sabina.

- Nie jestem taka pewna. Jak zechce, to na pewno zobaczy, choćby światło.

Przylepiec na judaszu wisiał jeszcze przed pojawieniem się Sabiny. Nie ten sam, oczywiście, bo co jakiś czas trzeba go było wymienić na czysty. Wielka Zapomniana Artystka manipulowała przy nim z upodobaniem, wyobrażając sobie, że judasz jest dziurką w kurtynie. W każdej teatralnej kurtynie było wiele dziurek, przez które artyści podglądali widownię, zanim przed nią stanęli. Mówili: „Będzie ciężko, same wycieczki. Kanapki jedzą, pociągają z butelek, pół biedy jeśli tylko herbatę”. Albo mówili inaczej: „Eleganckie towarzystwo, perły, szale, widać przedwojenną klasę, powinno być niezłe”. Mieli wycucie, rzadko mylili się w ocenach, patrząc na prawdziwą widownię. A co próbowała zobaczyć Wielka Zapomniana Artystka, wyglądając na niezbyt czysty korytarz? Może kawałek cudzego życia, a może po prostu przechodzącego człowieka. Ludzie zbiegali ze schodów, wspinali się mozolnie na wyższe piętra, gonieni własnymi sprawami, o których ona nie miała pojęcia, podobnie jak oni nie mieli pojęcia o jej istnieniu.

W przedpokoju nie było wiele pracy, bo kto niby miał nanieść błota czy kurzu. Na podłodze widniało trochę rozdeptanych plam po wodzie

i rozlanej herbacie, trochę okruszków, i to wszystko. Wystarczyło parę razy przejechać wilgotną ścierką, potem odkurzyć zdjęcia na ścianach i można było wziąć się do sprzątanania po sprzątaniu, czyli uprać ścierkę i upchnąć wiaderko w łazience. Ledwie Sabina zdążyła się przebrać, Wielka Zapomniana Artystka ogłaszała wspólne picie herbaty. To był rytuał, od którego nie dało się wykręcić.

- Wy, młodzi, próbujecie prześcignąć czas, wciąż tylko w biegu i w biegu - mówiła z naganą w głosie. - Nie można żyć wyłącznie przyjemną pracą, trzeba też zrobić coś dla ducha.

Sabina ustępowała, choć nie płacono jej za rozwój duchowy, tylko za sprzątanie, a więc za pracę czysto fizyczną. Mówiła, że kwadrans jest w stanie poświęcić i szła do przedpokoju, by zaparzyć w imbryczku herbatę, dość podłą w smaku, za to względnie taną. Potem wspólnie sączyły płyn z grubych szklanek, siedząc w czystym pokoju, przy stole nakrytym serwetą z kordonku.

- Och, pani Sabino, szkoda, że nie widziała pani, kto u mnie bywał na herbacie w Alejach! - wdychała Wielka Zapomniana Artystka.

Wdychała na wyrost. W latach pięćdziesiątych, kiedy ona mieszkała w Alejach, Sabiny jeszcze nie, było na świecie, a i mody na gosposie też nie było. Zresztą czy młoda Wielka Artystka chciałaby pić herbatę ze swoją gosposią? Co innego Wielka i Zapomniana. O, ta chwytala się każdej okazji, by dać upust wspomnieniom oraz wygłosić kilka uwag o wpływie teatru na rozwój duchowy człowieka. Sabina była słuchaczem nad wyraz cierpliwym i małowómnym. O co miała spytać, spytała wcześniej, teraz kiwała tylko głową.

Pierwsza perorowała ze swadą, pięknie modulując głos:

- ...świątynia sztuki, przybytek muz, miejsce, gdzie człowiek doświadcza się prawdy o mrokach swojej duszy... Cudowna polszczyzna podana w sposób najlepszy z możliwych...

- ... mrożone pierogi, kawałek słoniny, kawałek pasztetowej, chleb... dziesięć złotych powinno wystarczyć. W lumpeksie mają dziś nową dostawę... Potem wracam do domu, sprawdzić, czy Bolek żyje - mówiła druga, tyle że bezgłośnie.

Po piętnastu minutach takiej rozmowy Sabina gwałtownie się podrywała i biegła oplukać szklanki. Wielka Zapomniana Artystka nie umiała

ukryć rozczarowania. Miała jeszcze dużo do powiedzenia, choćby o postępującym schamieniu języka widocznym w telewizorze, o żalonym braku wartościowych sztuk i upadku teatru telewizji. Oczywiście wolałaby dzielić swoje przemyślenia z kimś, kto przynajmniej raz na pół roku odwiedzał świątynię muz i znał się na prawdziwej sztuce, niż, mówiąc językiem biblijnym, rzucać perły przed wieprze. Idąc za Sabiną do przedpokoju, za każdym razem myślała sobie o perłach i wieprzach, jednak przed drzwiami kapitulowała.

- Może wpadłaby pani któregoś dnia na herbatkę? Tak zwyczajnie, towarzysko, bez konieczności sprzątania - mówiła z nadzieją w głosie.

Sabina uśmiechała się przepraszająco, napomykała coś o wielkim zaszczyście i chronicznym braku czasu. Jej tydzień był z góry zaplanowany co do minuty.

- Myślałam, że czwartki ma pani wolne?

- Niezupełnie wolne - sprostowała Sabina.

Tym razem Wielka Zapomniana Artystka naprawdę się zmartwiła. Dotknęła dłonią czoła, niczym osoba mocno zafrasowana, która coś niechcący pokręciła.

- Powiedziałam Magdzie, że wolne, a ona podobno kogoś pani znalazła. Cóż, skoro zajęte, nie ma o czym mówić.

- Zadzwoń do pani Magdy - obiecała Sabina z nagłym ożywieniem, które nie spodobało się rozmówczyni.

- Ależ pani jest pazerna na tę brudną, szarą robotę - powiedziała z niechęcią. - I po co to pani? Mąż w sile wieku, syn dorosły, najwyższa pora zająć się sobą. Wciąż pani nie lubi teatru?

- Bardzo lubię - mruknęła Sabina, majstrując przy łańcuchu na drzwiach.

Tylko raz, na samym początku, odważyła się zgrzeszyć prawdomównością i o mały włos nie doprowadziła Wielkiej Zapomnianej Artystki do omdlenia. Potem bardzo uważała, by ani słowem nie zdradzić swojego uwielbienia dla filmowych romansów i seriali telewizyjnych. Nie przestała ich oglądać, przestała tylko przyznawać się do oglądania, żeby przez głupią szczerłość nie stracić dwu poniedziałkowych godzin, co w przeliczeniu na pieniądze dawało aż trzydzieści złotych. Jeżeli ktoś, tak jak ona, pracował na czarno, mógł liczyć wyłącznie na siebie i na pocztę pantoflową, czyli na to, że jedna pani drugiej

pani, o ile się lubiły, udostępni telefon swojej sprawdzonej gosposi. Dzięki takim właśnie telefonom Sabina przez cały tydzień obracała się wyłącznie w kręgach artystycznych.

- Cóż, ja też się kiedyś nie oszczędzałam - mówiła na pożegnanie Wielka Zapomniana Artystka. - Pracowałam dla sztuki i żyłam sztuką.

I co ci, kobieto, z tej twojej sztuki przyszło? - myślała Sabina, zbiegając ze schodów. Odpowiedź znajdowała bardzo szybko, już na parterze. Dokładnie tyle samo, co mnie z zaczętych studiów i pięciu lat królowania na barowym stołku, mamrotała, siłując się z drzwiami wyjściowymi.

Poniedziałek po południu

Bolek od kilku dni zajęty był umieraniem. Leżał na tapczanie, patrzył w sufit i wydawało się, że nie interesuje go nic, co dzieje się wokół, nawet powrót żony, chociaż ona wcale nie zachowywała się cicho. Rzuciła na podłogę najpierw jeden kozaczek, potem drugi i zaklęła głośno, kiedy kurtka spadła z wieszaka. Gdyby Bolek rzeczywiście umarł, zapewne nie przeszkadzałoby mu to szarogęszenie się Sabiny w przedpokoju, jednak on żył. Oddychał, mrugał oczami, a nawet nieco wcześniej zdążył opróżnić lodówkę z trzech parówek. Nikt obłożnie chory nie zjada trzech parówek tuż przed śmiercią. Kłopot z Bolekiem polegał na tym, że jego apetyt nie przekładał się na energię życiową. Kiedy wpadał w apatię, energii wystarczało mu jedynie na czynności fizjologiczne. Oddychał, jadł, wydalal, czasem się podrapał, ale już o goleniu czy myciu ani mu było wspomnieć. Leżał na tapczanie i czekał na śmierć, która szła do niego od lat dwudziestu czterech, powoli, lecz nieubłaganie. Wyrok, opatrzony lekarskimi pieczęciami, przechowywał do tej pory i znał na pamięć, łącznie z łacińską formułką oraz polskim tłumaczeniem. Zaawansowany rak trzustki, nieuleczalny, a więc skazujący na niebyt. Był chyba jedynym człowiekiem na świecie, który od dwudziestu czterech lat umierał na zaawansowanego raka trzustki. Trzeba przyznać, że nie umierał ciągle, tylko z przerwami. Wcześniej te

przerwy były dłuższe, z upływem lat znacznie się skróciły.

Sabina, po powrocie z pracy, miała zwyczaj zaglądać do pokoju. Zaglądała bardziej z przyzwyczajenia niż ze strachu o męża. Leżał, patrzył w sufit i nie życzył sobie odpowiadać na ostre stwierdzenia typu: „Le-ków znowu nie wzięłeś!”, „W pośredniaku oczywiście nie byłeś!” Nie wziął, nie był, bo niby czemu miał rozpychać sobie wątrobę lekami czy ubiegać się o etat dozorca, jeżeli właśnie umierał. Wzruszała ramionami i znikala we wnęce kuchennej, gdzie szykowała coś w rodzaju skróconej wersji pośpiesznego obiadu. Tego dnia pokroiła i stopiła słoninę, ugotowała pierogi. Porcję dla siebie, porcję dla męża, chociaż wiedziała, że on nie ruszy nawet kęsa. Jak tylko nachodziło go umieranie, jadł w samotności prosto z lodówki. Do pokoju wniosła dwa talerze, oznajmiła, że obiad podano i usiadła przy stole. Po przełknięciu pierwszego pieroga spojrzała na tapczan z wyraźną niechęcią i zaraz potem wytoczyła zarzut najcięższego kalibru.

- Umyłbyś się wreszcie, bo cuchniesz!

Było to oskarżenie na wyrost. Bolek nie mył się zaledwie od trzech dni, więc jeszcze nie cuchnął, dopiero zaczynał. Poruszył się i odpowiedział zbolalym głosem.

- Rak to rozkład żywej tkanki.

Nie podjęła dyskusji, tylko otworzyła okno.

- Zamknij, do jasnej cholery, bo dostanę zapalenia płuc - powiedział nieco żywiej.

- Nie wszystko ci jedno, na co umrzesz? Chyba lepiej na świeże zapalenie płuc niż na przedawnionego raka! - w głosie Sabiny słychać było wyraźną irytację.

Zjadła pierogi, sprzątnęła po obiedzie i zaczęła szykować się do wyjścia. Biegała po mieszkaniu żwawo, bo czas ją gonił, ale do okna nawet nie podchodziła. Wiadomo było, że Bolek je zamknie, zanim ona zdąży zatrzasnąć drzwi. W pokoju zrobiło się rzeczywiście zimno. Porywisty wiatr wpadał jak do siebie i wymiatał z kątów wszystkie zapachy, przy okazji też resztki ciepła.

Była późna dżdżysta jesień, bodaj najbrzydsza pora roku. Sabina naciągnęła kaptur na głowę i ruszyła w ciemność. Nie miała daleko,

szła za ledwie do bloku naprzeciw. Przedpołudnia spędzała wśród ludzi sztuki, popołudniami i wieczorami sama tworzyła sztukę. Nic specjalnego: naszyjniki, bransoletki, kolczyki, tyle że z półszlachetnych kamieni i ze srebra. Czasem były to ozdoby bardzo ładne i pracochłonne, jak choćby kolie z maleńkich oliwinów. Kto nie miał w ręku sieczki z oliwinów, ten nie wie, że kamyczki nawleka się po omacku, bo dziurki są niewidoczne. W większych kamieniach może i są widoczne, jednak Sabina nie kupowała większych, bo były za drogie. Męczyła się z tymi maleńkimi, przeplatała je i wiązała, aż wreszcie kolia nabrała pożądanego kształtu, a ona poczucia, że stworzyła coś naprawdę ładnego. „Ty to masz pomysłu!” - zachwyciła się współpracowniczka, która pomysłu do artystycznej biżuterii nie miała, za to miała komputer i dwupokojowe mieszkanie do własnej dyspozycji. W wolnych chwilach coś tam nawlekała pod dyktando Sabiny, zwykle duże kamienie z wyraźną dziurką, jednak jej podstawowe obowiązki były zupełnie inne. Pilnowała aukcji na Allegro, fotografowała i opisywała wystawiane przedmioty, sprowadzała kamienie i dodatki, wreszcie pakowała i wysyłała towar do odbiorców. Pisywała też do nich zabawne liściki na kolorowych kartkach, które wkładała do przesyłek. Jeżeli chodzi o teksty na kartkach, a zwłaszcza o opisy aukcji, to w tej materii pomysłu współpracowniczki przekładał się na talent literacki. Im ozdoba wyszła skromniejsza, tym towarzyszący jej opis był bardziej kwiecisty. „Kolia z najczystszych granatów, bogata, a jednocześnie cudownie dyskretna, zainspirowana osiemnastowieczną sztuką dworską. Biżuteria godna prawdziwej damy, jedyny, niepowtarzalny egzemplarz” - wystukiwała bez zmruczenia oka, patrząc na trzy misternie splecione sznurki malutkich, nieregularnych kamyczków, zwanych sieczką. W nosie miała oczywistą prawdę, że kolie noszone przez damy dworu z całą pewnością nie składały się z sieczki, lecz z pięknych, fasetowanych kamieni. Sabina zachwyciła się opisami, ale jeszcze bardziej tym, że razem z współpracowniczką stanowiły znakomity tandem, który na Allegro występował jako sabi_wiol, czyli cztery literki od imienia Sabina, podkreślnik i cztery literki od imienia Wioletta. Wszystko dzieliły na pół, nie tylko nazwę firmy. Jedna drugiej nie wchodziła w parady i zamiast

niezdrowo rywalizować, wspaniale się uzupełniały. Jeśli czasem dochodziło do sprzeczek, to wyłącznie z powodu nadmiernej oszczędności Sabiny i rozrzutności współpracownicy. Pierwsza chciała kupować najtańsze kamienie i gotowa była zadowolić się posrebrzаныmi zapięciami, gdy tymczasem druga stawiała na jakość. Współniczka mogła sobie pozwolić na rozrzutność, żyła z renty, nie miała na utrzymaniu męża i nie musiała chwycić każdej roboty, która wpadła jej w ręce. Traktowała Allegro, jak odskocznnię od nudnej codzienności, a dopiero później jako możliwość dorobienia paru groszy. W przeciwieństwie do Sabiny, była kobietą wielką, taką w rozmiarze XXL, więc nie interesowały jej kamienie mniejsze niż przepiórcze jaja, lubiła też żywe soczyste kolory i odważne zestawienia, jednak nie wtrącała się do kwestii artystycznych. Natomiast do jakości miała zastrzeżenia, i to często.

Poniedziałkowe popołudnie zaczęło się od drobnej sprzeczki. Sabina nie zdążyła jeszcze ściągnąć kozaków w przedpokoju, kiedy Wiola zamachała jej przed nosem pulchnymi palcami w kształcie serdelków.

- O co chodzi? - zdziwiła się Sabina. - Mówiłam ci już w sobotę, że te tipsy wyglądają jak łopaty.

- Palce! Patrz na palce! - syknęła tamta.

- Odmroziłaś? - Sabina z niedowierzaniem gapiła się na amarantowe serdelki, wykończone wielkimi brokatowymi pazurami. Widok był wielce nieapetyczny.

- Od godziny piorę granaty. Uprzedzałam cię, że za połowę ceny kupisz najwyżej podrasowane gówno zamiast prawdziwych kamieni. Uparłaś się, to teraz zobacz!

- Tracą kolor? - spytała ze strachem Sabina.

- Brudziły już na sucho, wrzuciłam je do wody i sama widzisz: ręce zapaćkane, wanna zapaćkana, to chyba tracą kolor. Wciąż powtarzam, że musimy się trzymać sprawdzonych dostawców, ale ty wolisz się łąkomić na tanie barachło. Ładna mi dworska kolia, jedyna i niepowtarzalna, która zostawia na dekolcie czerwone pręgi. Już widzę te negatywy od posiniaczonych ofiar przemocy w rodzinie. Nie chcę kolejnych negatywów, rozumiesz? Dosyć się nagłówkowałam, żeby anulować trzy wcześniejsze. Trzeba to gówno odesłać i wystawić taki komentarz,

żeby facet zbladł razem ze swoimi kamieniami. Dzwoniłam do niego, przysięgał, że to najprawdziwsze brazylijskie granaty o wzmocnionym kolorze. Jak najprawdziwsze, to chyba kolor też miały prawdziwy, więc po cholerę go wzmacniał?

Sabina nie miała chęci odsyłać kamieni. Oglądała je na sicie, próbowała wycierać papierem toaletowym i kręciła głową z niedowierzaniem. Granaty niby zachowały kolor, jednak straciły połysk i wyglądały nieefekownie, żeby nie powiedzieć paskudnie. Pomyślała, że trzeba je będzie przepieścić srebrem, kilkakrotnie droższym od kamieni, co wyraźnie podniesie cenę i zmniejszy zarobek. Zawodowa przyzwoitość, niechby nawet odrobinę zachwiana, wykluczała jawne oszustwo. Wpadka była bolesna. Sama wynalazła dostawcę, więc teraz sama musiała przełknąć porażkę, i to w chwili bardzo nieodpowiedniej. Na porażki nie ma dobrych chwil, ta jednak wydawała się najgorsza z możliwych. Na Allegro zaczynał się przedświąteczny ruch, do którego sprzedawcy przygotowywali się od dawna. Konkurencja była ogromna, szła w dziesiątki tysięcy naszyjników i bransoletek, gdy tymczasem firma sabi_wiol nie miała czego wystawić. Trochę naszyjników rozeszło się wcześniej, kilka jeszcze zostało, a wymyślone przez Sabinę „granatowe uderzenie” właśnie wzięło w łeb. Niestety, pieniędzy na zakup nowych kamieni też nie było. Znaczną część zarobków pochłaniały opłaty pobierane przez Allegro. Pozornie kwoty wydawały się niewielkie: piętnaście groszy, dwa złote, dwanaście, ale kiedy się wszystko razem zsumowało, pomnożyło przez liczbę miniatur, zdjęć, aukcji i zapowiedzi, to wychodziło czterysta, pięćset złotych miesięcznie. Cóż, Sabina nie chciała wzorem Wielkiej Przebrzmiałej Artystki żyć dla sztuki, tylko próbowała łączyć swój nędzny budżet pieniędzmi ze sztuki, co nie zawsze się udawało.

- Zaryzykuję - zdecydowała. - Nastawiłam się na granaty, to będą granaty. Może po wyschnięciu przestaną brudzić.

Wspólniczka machnęła czerwoną ręką i poszła do mniejszego pokoju przerobionego na pracownię. Mimo ciasnoty udało się tam wcisnąć dodatkowe dwa stoliki: jeden z komputerem, drugi roboczy, z lampą biurową i niezbędnymi narzędziami. Sabina rozsypała mokre kamyczki na ręcznikach papierowych i dopiero wtedy usiadła. Prawdę mówiąc,

poza granatami niewiele miała do roboty. Zapas innych kamieni ograniczał się do suchych filipińskich koralii, które w dotyku przypominały pumeks, do niebieskich turkusów oraz resztek jaspisu i unakitu, czyli samych niechodliwych, przynajmniej na Allegro.

Gmerała bez przekonania w kasetce. Naczytała się o różnych cudach, więc w cichości ducha liczyła, że jeśli bardzo się skupi, to może przypadkiem filipiński koral zamieni się w różowy kwarc, a turkus w turmalin. Czasem taka dziecięca wiara potrafi dodać człowiekowi skrzydeł, jednak nie tym razem.

- Przydałoby się jakieś cudowne rozmnożenie albo co - mruknęła.

- Wierzysz w cuda? - zdziwiła się Wiola.

- Wierzę, chociaż mnie się nie imają. Żeby choć raz jakieś pozytywne zaskoczenie, jakieś dodatkowe pieniądze, coś co by odmieniło życie... Guzik z pętelką.

Odcięła kawałek linki jubilerskiej i zaczęła mocować łapaczkę, popularnie zwaną chłopczykiem. Nic tak człowiekowi nie przywraca równowagi jak konkretna praca.

- Aha, zapomniałam ci powiedzieć, że mamy w plecy jedno ametysty. - Wspólniczka oderwała się od komputera i spojrzała na Sabinę.

- Sama widzisz! - wykrzyknęła Sabina. - Ledwie pomyślę o cudach, od razu straty walą się na łeb.

- Może nie będzie tak źle. Facet, który uważa, że ma na usługach Pana Boga i prokuratora, nie polaszczy się na sto czterdzieści złotych. Tak przynajmniej myślę. Wysłałam mu dzisiaj drugi naszyjnik, a przy okazji próbowałam ustalić, co poczta zrobiła z pierwszym. Wolę już handryczyć się z pocztą niż wysłuchiwać wyzwisk jakiegoś jełopy. Ależ ten facet mi dokuczyl!

- LuGad? - spytała Sabina.

- A któżby inny?

Wiola była kobietą bardzo konkretną i nie lubiła niedomówień. Powtórzyła więc całą historię od początku, mimo że Sabina też ją znała, bo od tygodnia codziennie rozprawiały o mężczyźnie, który na Allegro przybrał dźwięczny i cokolwiek ryzykowny pseudonim LuGad. Wystarczyło odrzucić dwie pierwsze litery i pozostawał prawdziwy charakter

człowieka. Osiem dni wcześniej LuGad kupił na aukcji naszyjnik z ametystów. Zapłacił od ręki i od ręki też zadzwonił. Wszystko, łącznie z pierwszą rozmową, wskazywało na idealnego klienta. Był miły, wylewny, nawet nieco patetyczny, kiedy się chwalił, że zakupione ametysty ozdobią najpiękniejszy dekolt stolicy, który podobno należał do damy jego serca. Czy dekolt był chudy czy pulchny, dla Wioli nie miało to znaczenia. Ułożyła naszyjnik w pudełeczku, dołączyła kolorową kartkę z podziękowaniem za zakup, całość owinęła bąbelkową folią i zapakowała. Następnego dnia, ledwie zobaczyła pieniądze na koncie, wysłała paczkę. Nie liczyła na więcej telefonów, chyba że z podziękowaniami. I tu się pomyliła. LuGad okazał się zwykłym gadem, do tego wyjątkowo niecierpliwym. Zadzwonił z pretensjami już następnego dnia po południu, a potem wydzwaniał regularnie nawet dwa razy dziennie. Straszyl Bogiem i diabłem, lecz kiedy siły wyższe nie stanęły w jego obronie, przzerucił się na policję i prokuratora. Z każdym telefonem robił się coraz bardziej chamski. Dni mijały, paczka nie dochodziła, więc soczyście nawijał o jawnym złodziejstwie. Nie interesował go numer przesyłki, nie miał ochoty szukać ametystów na poczcie, chciał je mieć w ręku.

- Do tej pory nie było kłopotów z pocztą - zauważyła Sabina.

- Widać kiedyś musiały się zacząć - westchnęła z rezygnacją współniczka. - Nie jest to normalne, że z jednej dzielnicy miasta do drugiej paczka wędruje osiem dni, ale to jeszcze nie powód, żeby jakiś jełopa wyzywał mnie od złodziejek. Na poczcie obiecali załatwić reklamację najwcześniej jak się da.

Wróciły do pracy.

Wtorek rano

We wtorki już o siódmej Sabina musiała być na Ursynowie u Serialowej Gwiazdki. Mimo wczesnej pory jechała tam z przyjemnością. Uwielbiała story W szponach zazdrości, a to uwielbienie spłynęło też na jedną z trzech głównych bohaterek. Kiedy pół roku wcześniej zobaczyła Serialową Gwiazdkę po raz pierwszy, nie na ekranie, tylko na żywo, odniosła wrażenie, że jakimś dziwnym zrzędzeniem losu ona,

Sabina, też trafiła na plan filmowy. Gwiazdka była jota w jotę taka, jak na ekranie: tak samo kręciła się po pokoju, tak samo szybko mówiła i połykała słowa, a śmiejąc się, przechylała głowę na bok. Po prostu była sobą, co Sabinie bardzo się spodobało. Powiedziała nawet o tym głośno, jednak Serialowa Gwiazdka nie wydawała się zadowolona. „Co pani, pani Sabinko! - zaprotestowała z wyrzutem. - Ta cała Lenka jest może i fajna, tylko beznadziejnie głupia. Gdyby mnie kochaś na okrągło robił w banana, to ja bym wiedziała, jak mu podziękować. Reżyser mówi, że ona jest typem romantycznym i tak właśnie powinna reagować. On może jest i fajny, ten cały reżyser, może i zna się na romantycznych kobietach, ale na współczesnych laskach to już całkiem się nie zna. Pani nie ma pojęcia, ile muszę się napracować, żeby dobrze zagrać. Masakra!”

Gwiazdka wynajmowała mieszkanie w nowoczesnym bloku o przestronnych korytarzach i eleganckich windach. Zwykle zwlekała się z łóżka dopiero na dźwięk domofonu. Czasem trwało to dość długo. Tym razem otworzyła natychmiast. Mało tego, była już ubrana i jakoś tam uczesana.

- Wychodzi pani? - spytała z lękiem Sabina. Nie po to jechała taki szmat drogi, żeby się dowiedzieć, że nici z pracy i z pieniędzy.

- Dopiero o jedenastej - uspokoiła ją Serialowa Gwiazdka. - Jestem taka podekscytowana, że nie ma pani pojęcia. Wygrałam casting i od wiosny wystąpię w jeszcze jednym serialu. Uhuu! - wykrzyknęła, unosząc do góry pięść w geście radości.

- Fantastycznie! - ucieszyła się Sabina.

- Zajefajnie - przytaknęła. - Taki serial to nie tylko większa popularność, ale też dodatkowa kasiorka. Wreszcie zmienię samochód, bo tym już wstyd jeździć, i chyba pomyślę o własnym mieszkaniu. I może - łypnęła figlarnie - wygram ranking na najseksowniejszy damski tyłek. O ile dziennikarze wreszcie mnie polubią.

Serialowa Gwiazdka nie była ulubienicą dziennikarzy ani kobiecych pism. Jej koleżanki nie schodziły z łamów, były na okładkach i rozkładówkach, opowiadały o rolach, mężczyznach i lepieniu pierogów, ją wyraźnie omijały te zaszczyty. Często natomiast pojawiała się w Internecie, gdzie była albo chwalona przez fanów, albo, co zdarzało się

częściej, ostro krytykowana przez frustratów, którzy mieszała z błotem wszystkich i wszystko, łącznie z polską pisownią. Serialowa Gwiazdka niby wiedziała, że frustraci, że życiowi nieudacznicy, jednak bolały ją złośliwe i niesprawiedliwe uwagi. Traciła humor, płakała w poduszkę, całkiem jakby było się czym przejmować.

Sabina zmieniła ubranie na robocze i nastawiła pralkę. Spory kosz z brudną bielizną ledwie się domykał, reszta ciuchów walała się po całym mieszkaniu. Trzeba je było pozbierać, posegregować i też włożyć do pralki, by przed końcem pracy rozwiesić na suszarce. Serialowa Gwiazdka z całą pewnością nie była brudasem, bałaganiła natomiast z wielkim upodobaniem. Ubrań miała mnóstwo, miejsca do ich rozrzucania trochę mniej, ale jakoś sobie radziła. Z kolei Sabina bardzo szybko nauczyła się znajdować bluzki, majtki i staniki upchnięte w miejscach całkiem zaskakujących: pod poduchami foteli, za kanapą, pod telewizorem. Właścicielka tych śliczności przebierała się zwykle w biegu i nie patrzyła, co gdzie rzuca. Żyła w ciągłym pośpiechu: tu nagranie, tu przyjątko albo towarzyski ubaw. Jadała zwykle w mieście, do domu wpadała, żeby wziąć prysznic i zmienić ciuchy.

Sprzątanie zaczynało się zwykle od dużego pokoju połączonego z kuchnią i jadalnią, a mówiąc modnie - z aneksem jadalnym. Z dużego pokoju widać było jedynie stół i krzesła, część kuchenna ginęła za ścianą. W kuchni panował umiarkowany bałagan. Serialowa Gwiazdka myła po sobie naczynia, jednak nie miała zwyczaju niczego kłaść na miejsce. Sabina najpierw chowała to, co stało na wierzchu, potem dopiero wycierała szafki, zmywała kuchenkę, szorowała zlew, przecierała okno i posadzkę. W tym czasie Serialowa Gwiazdka zwykle schodziła jej z oczu, zajęta swoimi sprawami. Tym razem zrobiła odstępstwo od dobrej zasady nieplątania się pod nogami, zaglądała Sabinie przez ramię i wciąż wokół niej krążyła.

- Zawsze zmywa pani płytki na kolanach, nie byłoby wygodniej mopem? - spytała.

- Mopem można umyć korytarz lub taras, do podłóg się nie nadaje.

- Aha! - mruknęła ze zrozumieniem. - A jak często trzeba płukać ścierkę?

- W zależności od potrzeby, to znaczy... Trzeba uważać, żeby nie zostawiała smug. Dlaczego pani pyta? Robię coś nie tak?

- Nie, nie! Wszystko jest świetnie! Pytam z czystej ciekawości.

W dużym pokoju jej ciekawość wzrosła jeszcze bardziej. Wyjęła Sabinie z rąk odkurzacz, spróbowała go uruchomić nogą i zaczęła oglądać szczotki.

- Jeżeli pani chce mnie zwolnić - zaczęła ostrożnie Sabina, ale Serialowa Gwiazdka nie dała jej skończyć.

- Co pani, pani Sabinko! Zdejmuje mi pani z głowy najgorsze obowiązki, więc dlaczego miałabym panią zwalniać? To pani nie wie, że posiadanie gosposi jest bardzo dobrze widziane wśród zapracowanych aktorek? Nie chodzi o żadne zwolnienie, tylko... Więc jest tak: w tym nowym serialu będę grała gosposię. Nie jakieś tam popychadło, tylko elegancką laskę, która dorabia sobie sprzątaniami po domach. Nigdy wcześniej nie musiała sprzątać, nie ma o tym pojęcia, jednak nie święci garnki lepia. Musi znaleźć jakieś zajęcie i wybiera najłatwiejsze. Do sprzątaniania filozofii kończyć nie trzeba, prawda? Rola fantastyczna, rozbudowana, świetnie ją czuję... Niestety, mniej czuję sprzątanie, dlatego zaczęłam panią podglądać. Od razu widać, że pani lubi swoją pracę.

- Nie lubię - odpowiedziała Sabina - i nigdy nie lubiłam. Kiedy byłam młoda, krzyczałam głośno, że za żadne skarby nie dam się zaprzęgnąć do dwóch rzeczy: do sprzątaniania i gotowania.

- Ale przecież... - Serialowa Gwiazdka patrzyła zaskoczona i niepewna.

- Widać za głośno krzyczałam i kogoś ten krzyk obraził. Teraz bardzo się cieszę, jeżeli mam pracę. - Sabina westchnęła i włączyła odkurzacz.

Musiała jeszcze odpowiedzieć na wiele pytań związanych z praniem i nakrywaniem do stołu, co trochę ją rozbawiło. Gwiazdka zachowywała się tak, jakby w życiu nie widziała ścierki. Było to raczej niemożliwe u kogoś, kto wychowywał się w wielodzietnej rodzinie, w jakimś małym miasteczku. Być może zaczynała już grać swoją nową rolę, co Sabinie wcale nie przeszkadzało. Lubiła słuchać beztroskiej paplaniny, która skutecznie odrywała ją od własnych trosk, poza tym Serialowa Gwiazdka chętnie opowiadała o znanych aktorkach i aktorach, a takie

wiadomości z pierwszej ręki zawsze są ciekawe. Niewykluczone, że podkochiwała się w swoim partnerze, tym, co robił Lenkę w banana. Mówiła o nim: „Ciasteczko do schrupania”, nigdy jednak nie wspominała o samym chrupaniu. O sobie w ogóle mówiła niewiele, o uczuciach wcale. Sabina wyczytała kiedyś w Internecie, że łączono Serialową Gwiazdkę z Bardzo Dojrzałym Aktorem, co jednak musiało być kłamstwem. Sama Gwiazdka nawet nie zająknęła się o Aktorze, a przecież o innych opowiadała sporo. Poza tym w jej mieszkaniu nie widać było obecności mężczyzny. Nigdy nie pojawiały się dodatkowe szczotki do zębów ani golarki, nie mówiąc o slipkach czy piżamach. Sabinę to dziwiło. Kobiątka była śliczna, młoda, popularna i z całą pewnością zorientowana na mężczyzn, mimo to samotna.

- Od wiosny nie będą miała czasu na nic! - westchnęła Serialowa Gwiazdka, lecz w jej westchnieniu więcej było radości niż smutku. - W życiu bez szczęścia ani rusz. Ja miałam wielki fart, że zaraz po szkole załapałam się na dobry serial. Owszem, kiedyś tam myślałam o teatrze i chwala Panu, że na myśleniu się skończyło. Scena traci popularność, widzowie pokochali seriale. Ludziom trzeba dawać to, co chcą oglądać, zamiast wmawiać im debilizm i nieznaną sztukę, mam rację?

- Tak, oczywiście! - zgodziła się pośpiesznie Sabina. - Chociaż powiem pani, że kiedy słucham Wielkiej Zapomnianej Artystki, to prawie jej wierzę, że nie ma innej sztuki poza teatrem.

- Och, ci starzy aktorzy! - westchnęła. - Może kiedyś tam byli dobrzy, ale dzisiaj nikt już tak nie gra. Ten patos, ta manieryczna mowa, o matko, toż to czysta masakra! Nas w szkole nikt nie piłował z mówienia. Zachowujemy się przed kamerą normalnie, biegamy i mówimy, jemy i mówimy, jak w życiu. I co, źle gramy? Jeżeli źle, to dlaczego jesteśmy popularniejsi od tych wszystkich, którzy serialami gardzą? Czy to się Wielkiej Artystce podoba czy nie, tak właśnie jest. Prawdę mówiąc, żal mi tych starych emerytów. W innych zawodach jest inaczej, ale aktor żyje z podziwu publiczności. Podziw się kończy i co zostaje? Chyba tylko wspomnienia i wielka chęć na jeszcze jeden bis.

- Ona nie mogłaby zagrać, bo ledwie chodzi - zauważyła Sabina.

- Z chodzeniem najmniejszy problem. Można posadzić postać na wózku albo na fotelu. O właśnie, na wózku! - Serialowa Gwiazdka zawiesiła głos, jakby coś sobie przypomiwała. - Nasz reżyser szuka starej arystokratki, to znaczy kogoś, kto wygląda jak stara arystokratka i kogo będą wozić na wózku. Tylko czy ona wygląda odpowiednio?

- Przecież grywała królowe.

- Dawno temu. Od tamtego czasu mogła się zmienić.

- Wygląda! - zapewniła Sabina.

- No i fajnie! Wspomnę o niej dzisiaj. Jeżeli można komuś pomóc, to się pomaga. Starowinka trochę pogra, zgarnie kasę i będzie zachwycona, o ile oczywiście reżyser już kogoś nie znalazł, bo sprawa jest gardłowa.

Pokręciła kuperkiem godnym tytułu najseksowniejszego tyłeczka roku i poszła zaparzyć kawę. Sabina włączyła żelazko i zaczęła rozwieszać pranie. Z niechęcią zerknęła na wielką stertę ciuszków przygotowanych do prasowania. Nie znosiła sterczenia przy żelazku, wołała już myć okna i szorować zlewy. W drzwiach łazienki znowu pojawiła się Serialowa Gwiazdka. Widać tego dnia szczególnie łaknęła towarzystwa.

- Ładny? - spytała, kładąc rękę na suszarce.

Na jej drobnym palcu tkwił złoty pierścień, tyleż wielki, co niegustowny. W koronie połyskiwały białe cyrkonie osadzone jedna obok drugiej: sześć na wysokość, siedem na szerokość, co trochę przypominało ścianę z luksferami. Klejnot był duży, musiał ważyć z dziesięć gram

- Zaręczynowy? - ucieszyła się nie wiadomo dlaczego Sabina.

- Co pani, pani Sabinko! - wykrzyknęła po swojemu Gwiazdka. - Miłości nie da się połączyć z karierą, a już małżeństwa na pewno. Ten pierścionek to podobno okazja. Dostałam go od Wyniosłej Artystki. To znaczy nie dostałam, tylko dałam pięć stówek zaliczki i muszę dopłacić resztę.

- Zna pani Wyniosłą Artystkę? - zdziwiła się Sabina.

- Mhm. Gra u nas gościnnie w trzech odcinkach. Pyszczyła na serialu chyba najgłośniej ze wszystkich, w wywiadach i w ogóle, ale jak zabrakło kasy, to podkulila ogon i ubłagała reżysera o rolę.

- Zawahała się, jakby chciała jeszcze coś dodać. - Nieważne, gra z

nami i wcale tak bardzo nie zadziera nosa. Na planie ja mam z nią najwięcej do czynienia i nawet pogadałyśmy trochę prywatnie. Ona mówi, że ten pierścionek to przedwojenna robota w stylu wiktoriańskim czy jakimś takim, że to naturalne cyrkonie. Sama nie wiem, chce za niego tysiąc pięćset złotych, więc może rzeczywiście okazja. Co pani myśli?

Sabina przygryzła usta. Ze wszystkich stylów najbliższa jej była secesja, ponieważ w secesyjnych wyrobach kochał się ojciec i chętnie je kopiował. O subtelnym wiktoriańskim przepychu też co nieco słyszała, a nawet pamiętała ze zdjęcia broszkę babki, ale to, co błyszczało jak żyrandol na palcu Gwiazdki, było pozbawione jakiegokolwiek stylu. Gdyby chciała powiedzieć, co myśli, zabrzmiałoby to mniej więcej tak: „Dziecko drogie, Wyniosła Artystka wciska ci kit. Przed wojną nikt jeszcze o tych kamyczkach nie słyszał. Na swoje piętnaste urodziny dostałam złoty pierścionek z cyrkonią jak brylant, i to był bodaj pierwszy taki w Warszawie. Te kryształki hoduje się w laboratoriach zaledwie od trzydziestu kilku lat. Owszem, zrobiły rewolucję w jubilerstwie, ale nawet na moment nie przestały być imitacją prawdziwych kamieni. Pierścionek, który masz na palcu to wyrób całkiem nowy i z wiktoriańskim stylem nie ma nic wspólnego”. Tak właśnie powinna powiedzieć, gdyby nie mały drobiazg: Wyniosła Artystka od wczoraj figurowała na liście jej pracodawców. Miała u niej bywać w czwartki i nie chciała zaczynać współpracy od zgrzytów i zadrażeń. Zastanowiła się moment i powiedziała mniej więcej to samo, jednak zupełnie innymi słowami.

- Na okazjach to ja się nie znam, musiałaby pani porozmawiać z jubilerem. Moim zdaniem ten pierścionek nie pasuje do takiej kruszyny jak pani. Za duży, za bardzo rzuca się w oczy.

- Prawda? - Serialowa Gwiazdka wyraźnie się ucieszyła. Widocznie potrzebowała moralnego wsparcia, żeby z okazji nie skorzystać. - Dla mnie on jest za wielki. Oddam go i wycofam zaliczkę.

Gdzieś w połowie prasowania rozdzwoniła się komórka Sabiny. Taki dzwonek mógł oznaczać jedno: któraś z pracodawczyń odwoływała sprzątanie bądź próbowała zamienić dzień, z czym zawsze było sporo kłopotu. Ekranik wyświetlił pieścizotliwe zdrobnienie JANUSZEK. Rozejrzała się niepewnie i przymknęła drzwi łazienki.

Głos w słuchawce nie brzmiał pieszczotliwie, był chłodny i ostry. Nie spodziewała się wylewu uczuć, więc nie była zaskoczona. Bała się jedynie złych i bardzo złych wieści jak wypadek albo choroba. Januszek był cały i zdrowy, chciał jedynie wiedzieć, dlaczego ojciec nie odbiera jego telefonów. Mogła powiedzieć prawdę, że sam aparat, choćby nawet przysłany w paczce aż z Irlandii, nie wystarczy, trzeba jeszcze płacić abonament, mogła też uciec w nieświadomość. Wybrała nieświadomość. Kazała synowi zadzwonić w porze obiadu, kiedy i ona będzie w domu. Rozłączył się bez słowa. Żelazko prowadzone drżącą ręką nie było posłuszne, zostawiało na bluzce niepotrzebne fałdki, więc je odstawiła. W styczniu minęło dziewięć lat odkad wypchnęła syna do Szwajcarii, do wuja. Nie było innego wyjścia, musiała go wypchnąć choćby ze strachu, żeby nie pobili go tak jak Bolka. Wyjechał, zamienił Szwajcarię na Irlandię, ale nie chciał na ten temat rozmawiać. Ani na ten, ani na inne. Osądził ją według swojej wiedzy i reszta go nie obchodziła. Mogła się tylko domyślać, kto stał za tą jawną niełaską. Wiele by dała, żeby się dowiedzieć, którą z tajemnic małżeńskich Bolek zdradził synowi.

Serialowa Gwiazdka obiecała podrzucić Sabinę na przystanek. Jechała na nagrania, była przejęta, jednak jak zawsze szczerą i uczynną. Kiedy się rozstawały, przytrzymała Sabinę za rękaw.

- Myśli pani, że ja byłabym dobrą żoną? - zagadnęła nieoczekiwanie. - Z moim bałaganiarstwem, z ciągłym brakiem czasu i w ogóle... Małżeństwo to chyba wielka odpowiedzialność także za drugiego człowieka, prawda?

- Jeszcze jaka odpowiedzialność! - mruknęła Sabina.

Chciała dodać, że czasem ta odpowiedzialność przerasta siły jednego człowieka, lecz dała spokój.

Wtorek po południu

Januszek nie zadzwonił między czternastą a piętnastą, jak obiecał, i Sabina zaczęła się zbierać do wyjścia. Bolek wciąż patrzył w sufit, nie odpowiadał na pytania, nie chciał jeść, czyli, jak na niego, zachowywał się normalnie. Pomyślała przez moment, że mogłaby zostawić mu komórkę, szybko jednak odpuściła sobie nadmierną uczynność. To był

jej telefon, jej narzędzie porozumiewania się z pracodawcami, więc jeżeli syn chciał pogawędzić z ojcem, to powinien albo zadzwonić punktualnie, albo przyjechać do kraju. Otworzyła w pokoju okno i wyszła z mieszkania. Była tak poirytowana, że męczyło ją nawet projektowanie naszyjnika. Od kilku dni biedziła się, teoretycznie oczywiście, nad nowym sposobem zamocowania siateczki z granatów między dwoma obręczami. Chwilami wiedziała co i jak, za moment dochodziła do wniosku, że to się nie uda, że trzeba inaczej. Poza tym zżerała ją złość na Janusza i obawa o granaty. Ledwie weszła do spółniczki, ledwie zrzuciła kozaki, natychmiast chciała sprawdzać kamienie.

- Już nie farbują - mruknęła spółniczka.

Jak przystało na kobietkę korpulentną, ze sporą nadwagą, była osobką wesołą, przyjazną światu i ludziom. Rzadko się wkurzała, jeszcze rzadziej obnosiła minę burzowej chmury. Niestety, tym razem przypominała chmurę gradową i Sabina patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Dlaczego masz na aureoli napis: „Bez kija nie podchodzić” - spytała. - Stało się coś?

- Byłam na poczcie.

Sabina kiwnęła głową, że wie i pamięta.

- I co? - dociekała ostrożnie.

- To - wykrzyknęła Wiola z nieoczekiwaną furią - że pierwsza paczka z ametystami została odebrana już następnego dnia po wysłaniu.

- Chcesz powiedzieć, że LuGad odebrał przesyłkę, a potem przez tydzień wydzwaniał z pretensjami i wyzwiskami?

- Gorzej!

- Gorzej już nie może być.

- Uwierz mi, jest gorzej niż myślisz. Zadzwoniłam. Powiedział tak: „Nie udowodni mi pani, że to ja pokwitowałem odbiór. Natomiast mogła pokwitować wywłoka, z którą wciąż zmuszony jestem mieszkać, ale to już nie moje zmartwienie. Ja dostałem paczkę dzisiaj i choć to trochę późno, mimo wszystko dziękuję”. Odwiesił się i tyle go słyszałam. Teraz nie odbiera telefonów.

Sabina zagotowała się w jednej chwili. Była choleryczką, która panowała nad sobą jedynie w domach pracodawców, żeby nie podpaść i

nie stracić zajęcia. Normalnie jednak czyny i słowa szły u niej kilka kroków przed myśleniem. Błyskawicznie wysuwała z torebki swój telefon. Tego numeru LuGad nie znał, więc przewaga była po jej stronie. Czekala nawet niedługo. Pierwsze „halo” brzmiało dźwięcznie i uwodzicielsko, drugie, połączone z jakąś zabawną uwagą, jeszcze też, w trzecim wyraźnie dało się wyczuć nutkę zniecierpliwienia. „To ty?” - spytał. Sabina, jak była oparta o drzwi, tak nagle zaczęła po tych drzwiach zjeżdżać, aż opadła na kolana. Wspólniczka wyrwała jej telefon z ręki. Nie siliła się na subtelności, nie dobierała eleganckich słów, po prostu zaczęła wrzeszczeć do słuchawki to, co myślała. Tak się nakręciła, że krzyczała jeszcze dobrą chwilę po przerwaniu połączenia. Wreszcie spojrzala na Sabinę.

- Co z tobą? - spytała przerażona. - Chyba nie strzelisz sobie zawału z powodu jakiegoś jełopy.

- Myślałam, że już nigdy w życiu nie usłyszę w słuchawce tego głosu - szepnęła Sabina.

- Zatkalo cię z żalu czy z radości, bo już sama nie wiem? Chciałaś i nie mogłaś go usłyszeć czy odwrotnie: nie chciałaś, ale on przemówił? I dlaczego my wciąż kwitniemy w przedpokoju?

Sabina z trudem podniosła się z klęczek. Była blada i nie wyglądała na uradowaną. Z ulgą opadła na krzesło.

- Spytał, czy to ja - powiedziała drżącym głosem.

- Skąd wiesz, że myślał o tobie? - zdziwiła się Wiola. - Tak blisko go znałaś, że poznał cię po milczeniu? Ma twój numer w komórce?

Sabina wyraźnie odetchnęła.

- Nie, z całą pewnością nie ma - szepnęła z ulgą. - LuGad - powtórzyła, jakby usiłowała coś sobie przypomnieć i skojarzyć.

Wiola wymawiała „lugad”, ona wymawiała „lugad” i nie bardzo się zastanawiała nad sensem słowa. Nicki na Allegro często były dziwne, żeby nie powiedzieć dziwaczne. Do komputera nie podchodziła, dopiero kiedy wspólniczka napisała jej na kartce LuGad, zrozumiała wszystko.

- On się nazywa Ludwik Gadacki, prawda?

Wiola dla pewności zajrzała do papierów, dopiero potem przytaknęła.

- Miałam spytać, czy go znasz, ale chyba nie ma takiej potrzeby - zauważyła.

- Znałam - przytaknęła niechętnie Sabina. - Wszystkie moje plagi, wszystkie nieszczęścia zaczęły się od niego. Nie, nie, nie myśl sobie, że był moim kochankiem. Nic z tych rzeczy. Po prostu spotykasz czasem w życiu ludzi, których nigdy nie powinnaś spotkać. To był właśnie taki osobnik. - Ożywiła się nagle, zerwała z krzesła i stanęła przy komputerze. - Sprawdźmy, co on robi na Allegro: kupuje czy może coś wystawia?

LuGad sporo kupował. Po numerach aukcji dało się rozszyfrować tylko ostatnie nabytki, a więc naszyjnik z ametystów, kryształową karafkę w srebrze, skórzany kubek do gry w kości i męską paszportówkę do zawieszania na szyi. Sprzedawał też, ale niewiele: malutką działkę pod budowę domu w okolicach Żelazowej Woli, wycenioną na dwieście tysięcy złotych, złotą omegę za tysiąc sześćset oraz kolię z czternastokaratowego złota wysadzaną brylantami, za którą chciał osiemnaście tysięcy.

- Niezły gość - fuknęła współniczka. - Sam sprzedaje brylanty za ciężkie tysiące, a damie serca kupuje ametysty za sto czterdzieści złotych.

- I żonie - dodała Sabina. - Zauważ, że obdzielił je równo.

- On obdzielił? - wykrzyknęła Wiola. - Jego żonę myśmy ugłaskały, i to wbrew swojej woli. Wyrwę mu ten drugi naszyjnik! Wyrwę z gardła, choćbym miała iść do żony i powiedzieć prawdę. Jego żonę też znasz?

Sabina mruknęła coś niewyraźnie i wróciła na swoje miejsce.

- Pytałam, czy znasz jego żonę? - Wiola nie dawała za wygraną.

- Musiałabyś jeszcze sprecyzować którą. Znałam pierwszą i trochę bliżej drugą, wiem jednak, że z tamtymi się rozstał.

- Dopadnę go, przysięgam. Poczekam, aż wystawi nam komentarz i machnę takiego negatywa, że wątroba mu spuchnie. I chyba zawiadomię Allegro o naruszeniu zasad.

- Co nam to da? - Sabina wzruszyła ramionami. - On od jednej kologii zapłaci więcej prowizji niż my przez pół roku. Kogo będą chronić: nas czy jego? A jeszcze ma w zapasie działkę i omegę.

- Nie ujdzie mu na sucho! Mam adres, mogę mu wrzucić granat przez okno.

- Wrzuć. Uciesz się, że mu spadł z nieba i zeżre.

- Czym on się właściwie zajmuje?

- Pojęcia nie mam - odpowiedziała Sabina. - Pewnie dopracował sobie życiorys i może nawet założył swój bank. Lata temu, kiedy go poznałam, zajmował się wyłącznie tym, co przynosiło zysk i nie męczyło fizycznie. Handel dolarami, przemysł, a przede wszystkim lichwa, i to na wielką skalę. Zawsze lubił towarzystwo polityków, aktorów, dyrektorów... Wielki świat, kochana.

- A ty co robiłaś w tym towarzystwie? - zdziwiła się Wiola.

- Byłam częścią wielkiego świata. Myślisz, że ja zawsze sprzątałam po domach?

- Kiedy się poznałyśmy, to już sprzątałaś - zauważyła z lekkim wyrzutem.

- No cóż, od dwunastu lat staczam się po równi pochyłej. A że byłam wysoko, to i mam się z czego staczać. Najpierw sprzedawałam wszystko, co było do sprzedania, potem zamieniłam mieszkanie... Natomiast wcześniej, kiedy Gadacki zadawał największego szyku, ja byłam właścicielką kawiarni, którą szczególnie upodobali sobie aktorzy i ludzie biznesu. Bywanie U Saby należało do dobrego tonu.

- U Saby? - wykrzyknęła współniczka. - Nie mów! Byłam kilka razy U Saby. Białe lakierowane stoliki z czarnymi blatami, kwiaty w szklanych misach, lustra na ścianach... O matko! To naprawdę była twoja kawiarnia?

- Mhm. Wszystko się zgadza, i stoliki, i kwiaty, i lustra. Mnie też pamiętasz?

- U Saby patrzyło się głównie po stolikach: kto siedzi i z kim. Kelnerkę pamiętam, taką ładną blondyneczkę, ale to chyba nie byłaś ty?

- Joasia. Niebrzydka dziewczyna. Mogła zrobić karierę, wpadła w oko któremuś reżyserowi i nawet zagrała w filmie telewizyjnym. Małą rolę, ale jak na początek to już coś. Wyszła za męża i film wywietrzył jej z głowy. A ja, kochana, byłam wtedy brunetką, siedziałam za barem i miałam długie polakierowane na czerwono pazurki. Nie żadne tipsy, tylko swoje własne.

Sabina z westchnieniem spojrzała na ręce. Były spierzchnięte, z wyraźną siatką grubych żył i krótkimi, zdartymi paznokciami. Pokręciła głową z niedowierzaniem. Podobnie kręciła głową jej współniczka.

Nigdy wcześniej jakoś nie rozmawiały o przeszłości. To znaczy Wiola chętnie opowiadała o sobie, bo nie miała nic do ukrycia. Zanim przeszła na rentę, pracowała w laboratorium medycznym, знаła wielu lekarzy, czym odrobinę się chełpiła, znała również (co prawda głównie z analiz moczu i krwi, ale i to się liczyło) sporo pacjentów, jeśli nie z pierwszych stron gazet, to z dalszych na pewno. W każdym razie miała co opowiadać i w skrytości ducha litowała się nad Sabina, że poza szorowaniem cudzych łazienek, niechby nawet artystycznych, niewiele przyjemności zaznała w życiu. Sabina natomiast wybrała milczenie. Owszem, napomknęła czasem, że syn w Irlandii, że mąż woli umierać niż pracować, czyli mówiła tak, jakby dla niej liczyła się wyłącznie teźniejszość.

Środa rano

Średnia Aktorka była bardzo dobrą aktorką, choć wiadomo, że w artystycznych zawodach pojęcia: znakomita, przeciętna, kiepska i tym podobne są pojęciami niezbyt precyzyjnymi. Jedni powiadali, że potrafiłaby zagrać nawet Napoleona, gdyby Napoleon był nieco wyższy, inni twierdzili, że odcina kupony od dwu, może trzech ról zagranych w młodości, nie przebiera w repertuarze i wciska się tam, gdzie nie powinna, czyli do seriali, a nawet, o zgrozo, do reklam. Nie było więc zgody co do oceny jej umiejętności, natomiast ona sama ani myślała wpadać w kompleksy. W rankingu najpopularniejszych aktorów uplasowała się w ścisłej czołówce, co dało jej prawo do uważania się za aktorkę bardzo dobrą. Średnia była nie z talentu, lecz z daty urodzenia. Zaliczała się do tego pokolenia, które jeszcze uczono pięknie mówić. Niestety, przez lata zatraciła tę cenną umiejętność, z werwą posługiwała się językiem piwnego pubu, chociaż trzeba przyznać, że nawet jeżeli przeklinała, to jej dykcja była bez zarzutu.

Sabina lubiła Średnią Aktorkę najbardziej ze swoich pracodawczyń i najdłużej ją znała. Spotykały się na Złotej od sześciu lat, i to tydzień w tydzień, z przerwami na urlop. Przez taki szmat czasu wytworzyła się między nimi spora zażyłość. Nie przyjaźń, ale właśnie zażyłość i zaufanie,

które sprawiło, że Sabina dysponowała kompletem kluczy od mieszkania, troszczyła się o zawartość lodówki, kupowała środki czystości i papier toaletowy. Średnia Aktorka umiała okazywać wdzięczność. Jeżeli chciała podarować Sabinie coś ze swoich eleganckich ubrań, nie robiła tego wprost, lecz bardzo oględnie. „Pani Sabinko, przyda się pani ten kubraczek?” - pytała na przykład, machając porządną marynarką z zamszu. Na wszystkie wątpliwości miała jedną odpowiedź: „Dupa mi znowu urosła i już się w to nie wbiję”. Przesadzała. Nie była ani chuda, ani gruba i dbała o figurę. W młodości mówiono o niej: „Superzgrabna, lecz niezbyt urodziwa”, więc nie chciała po latach usłyszeć, że jest „tą brzydulą, co się roztyła”. Dzięki Średniej Aktorce oraz znajomej sprzedawczyni z lumpeksu Sabina miała sporo firmowych ciuchów. Kiedy szła ulicą, nie było widać, że jest głodna i zziębnięta od środka, za to zauważało się zamszową marynarkę lub porządną kurtkę. Od eleganckich kobiet różniła się bezradnym opuszczeniem ramion i rezygnacją wypisaną na twarzy. Rezygnacja i opuszczone ramiona zawsze trzymają się razem.

Początkowo Średnia Aktorka próbowała zarazić Sabinę miłością do teatru. Kilka razy proponowała jej darmowe bilety, opowiadała, że sztuka zabawna, inteligentna, że warto obejrzeć. Sabina za każdym razem odmawiała z coraz większym wstydem. Poszłaby, czemu nie, ale teatr wymagał sukni, pieniędzy na bilet tramwajowy i partnera. Wolała nie przyznawać się do swoich braków. Średnia Aktorka chyba zrozumiała, o co chodzi, bo przestała ponawiać propozycje. Pod maską szorstkości ukrywała najprawdziwszy takt i wielką wyrozumiałość.

Tego dnia Średnia Aktorka była w domu. Grzebała w kuferku z biżuterią i szukała odpowiedniego naszyjnika, który zagrałby razem z nią w serialu. Był to serial współczesny i reżyser pozostawiał wykonawcom sporo swobody przy doborze ubrań i dodatków.

- Z nieba mi pani spada! - wykrzyknęła na powitanie. - Potrzebuję coś dużego i fajnego na dekolte. Jakby te brązowe kamyki połączyć z zielonymi i przepleść żółtym bursztynem, to chyba byłoby niezłe?

Nawinęła na rękę trzy sznury różnych kamieni i patrzyła na nie pod światło. Średnia Aktorka jako jedyna z pracodawczyń wiedziała o firmie

sabi_wiol i często korzystała z jubilerskich talentów Sabiny.

- Na kiedy? - padło rzeczowe pytanie.

- Na jutro. Będzie pani w tych okolicach, to mi pani podrzuci.

- Spojrzała na minę swojej rozmówczyni i wybuchnęła śmiechem.

- Widzę, że nie docenia pani poczty pantoflowej. Wczoraj w telewizji spotkałam Magdę i stąd wiem, że zaczyna pani misję u Wyniosłej Artystki. Ona mieszka dwie albo trzy ulice stąd.

- Misję? - wybąkała niepewnie Sabina.

- A co pani myśli? U Wyniosłej nic się nie dzieje zwyczajnie, wszystko jest misją lub posłannictwem. Ona nie gra, ona składa na ołtarzu sztuki swoje posągowe ciało, talent i cenny czas, a wszyscy, którzy w tym pomagają, pełnią misję. Niech pani o tym pamięta, szorując jej sedes.

- Jaka ona jest? - spytała nieśmiało Sabina.

- Cwana, bezwzględna i zawsze wie, gdzie stoją konfitury. Niezbyt ciekawy typ obdarzony najprawdziwszym talentem. Tylko głupcy mogą zaprzeczyć jej talentowi. Kończyłam szkołę, kiedy ona zaczynała i przez miesiąc, może nawet dwa, mieszkaliśmy razem. Wtedy była zakompleksioną panienką z prowincji, teraz jest wielką pańcią, której często słoma wyłazi z pantofelków, ale tylko prywatnie. Przed kamerami czy na scenie nic jej znikąd nie wyłazi.

- Ma męża, dzieci?

- Twierdzi głośno, że dzieci rozpychają figurę. Bzdura, wystarczy popatrzeć na mnie. Urodziłam dwoje i niczego sobie nie rozepchałam. Dzieci nie ma, z pierwszym mężem się rozwiodła, z drugim chyba wciąż mieszka. Teraz próbuje okręcić sobie wokół palca znanego producenta. Mówiłam przecież, że wie, gdzie stoją konfitury.

- Podobno wyprosiła sobie rolę w serialu *W szponach zazdrości*.

- Wyprosiła? - roześmiała się Średnia Aktorka. - A co niby w tym czasie robiła jej agentka, bo chyba nie dłużyła w nosie? Pani Sabinko, nich pani nie wierzy we wszystko, co plotą ludzie. Aktorzy z nazwiskiem mają świetnych agentów, którzy odwalają za nich czarną robotę. O serialu słyszałam. Zagra tam siebie, czyli znaną aktorkę. Przyjedzie do małego miasteczka, pokręci kuprem i weźmie za to kupę kasy. Tak sobie zażyczył producent. To co, spróbuje pani pokombinować coś z

naszyjnikiem? Chciałabym, żeby w kompozycji dominowały bursztyny.

- To nie są bursztyny- sprostowała Sabina. - Ma pani tu bronzyt, turkus argentyński, a te żółte kamienie to nefryt bursztynowy.

- Mówi pani? Dostałam te koraliki od swojego starego jako bursztyny, nie nefryty... Zresztą co ja się będę mądrzyć, pani się na tym zna, nie ja i nie mój chłop.

Kamienie miały różne kształty i rozmiary, więc ułożenie ich w spójną całość wymagało trochę zachodu. Sabina lubiła takie wyzwania. Spakowała naszyjniki i wzięła się do sprzątanania.

Średnia Aktorka zajmowała trzypokojowe mieszkanie w starej kamienicy. Pokoje były przestronne i wysokie. Bez drabiny malarskiej nie dało się umyć okien, zawiesić firanek ani ściągnąć pajęczyn z sufitu. Na szczęście okien nie myło się co tydzień, a z normalnym sprzątananiem, przy dwojgu dorosłych ludziach, nie było dużo roboty. Średnia Aktorka umiała utrzymać porządek, wiedziała do czego służy zmywarka, a do czego szczotka na kiju. Jeśli przez mieszkanie przewinęło się więcej gości, to i przedpokój odkurzyła. Ostatnio gości było coraz mniej, bo domowe spotkania wyszły z mody. Średnia Aktorka narzekała, że aktorki zapędzeni, że nie mają dla siebie czasu i choć sama też była zaganiana, nie mogła odżalować nastrojowych kolacji w przyjacielskim gronie. Często wspominała, jak po spektaklu, ciemną nocą, całą paczką szli raz do jednego mieszkania, raz do drugiego. Nie trzeba się było zapowiadać, nikt się nie obrażał, a w spiżarni zawsze było coś na specjalną okazję. „Żaden lokal - powtarzała - żadna kawiarnia nie umywa się do domowych spotkań”.

Sabina lubiła mieszkanie na Złotej, bo przypominało jej rodzinny dom na Polnej. Nawet zapach stylowych drewnianych mebli był podobny, a klepki parkietu wyglądały równie swojsko, chociaż lakierowane, a nie, jak u rodziców, pokryte pastą i mozolnie froterowane. Przecierając ściereczką te lakierowane, często myślała sobie o wiórkowaniu dawnych podłóg. Co prawda w domu zostawiała tę przyjemność matce i nawet nie dotykała parkietów, a kiedy raz dotknęła mokrymi traktorami, to dostała pierwsze w życiu lanie. To, że na lśniącej podłodze zostały matowe odciski butów, nie było jeszcze przestępstwem,

najgorsze było to, że ślady prowadziły prosto do ojcowskiego barku, gdzie stało dużo butelek z winem domowej roboty. Tak dużo, że zniknięcie jednej wydawało się niezauważalne. Może rzeczywiście brak tej jednej butelki umknąłby uwadze ojca, gdyby nie wmieszał się pech. Sabina chwyciła pierwszą z brzegu, jedyną zieloną wśród brązowych i jasnych. W tej zielonej była mikstura do smarowania skóry głowy. Nic trującego, odcedzony nalew z pokrojonych liści pokrzyw i wódki, ale też nic smacznego. Nie dość, że młodzieżowe grono było mocno rozczarowane, to jeszcze fundatorkę czekała w domu solidna awantura. Od tamtego czasu nie tykała wina.

W czasie kiedy Sabina sprzątała metodycznie pokój po pokoju, Średnia Aktorka, o ile była w mieszkaniu, nie plątała się w pobliżu i nie przeszkadzała. Uczyła się roli lub przeglądała gazety, zatrzymując się nieco dłużej na stronach poświęconych kulturze. Czasem natrafiała na jakąś wzmiankę o sobie, wówczas odciągała na chwilę Sabinę od pracy, żeby jej poczytać. Musiała jednak przyjść z gazetą, stanąć, powiedzieć co i jak, bo w innych wypadkach Sabina nie reagowała na jej słowa. Zdarzało się na przykład, że Średnia Aktorka krzyczała: „Mam cię dosyć, wynos się z mojego domu!”, ale obrażanie się i wynoszenie byłoby w tym momencie zwykłą głupotą. Sabina raz tylko, na samym początku pracy, dała się nabrać. To było wtedy, kiedy usłyszała z pokoju groźne pytanie: „Kto stłukł moją ulubioną filizankę?” Uchyliła drzwi i ze łzami w oczach zapewniła, że nie ona. Cóż, przebywanie z aktorami pod jednym dachem niesło wiele niespodzianek, łącznie z ryzykiem wmieszania się w rolę.

Tym razem Aktorka weszła do kuchni gdzieś w połowie prasowania. Na drążku, na kilku wieszakach, dosychały męskie koszule, a Sabina rozciągała na desce kolejną. Aktorka przez moment patrzyła na te zmagania, przytrzymała nawet kołnierzyk, dopiero potem zamachała gazetą.

- Nie jest tak źle, jeżeli wciąż mnie szczypią - powiedziała. - Proszę o szczerą odpowiedź, pani Sabinko, czy ja się pani kojarzę wyłącznie z tabletkami przeciw skurczom mięśni? Na pewno oglądała pani tę reklamę, więc jak?

- Nie, wcale nie! - zaprotestowała energicznie Sabina.

- No proszę! A ten palant twierdzi, że wszystkim telewidzom tak się właśnie kojarzę. On to wszyscy? Za grosz skromności, za grosz - kpiła z kamienną twarzą. - Chyba do niego napiszę, że te tabletki nie mają działania ubocznego, nie niszczą ani wątroby, ani talentu. To go powinno uspokoić. Może jeszcze dodam, że gęba aktora jest własnością prywatną, nie narodową i aktor sam powinien decydować, gdzie ją chce pokazać i za ile. Co pani o tym myśli?

Sabina zwykle myślała to, co jej rozmówcy. Tak było zdrowiej i bezpieczniej. Nie lubiła toczyć sporów, nie umiała zonglować argumentami, więc zamiast się zastanawiać nad tym, co myśli, wołała przytaknąć.

- Pani rozumie, a dziennikarz ni w ząb - Średnia Aktorka pokiwała głową. - Ci, którzy zazdroszczą nam pieniędzy, lubią powtarzać, że reklama odziera aktora i jego role z charyzmy. Podobno wieczorem w teatrze zamiast zdesperowanej matki w moim wykonaniu widz zobaczy pańnię, która systematycznie zażywa tabletki przeciw skurczom. I komu oni to mówią? Na początku kariery grałam równocześnie zakonnice w teatrze i kurwę w filmie. Ciekawe, kto kogo odzierał z charyzmy w tamtym duecie? Obie role były bardzo chwalone.

Zamilkła. Oparła się o futrynę i obserwowała obłoczek pary spod żelazka. Nie wiadomo było, czy wyczerpała temat, czy zechce go ciągnąć. Sabina spróbowała przerwać niezręczną ciszę.

- Woli pani grać w teatrze czy w filmie?

- W teatrze.

- Teatr to świątynia sztuki, prawda?

Średnia Aktorka machnęła gazetą, jakby opędzała się od uprzykrzonej muchy.

- Świątynia? Bo nikt nie wcina chipsów z colą? Już niedługo zaczną wcinać i w kościele, i w teatrze, spokojna głowa. My, ród ludzki, nade wszystko lubim świętości - zawiesiła głos - szargać i mieszać z błotem. Kilka lat wstecz piersiasta dziewczucha ze zdrowym zadem była zaledwie symbolem seksu, teraz jest ikoną. Parę latek wystarczyło, żeby niezły film przestał być niezły, a stał się kultowy. - Pokręciła głową z niezadowolaniem. Poruszyła temat, który ją drażnił, dała się ponieść irytacji

i niechący wystraszyła Sabinę. Uśmiechnęła się do niej. - Wolę teatr, bo w teatrze mam wpływ na rolę. Jest aktor, jest widownia, nic się nie da wyciąć ani zmontować. Sama muszę czuwać nad każdym słowem i gestem, a przy okazji nie spuszczać oka z partnerów. Nie ma dwu spektakli identycznych, i to jest ciekawe. Ale to nie znaczy, że nie lubię filmu. Dla mnie każda rola to kawał solidnej roboty do wykonania. Albo robię coś dobrze, albo nie robię wcale. Aha - zmieniła nagle temat - muszę obejrzyć moją czarną wełnianą spódnicę.

Wyszła z kuchni. Słychać było, że kręci się po mieszkaniu, otwiera szafę, coś tam przekłada lub układa. Sabina wreszcie skończyła i z ulgą wyłączyła żelazko. Musiała jeszcze pochować uprasowane rzeczy i powiesić koszule. Kiedy zajrzała do sypialni, Średnia Aktorka dokopała się wreszcie do czarnej spódnicy. Wymięte fałdki domagały się żelazka, a jasne puszki - szczotki.

- Trudno, pani Sabinko, muszę panią jeszcze chwilę zatrzymać. Nie lubię czerni, ale to jest moja jedyna pogrzebowa spódnica, w sam raz na jutro do ciemnej kurtki. Ojej, pędzę, bo jestem spóźniona!

- Jakiś znajomy pogrzeb? - zdziwiła się Sabina.

Średnia Aktorka ściągała właśnie suknię przez głowę, więc zamruczała spod materiału, że zmarło się Wiecznemu Amantowi.

- Kiedy? - spytała Sabina z głębi szafy.

Rozkładała bluzki na kupki, oddzielnie te z krótkim rękawem, oddzielnie te z długim i nawet nie odwróciła głowy.

- Jakoś tak w zeszłym tygodniu. Przez ostatnie lata nie było faceta w Warszawie, pętał się po Polsce, ale chyba nigdzie nie zagrzebał miejsca, bo ciągnął gorzałę niczym pompa strażacka. Wrócił i zapił się na amen. Nie on pierwszy i nie ostatni. To nie jest dobry zawód dla mężczyzny.

- Lubiała go pani?

Średnia Aktorka była już gotowa do wyjścia. Przebieranie zajmowało jej wyjątkowo mało czasu i nieraz żartowała, że jest to czynność, którą każdy aktor musi mieć we krwi. Zawiesiła na szyi piękny amonit w srebrze i odpowiedziała już z przedpokojem.

- Nie lubię mężczyzn w typie Piotrusia Pana, ale on był moim pierwszym facetem... na scenie. Tego pierwszego nigdy się nie zapomina. Pa! I proszę pamiętać o naszymniku!

Trzasnęły drzwi i Sabina została sama.

Często przebywała sama w mieszkaniu Średniej Aktorki i nauczyła się z tego korzystać. Spokojnie kończyła sprzątanie, zaparzała sobie herbatę, siadała w kuchni i z przyjemnością wdychała konwaliowy zapach płynu do czyszczenia posadzek. Miała wreszcie chwilę wyłącznie dla siebie. W domowej ciasnocie, przy mężu, było to niemożliwe, do współpracownicy chodziła pracować, a nie rozmyślać i przez okrągły tydzień zawsze miała kogoś obok. Teraz też zagotowała wodę i zamiast czyścić spódnicę, usiadła nad filiżanką, podparła ręką głowę i patrzyła, jak do herbaty ścieka najpierw jedna łyżka, potem druga.

Rozmyślała.

Nawet bardzo ważne wydarzenia lubią się rozmyć w czasie, zagubić w latach i dniach tygodnia. To miało konkretną datę, więc się nie rozmyło.

Środa. 29 sierpnia, trzydzieści pięć lat wcześniej

Sabina nie mogła usiedzieć w domu i wpadła do zakładu dobrą godzinę przed zamknięciem. Miała na sobie króciutką sukienkę z żółtej krempliny, która świetnie kontrastowała z opalenizną i ciemnymi włosami ostrzyżonymi na pazia. Wakacje już się kończyły, a ich ostatnim miłym akcentem miała być imieninowo-urodzinowa kolacja z rodzicami w najprawdziwszym lokalu, przy zarezerwowanym stoliku. W sklepie mama obsługiwała klientkę. Sabina nie chciała przeszkadzać i poszła prosto na zaplecze. Usiadła z boku i patrzyła, jak ojciec czyści srebrne cieniutkie druciki, a potem skręca po dwa razem. Ręce miał brudne aż po nadgarstki. Pomyślała, że za skarby świata nie chciałaby przez całe życie czyścić srebrnych drutów ani siedzieć w kantorku pełnym tygli, wag i różnych dziwnych narzędzi.

- I co powiesz, marniaku? - spytał ojciec.

Zawsze nazywał ją marniakiem, że niby taka chuda i drobna. Owszem, była szczupła, ale silna i zdrowa, jak przystało na szkolną mistrzynię w lekkoatletyce. Uśmiechnęła się i spojrzała na swoją rękę. Na serdecznym palcu błyszczał złoty pierścionek, prezent od ojca, pośrednio też od wuja, który mieszkał w Szwajcarii i przywiózł bratu kilka

cyrkonii, sztucznie wyprodukowanych kamieni świetnie imitujących diamenty. Podobno za sprawą cyrkonii szykowała się niezła rewolucja w jubilerstwie.

- Ładny? - zagadnął ojciec.

- Bardzo - przytaknęła z błyskiem w oku.

Rzeczywiście prezent udał się nad podziw. Był wierną kopią przedwojennego pierścionka babci, który zachował się jedynie na starej fotografii. Zamiast platyny ojciec użył białego złota, osadził w nim cyrkonie i zrobił najprawdziwsze secesyjne cacko. Zaraz też zaczął swoją śpiewkę o wyższości prawdziwych kamieni nad imitacjami. Sabina nie słuchała zbyt uważnie. Znała te opinie z rozmów przy domowym stole i nie była ich ciekawa. Patrzyła na pierścionek, myślała o kolacji i innych przyjemnych rzeczach.

- Chcesz zobaczyć, jak się robi filigran? - spytał ojciec. - Skręciłem druciki, teraz je będę rozklepywał. Chodź, to ci pokażę.

Sabina zmarszczyła nos.

- Myślałam, że wyjdziemy trochę wcześniej - powiedziała z wyrzutem.

- Wcześniej? - zdziwił się ojciec. - Zakład jest otwarty do osiemnastej. Mogę go zamknąć dziesięć minut później, ale ani minuty wcześniej. Kiedyś, jak zasiądziesz na moim miejscu...

Sabina nie dała mu skończyć.

- Tato! - wykrzyknęła. - Nigdy nie zasiądem w tym ciasnym warsztacie, nigdy! Ja bym się tu udusiła, nie wytrzymałabym nawet godziny, uwierz mi!

- Wierzę ci, dziecko, wierzę, że nie wiesz, co mówisz! - powiedział ze smutkiem. - Nie masz pojęcia, ile człowiek jest w stanie wytrzymać. Nie mówię o swojej pracy, bo ją lubię, mówię o tym, co ludzie zmuszeni są czasem robić, żeby przeżyć. Nawet opowiadać się o tym nie chce.

- Wiem, wojna i tak dalej - mruknęła znudzona. - Tylko wojna już się skończyła, tato, i chyba mam prawo sama wybrać sobie zawód.

Zerwała się z krzesła i zaczęła nasłuchiwać. W sklepie pojawił się nowy klient. Pytał o precjoza ze sprzedaży komisowej, ale jak pytał! Słuchając tego głosu, Sabina nie miała wątpliwości, kto stoi przed jej matką. To mógł być tylko najmodniejszy aktor, wspaniały debiutant,

jeszcze student, a już znakomity amant. Tak przynajmniej twierdzili krytycy. Sabina nie знаła się na grze, więc uwierzyła krytykom, natomiast na urodzie i głosie poznała się sama. Nie po to biegła trzykrotnie na film, by śledzić wątlą akcję, tylko, by do syta napatrzeć się na głównego bohatera. Widać wciąż jej było mało, bo zostawiła ojca nad filigranem i weszła do sklepu. Niestety, Amant nie był sam. Towarzyszyła mu dziewczyna bardzo piękna na pierwszy rzut oka, na drugi, już tylko efektowna. Gdyby tak zanurzyć ją w wodzie, zmyć cały makijaż i zdjąć z głowy perukę, byłaby zwykłą bezbarwną myszką. To spostrzeżenie podbudowało Sabinę i chociaż Amant wcale na nią nie patrzył, nie myślała się poddawać. Podeszła do mamy z jakimś pytaniem, przechyliła wdzięcznie głowę, aż proste włosy zsunęły się zalotnie na jedno ramię. To też nie odniosło skutku. Żeby zobaczyć włosy i opaleniznę, Amant musiałby podnieść głowę, a on uparcie gapił się na gablotkę. Dziewczyna szczebiotała coś o broszce z granatami, lecz jemu broszka nie przypadła do gustu. Dla przyzwoitości zerknął na nowe wyroby i zatrzymał wzrok na dłoni Sabiny.

- Piękny brylant! - zauważył z uznaniem. - Niestety, jak widzę, już kupiony.

Spojrzał wreszcie. Przelotnie, obojętnie i nagle ta obojętność zmieniła się w najszczerzy zachwyty. Sabina była pewna, że wywarła na aktorze piorunujące wrażenie i że on nie mógł od niej oderwać oczu. Matka ujęła to całkiem inaczej. Kiedy w restauracji opowiadała ojcu o wizycie Amanta, powiedziała tak:

- Ależ te dziewczyny są bezczelne. Jedna przyprowadziła dzisiaj do sklepu tego aktora, co to podobno robi karierę. Może i robi, ale chyba nie finansową. Jej się podobało wszystko, jemu nic, zachwycił się dopiero pierścieniem Sabinki. Mógł się szczerze zachwycać, bo pierścionek nie był na sprzedaż. Od razu wyczułam, że chłopak nie ma zamiaru niczego kupować. Ale popatrz, na brylancie się poznał, choć to sztuczny - roześmiała się zadowolona.

Matka wiedziała swoje, Sabina swoje. W duchu rozważała nawet wariant heroiczny, że ściąga pierścionek z palca i rzuca Amantowi do stóp. Oczywiście ta scena, choć filmowo piękna, była możliwa jedynie pod warunkiem, że on zjawia się w sklepie sam i nie szuka prezentu

dla żadnej kobiety. Tylko po co wtedy byłby mu damski pierścionek?

W swoje piętnaste urodziny Sabina zakochała się po raz pierwszy gorąco, szczerze i platonicznie. Przez jakiś czas pielęgnowała nawet w marzeniach obraz: on i ona na ślubnym kobiercu. Na szczęście dość szybko odkryła, że wokół jest wielu innych chłopców, co prawda nie tak sławnych i przystojnych, za to osiągalnych. Pocięcha z Amanta była niewielka, nie dało się z nim potańczyć na prywatce ani pogadać na spacerze, więc, żeby się nie plątał w głowie, Sabina ustawiła go na pomniku jako niedościgły wzorzec wszystkich męskich cnót. Oglądała filmy, w których się pojawiał, cierpiała, czytając o jego zaręczynach, jednak żyła normalnie. Nawet zakochała się i wyszła za mąż.

Drugi raz spotkała Amanta wiele lat później. Po okresie zastoju i kilku nieciekawych rolach zagrał wreszcie w filmie, który zbierał bardzo dobre recenzje. Ludwik Gadacki natychmiast wyłuskał popularnego aktora, bo miał nosa do sław, i przyprowadził do kawiarni U Saby. Usiedli przy stoliku w kącie. Ludwik jak zwykle miał na głowie mnóstwo interesów, więc wyrwał się na chwilę na zaplecze, żeby gdzieś tam zatelefonować, a wtedy Amant zajął stół przy barze. Patrzył na Sabinę normalnie, czyli tak, jakby ją widział pierwszy raz w życiu. Sabina dawno już wyrosła z powłoki piętnastoletniej dziewczynki w żółtej kremplinowej sukience. Jej zgrabną pupę opinały obcisłe czarne spodnie, spod czarnego żakietu, podkreślającego biust w rozmiarze sporej trójki, wylewały się falbanki karminowej bluzki. Wątle z natury włosy poprawiała treska z lokami do ramion, a czarne linie wokół oczu nadawały drobnej twarzy koci wygląd. Nie bez powodu bywalcy kawiarni mówili o niej: Bella Kocica. Amant za to nie zmienił się wcale. Mimo że przekroczył czterdziestkę, wciąż wyglądał jak chłopiec zagubiony we mgle. Roztargnione spojrzenie, nieśmiały uśmiech i ten wewnętrzny czar, którym zniewalał otoczenie. Ledwie usiadł, zachwycił się pierścionkiem Sabiny. To był już zupełnie inny pierścionek. Wśród artystycznej bohemy wróciła moda na ozdoby z oksydowanego srebra i właśnie taki duży, ciężki pierścień przykuł jego uwagę. Sabina pomyślała w duchu, że coś w tym musi być, skoro on najpierw zwraca uwagę

na biżuterię, dopiero potem na kobietę. Może to za sprawą Gadackiego, który miał bzika na punkcie błyskotek i zarażał nim przyjaciół.

Amant siedział na wprost, sączył piwo, a w niej budziła się zakochana piętnastolatka z pracowni jubilerskiej ojca. I chyba nawet zapomniała, że od tamtej chwili minęło dwadzieścia długich lat. Czym ją porwał? Był uroczy, ciepły, zabawny, przede wszystkim jednak sławny, więc najbardziej chyba sławą. Tyle dziewczyn i kobiet do niego wzdychało, a on wybrał Bellę Kocicę. Jeżeli nawet miewała zastrzeżenia, kto kogo naprawdę wybrał, wołała je stłumić.

To spotkanie, choć początkowo również niewinne, sprawiło, że Wieczny Amant zaczął bywać U Saby codziennie i zachwycał się nie tylko biżuterią właścicielki. Sabina straciła dla niego głowę, a był nawet taki moment, że gotowa była stracić rozsądek. Gdyby choć raz wykrztusił, że ją kocha, kto wie, jakby się dalej potoczyły jej losy. On jednak od początku unikał jakichkolwiek zakłęb.

- Zrozum, dziewczyno - tłumaczył - jesteś moim promyczkiem, moim szczęściem, na które nie zasłużyłem.

Tulił ją do piersi, gładził po głowie, scałowywał z policzków łyzy i mówił tak pięknie, że mdlała od samego słuchania. Czasem w jego słowach odnajdywała fragmenty ról, które podobnie jak on, znała na pamięć. Był samą czułością, a jej czułości brakowało. W mowie nie miał sobie równych, nieco gorzej sprawdzał się jako amant. Czasem, prawdę mówiąc, w ogóle się nie sprawdzał, zwłaszcza kiedy był nietrzeźwy. A nietrzeźwy bywał często, co najbardziej Sabinę zniechęciło. Ochłonęła po kilku miesiącach szału i zaczęła mu matkować. Nie pij już... Idź się prześpij... Dzisiaj masz dosyć... Nie słuchał dobrych rad, bo niby dlaczego miał słuchać. Był wolnym duchem, był artystą i z całą pewnością pijakiem. Na trzeźwo zjadliwy i nieprzyjemny, po kilku drinkach uroczy i wesoły. Sabina darowała sobie wielkie słowa, nie zrywała jak kochanka z kochankiem, bo nie było czego zrywać. Odsunęła go na długi dystans, traktowała z pobłażaniem, życzyła jak najlepiej, ale Bolka nie chciała już dla niego rzucać. Bolek, co prawda, Amantowi do pięt nie dorastał urodą i sławą, był jednak przewidywalny, zawsze trzeźwy i był ojcem jej syna. Żyli trochę obok siebie, ale żyli.

Środa po południu

Sabina siedziała w kuchni Średniej Aktorki nad filiżanką nie-dopitej herbaty i dziwiła się, że wspomnienia prawie wcale nie boją. Kiedy nie były jeszcze wspomnieniami, wywoływały mnóstwo skrajnych uczuć, teraz jednak, po latach, miała wrażenie, że to wszystko przytrafiło się komuś innemu. Amant, z czasem nazwany Wiecznym Amantem, był nauczony grać, ona, Sabina, zaoferowała mu krótką, lecz ważną rolę w swoim życiu, więc ją przyjął. Zagrał ani dobrze, ani źle, jak przystało na przeciętnego aktora, po czym zszedł ze sceny bez ukłonów i zginął na długie lata. Teraz odszedł na dobre. Uroniła parę łez, ale to były łzy żalu za durną młodością, za kawiarnią U Saby, może też za Bella Kocią, nie za Amantem.

Z przeszłości wygonił ją dzwonek komórki. Zobaczyła, że to Januszek i czym prędzej odłożyła telefon. Dochodziła czternasta, lada moment mógł wrócić pan domu, a spódnica leżała nietknięta. Wyczyściła ją, wyprasowała i rozłożyła na łóżku.

Januszek zadzwonił powtórnie o piętnastej. Sabina odgrzała właśnie gołąbki i wniosła do pokoju dwa talerze.

- Już ci daję ojca - powiedziała, nie dopuszczając syna do głosu.

Łatwo było powiedzieć: „daję ci ojca”, nieco trudniej sprawić, żeby Bolek chciał unieść rękę i wziąć telefon. Mówiła, że Januszek, że powinien odebrać, on jednak patrzył tępo przed siebie i udawał, że nie do niego, nie Januszek i nie ma co odbierać. Sabina wreszcie nie wytrzymała i wybuchnęła:

- Bierzesz, do jasnej cholery, czy nie?

Przez krótki moment wydawało się, że Bolek przełamie apatię, wyciągnie rękę po telefon i wybąka parę słów. Może nawet i miał ochotę to zrobić, ale widać uznał, że umierającemu nie przystoi taki wysiłek. Poprawił się nerwowo na tapczanie i odwrócił głowę do ściany.

- Przykro mi - powiedziała Sabina do słuchawki - twój ojciec wybrał milczenie. Przy mnie nie będzie ci mógł wciskać kitu i mydlić oczu. Za chwilę wychodzę, telefon zabieram, więc sam rozumiesz, z rozmowy nici.

- A on tam w ogóle jest? - spytał nieufnie Janusz.

- Jest, jest, wszystko, co o nim można powiedzieć, to tylko to, że jest. Próbuje umrzeć na tego raka sprzed dwudziestu kilku lat. Widać nawet choroby tracą gwarancję, bo jakoś kiepsko mu idzie.

- Zabieram ojca do Irlandii - oznajmił Janusz. - Na stałe, jeżeli oczywiście zechce. Tobie to chyba nie zrobi różnicy.

- Zrobi czy nie, moja sprawa. Chcesz go zabrać samego czy razem z długami?

- O ile wiem, długi to twoja specjalność - powiedział zimno.

- Nieprawda. Ja się przejechałam na nieuczciwości współnika i na własnej łatwowości, ale nie grywam na automatach i nie biorę w bankach kredytów na dowód osobisty. To specjalność twojego ojca. Wystarczy mu zablokować dostęp do pieniędzy, natychmiast zaczyna umierać.

- Gdyby tak było, dawno byś go rzuciła. Nie udawaj, że kierujesz się sentymentami. Zresztą o czym my mówimy! Ja swoje wiem –głos Janusza przypominał sople lodu.

Sabina z trudem przełknęła ślinę. Dzień był wyjątkowo ciężki. Ledwie odpędziła od siebie jedno wspomnienie, naszły ją inne i poczuła, że oczy jej wilgotnieją. Syn miał rację, z sentymentów wyleczyła się dawno. Zaczepnęła haust powietrza, żeby uspokoić nerwy i nie wybuchnąć swoją prawdą, która zabrzmiałaby mniej więcej tak: „Co ty tam wiesz, głupcze! Figę wiesz albo jeszcze mniej i wcale mnie nie znasz. Jeśli nie odeszłam od zdrowego męża, tym bardziej nie zostawię chorego, choćbym go nie wiem jak miała dosyć. On cierpi nie tylko na nogi, u niego wysiadła głowa. Połamany i zdziecinniały jest częścią kary, jaką mi wymierzyła góra. Nie skarzę się, więc i ty przestań udawać prokuratora”.

Milczała dość długo, aż syn niecierpliwie zaczął się dopytywać, czy jeszcze tam jest.

- Jestem, jestem - przytaknęła. - Właśnie się zastanawiałam, ile głupstw można powiedzieć o sprawach, o których się nie ma zielonego pojęcia. Wróćmy lepiej do wyjazdu ojca. Mam ci go wysłać w paczce? On nie nadaje się do podróży ani fizycznie, ani psychicznie.

Syn wszystko sobie obmyślił. Gotów był przyjechać do kraju, chciał tylko, żeby matka spakowała rzeczy. Jeżeli o to chodziło, Bolek był

gotowy do drogi choćby natychmiast. Jego dokumenty spięte aptekarską gumką spoczywały w jej torebce. Musiała się jakoś chronić przed kolejnymi kredytami, więc zabrała mu dowód osobisty i inne papiery, łącznie z wyrokiem śmierci sprzed lat. Pakować nie miała co. Każdy nowy ciuch, każdy sweter czy spodnie on natychmiast sprzedawał, żeby mieć parę groszy na automaty. Węchem wyczuwał okazję i kuśtykał wtedy rażno do kumpli. Przestała mu kupować ubrania, zresztą po co ubrania komuś, kto nie wychodzi z domu, a i w domu najchętniej leży na tapczanie. Teraz może przydałaby się jakaś porządniejsza kurtka na wyjazd, jakieś mniej rozczłapane buty, lecz to już nie było jej zmartwienie. Skoro syn zabierał ojca, to musiał go wziąć z całym dobrodziejstwem inwentarza, czyli w portkach i w koszuli. Sabina nie miała w zapasie nawet pięciu złotych. Wszystko, co zarobiła, niosła w zębach do banku.

- Wciąż jednak nie wiesz - powiedziała do słuchawki - czy ojciec zechce wyjechać.

- Zrób, o co cię proszę, resztę zostaw mnie!

Było po rozmowie. Sabina dojadła wystygłe gołąbki i sprzątnęła po obiedzie. Ani przez moment nie wierzyła, że Bolek da się wywieźć z kraju. On był jak wyrzut sumienia, jak wielkie memento wypalone na żywej skórze, musiał być przy niej, nigdzie więcej. Sama tak to kiedyś wymyśliła, z czego on skwapliwie korzystał. Synowi by go oddała na jakiś czas, dlaczego nie. Myśl o pozbyciu się męża choć na miesiąc była zbyt piękna, by mogła być prawdziwa. Podeszła do tapczanu i spojrzała z góry na wychudzone ciało obcego faceta. Czy to możliwe, że kiedyś, całe wieki temu, drżała na samą myśl o jego muskularnym torsie, płaskim brzuchu i silnych udach? Pękała z dumy, kiedy wygrywał różne amatorskie zawody i wskakiwał na podium, żeby zgarnąć kolejną nagrodę za rwanie lub podrzut. Teraz nie chciało mu się własnego tyłka poderwać z tapczanu.

- Januszek chce cię na jakiś czas zabrać do siebie, do Irlandii - powiedziała obojętnym tonem, jakby to zabranie wcale jej nie dotyczyło. - Może byś pojechał?

Poruszył się niespokojnie, ale głowy nie odwrócił. Wydawało się, że pochłania go liczenie plam na przybrudzonej ścianie.

- Zmiana otoczenia wyszłaby ci na zdrowie - kusila i nie kusila jednocześnie.

Milczał, więc zniechęcona odwróciła się od tapczanu. Bardziej wy-czuła niż usłyszała chrapliwy szept.

- Człowiek po to ma swoje łóżko, żeby w nim umierać.

Nadzieja, jak zaświtała, tak jeszcze szybciej zgasła. Sabina otworzy-ła okno w pokoju i pobiegła do współpracownicy.

Granaty musiały poczekać. Sabina rozłożyła na stoliku naszyjniki Średniej Aktorki. To była konkretna praca za konkretne pieniądze. Średnia nie chciała niczego za darmo, wystarczyło jej, że nie musiała czekać. Czasem nawet, jeżeli nowy naszyjnik okazał się szczególnie ładny, dokładała parę złotych w formie nagrody.

- Ale jajo! Widziałas? - wykrzyknęła Wiola.

- Nie widziałam, pokaz!

- Co mam ci pokazać? Posłuchaj, co napisał do nas jajcarz102. Do-bry nick sobie facio wybrał, jajcarz z niego na sto dwa, a do tego przy-głup. „Siemanko! Wygrałem twój towar. Wyślij pakę za zaliczeniem. Kiedy dostanę pakę? Najlepiej jeszcze w tym tygodniu. No to, pa! Sie-manko”. Koniec, kropka. Choćbyś największymi wołami napisała, że nie wysyłasz za zaliczeniem, zawsze się ktoś znajdzie, kto nie doczyta do końca.

- Może to nowicjusz i nie zna reguł - zauważyła Sabina.

- Nowicjusz, owszem, ale już nie taki świeżutki. Ma czerwoną gwiazdkę i zdążył złapać dwa negatywy. U nas licytował rajskie ja-błuszka z unakitu, ale zobaczy je jak własne ucho bez lusterka. Zaraz do niego napiszę. A tak w ogóle to dzisiaj mamy owocny dzień, sprze-dałyśmy dwie pary kolczyków i bransoletkę. Jak pieniądze wpłyną na konto, będzie można pomyśleć o dokupieniu srebra. Kończą się już zapiecia.

Wciąż się coś kończyło, trzeba było kupować i uzupełnić. Spółka sa-bi_wiol cienko przędła, najpierw musiała sprzedać, żeby zainwestować i wciąż brakowało pieniędzy na rozmach. Sabinie oczy się śmiały do pięknych kamieni, ale z konieczności pracowała na najtańszych, często byle jakich. To dlatego nie ciągnęło jej do granatów. Wiedziała, że choć włoży w nie mnóstwo pracy, efekt będzie ledwie średni.

- Jutro mogłabyś przyjść z samego rana! - współpracowniczka uniosła głowę znad klawiatury. - Wymyśliłaś granatowe uderzenie, ale jak na razie żadnego uderzenia nie widzę.

- Już nie mam wolnych czwartków - mruknęła Sabina. - Zrozum, pieniądze ze sprzątanania są pewne, a naszyjniki albo ktoś kupi, albo nie. Przyjdę normalnie, po obiedzie i od razu wezmę na tapetę granaty. Mam parę pomysłów.

- U kogo się załapałaś? Znowu jakieś wielkie nazwisko?

- U Wyniosłej Artystki.

- O, ja cię kręcę! - wykrzyknęła z podziwem współpracowniczka. - Uwielbiam ją, to moja ukochana aktorka. Widziałam ją niedawno w teatrze telewizji. Grała straszną jędzę i robiła to rewelacyjnie. Słyszałaś już, że umarł Wieczny Amant?

Sabina mruknęła, że słyszała. Współpracowniczka przez chwilę wystukiwała w milczeniu list do jajcarza102, ale widać inne myśli zaprętały jej głowę.

- Popatrz, zaczynają odchodzić ikony naszej młodości - zauważyła.

- Jakie znowu ikony? Święty to on chyba nie był.

- Tak się tylko mówi, nie wiesz? Ostatnio chyba w ogóle nie grał, za to ja pamiętam jego debiut. Byłam jeszcze w podstawówce. Potem w liceum wszystkie dziewczyny się w nim kochały, ja oczywiście też. To była jakaś plaga, epidemia jakaś. Ty też musisz pamiętać, bo jesteś tylko dwa lata starsza. Kochałaś się w nim?

- Nie przypominam sobie - powiedziała cicho Sabina.

- Pewnie znałaś go osobiście, co? Musiałaś znać. Pierwszy raz na żywo zobaczyłam go w twojej kawiarni. Już wtedy pracowałam, już miłość mi przeszła. Powiem ci, że mnie rozczarował. W filmie wyglądał bosko, a na żywo tak sobie, jak zwyczajny człowiek. Poznałaś go kiedyś?

- Chyba nie - powtórzyła Sabina nieco głośniejszym głosem. - Może i zachodził do kawiarni, tylko wiesz, tam bywało mnóstwo ludzi, nie sposób wszystkich spaźnić.

- Chętnie poszłabym na jego pogrzeb. Zawsze to kawałek mojej młodości odchodzi razem z nim, a i innych sławnych ludzi można zobaczyć.

- Jego już na pewno nie zobaczysz.
- Przecież wiem. Mówię o innych. Dawno nigdzie nie wychodziłam, byłaby okazja przewietrzyć futro. Nie poszłabyś ze mną?
- Pracuję.

Wspólniczka wróciła do korespondencji z jajczarem¹⁰². Sabina przez moment miała wrażenie, że wyparła się cząstki swojej przeszłości. Ale jak miała przyznać się do romansu, w który sama przestała wierzyć. Ona, stara baba, no może nie tyle stara, ile zniszczona przez życie, i on, obiekt westchnień nastolatki i pań nieco dojrzałych. Dziś zabrzmiałoby to już śmiesznie. Do znajomości może powinna się przyznać, ale jakoś nie chciała.

Czwartek rano

Średnia Aktorka rozpakowała naszyjnik i wpadła w zachwyt. Tak właśnie wyobrażała sobie ostateczny efekt. Przejrzała się w lustrze, zrobiła kilka min i zapłaciła z nawiązką. Sabina wyszła od niej nafaszerowana komplementami i przekonana, że skoro dzień zaczął się dobrze, to i dobrze się skończy. Czasem zapominała o prześladowającym ją pechu i zaczynała cieszyć się na zapas. Ledwie stanęła przed Wyniosłą Artystką, cały optymizm diabli wzięli. Artystka była zimna jak arktyczna ryba i wyniosła niczym Mount Everest. Każdym słowem, każdym spojrzeniem dawała odczuć, jak wiele ją dzieli od jakiejś tam skromnej kobieciny, która przyszła ubiegać się o pracę. Przede wszystkim chciała widzieć referencje kandydatki na sprzątaczkę. Oczywiście miała do tego prawo, lecz wcześniej nikt nigdy o referencje nie prosił. Wszystkie posady załatwiała pani Magda na telefon. Sabina, głosem zachrypniętym z przejęcia, wymieniła domy, w których pracowała ostatnio i stała wystraszona, bo Wyniosła nie pozwoliła jej usiąść.

- I co? Uważa pani, że to ja mam tracić swój cenny czas na zbieranie opinii o pani? - spytała wyniośle.

- Nie, oczywiście, że nie - szepnęła Sabina.

Artystka nie była zainteresowana jej szeptem. Miała jeszcze sporo do powiedzenia o referencjach Sabiny oraz swoim chronicznym braku czasu. Jak na osobę żyjącą w ciągłym pośpiechu, mówiła stanowczo

za długo. Tak długo, że nawet Sabinie znudziło się słuchać, chociaż bardzo potrzebowała pracy. Przepraszyła za kłopot i zamierzała wyjść. Nie spodobało się to Wyniosłej Artystce, ba, nawet lekko ją rozeźliło. Nie ciągnęła dłużej tej sceny, wykonała ręką ruch odprawiający delikwentkę, ale nie za drzwi, tylko do roboty.

- Przepraszam, gdzie znajdę środki czystości i ścierki? - spytała Sabina.

Wyniosła Artystka spojrzała zaskoczona. Wąziutkie brwi pokryte henną powędrowały tak wysoko, że zaczęły przypominać dwie dżdżownice na czole.

- Na pewno nie na salonach. Szukaj w łazience, ja za ciebie szukać nie będę. I pośpiesz się, przed jedenastą wychodzę - zakończyła wyniosłe.

Właściwe zatrudnienie Sabiny zaczęło się od władczego machnięcia ręką. Dokładnie w tym momencie spadła, bo przecież nie awansowała, do poziomu dziewczyny do wszystkiego. Dziewczyna, choćby nawet starsza od pracodawczyni o dekadę, była tylko dziewczyną, nie panią.

Przebierając się w łazience, Sabina pomyślała, że w sztuce, o której wspominała Wiola, Wyniosła Artystka wcale nie musiała grać, wystarczyło, że była sobą, czyli skończoną jędzą. Utwierdziła się w tej opinii, wchodząc do dużego pokoju. Na stole obok wazonu leżało pięćdziesiąt złotych, na telewizorze dwadzieścia, tu poniewierał się wisiorek, tam pierścionek. Biżuteria niebrzydka, pieniądze, jak na Wyniosłą, niewielkie, za to pułapki wyraźne. Podobnie było u pewnej inspicjentki, która nie tylko rozrzucała po domu drobniotkie kosztowności, ale dodatkowo podglądała przez dziurkę od klucza, czy aby sprzątaczką nie złakomi się na pierścioneczek ze sztucznym koralikiem. W starych powieściach czytało się, że to służba podglądała swoich państwa, widać w nowej rzeczywistości role całkiem się odwróciły. Sabina nie dałaby głowy, czy nowa chlebodawczyni nie obserwuje jej gdzieś zza drzwi, strzegąc przy okazji pieniędzy i biżuterii.

Mieszkanie było w miarę zadbane, chociaż urządzone bez większego smaku. Obok ładnych drobiazków panoszyła się zwykła tandeta.

Wersalka i meblościanki też nie czyniły szału, całkiem jakby Wyniosłej Artystce nie zależało na urodzie wnętrza. Na ścianach wisiało sporo świętych obrazów. Wzrok przyciągała jedynie śliczna Czarna Madonna w srebrnej koszulce, cała reszta, to były typowo odpustowe produkty, chociaż niektóre w niebrzydkich ramkach. Wyniosła Artystka bardzo wyraźnie akcentowała swoją przynależność do grona ludzi wierzących, może nawet za bardzo i zbyt nachalnie. Z całą pewnością jednak nie podglądała przez dziurkę od klucza. Nie musiała. Chodziła za Sabina krok w krok, trzymając przy uchu słuchawkę telefonu. Możliwe, że wcale nie interesowało jej sprzątanie, a jedynie zapewniała sprzątacze pewną dawkę informacji o sobie i swoich znajomościach. W tym momencie to, o czym rozmawiała i z kim, przestawało być jej prywatną sprawą. Jeśli liczyła, że Sabina rozniesie sekrety po mieście, to czekał ją spory zawód. Sabina dlatego tak długo utrzymywała się w jednym środowisku, że umiała trzymać język za zębami.

Najpierw Wyniosła Artystka zadzwoniła do agentki. Nie było żadnych wątpliwości, że do agentki, bo komu innemu mogła powiedzieć: „Za to ci płacę, żebyś ich przekonała, że nikogo lepszego do tej roli nie znajdują. Obie wiemy, że taka jest prawda”. Potem dość długo rozmawiała z kimś, kogo nazywała swoją przyjaciółką. Wydawało się niemożliwe, by ktoś chciał dobrowolnie zaprzyjaźnić się z Wyniosłą Artystką, a jednak. Rozmowa kręciła się wokół planów na resztę dnia. Tokowała głównie Artystka. „Nie, nie, przecież ja go ledwie co znałam. Poza tym świecki pogrzeb i nie wiadomo, kto przyjdzie. Nie, nie, trzeba dobrze patrzeć, gdzie się bywa i z kim. Mam zamówioną wizytę u kosmetyczki, muszę się nawilżyć, bo wiesz, jaką mam wrażliwą cerę. Wieczorem gram, potem idziemy na kolację z wiadomej okazji. Jeszcze nie wiem, czy się zgodzę, chociaż mój pan mówi, że we mnie drzemie materiał na dyplomatę, więc może taki drobny flirt polityczny byłby całkiem na miejscu. Czy jestem szczęśliwa? Też wyskoczyłaś! Podaj mi definicję szczęścia, to ci odpowiem”. Perlisty śmiech zakończył monolog. Był to monolog, bo pytań nie dało się usłyszeć. Z krawcową Artystka rozmawiała krótko i dopiero następny telefon wniósł coś nowego, co pogłębiło jej charakterystykę. „Wiem, że oddałaś, bo go mam. Co to znaczy, że

się rozmyśliłaś? Wiesz, ilu było chętnych? Wszystkim odmówiłam, jestem stratna i nawet nie myśl, że oddam zaliczkę. Wykańczam dom, mam mnóstwo wydatków, gdyby nie to, na pewno nie sprzedawałabym rodzinnej pamiątki. Zastanów się jeszcze, to prawdziwy wiktoriański klejnot, wątpię, żeby był drugi taki egzemplarz”. Ze złością wcisnęła guziczek telefonu i coś tam sobie kalkulowała pod złoto-rudym balejażem.

Sabina skończyła zmywanie podłogi i podniosła się z kłęczek. Żal jej było Serialowej Gwiazdki, ale z własnych doświadczeń wiedziała, jak drogo kosztuje nauka. Trzysta złotych za przyspieszony kurs stylów w jubilerstwie to nie była kwota zbyt wygórowana.

Z większego pokoju przeszła do sypialni, w której najwięcej miejsca zajmowało wielkie łóżko z rozbebeszoną pościelą, ładną, choć nie pierwszej świeżości.

- Życzy sobie pani, żebym zmieniła pościel? - spytała Sabina.

- Jeżeli zdążysz do jedenastej, to zmieniaj - zgodziła się łaskawie Artystka.

Sabina otworzyła okno na całą szerokość. Bez większego trudu znalazła w szafie półkę z bielizną. Krzątała się sprawnie, każdy ruch był celowy i skuteczny. Niewiele sobie robiła z tego, że Wyniosła Artystka nie spuszczała z niej oczu. Odkurzyła materac, rozciągnęła prześciera-dło.

- Ile zarabiasz miesięcznie?

Pytanie było tak nieoczekiwane i tak niedyskretne, że Sabina zasty-gła z rękami uniesionymi do góry. Zamiast oblekać kołdrę, stała ni-czym pomnik.

- Czemu pani pyta?

- Ojej, nie wiedziałam, że to aż taka tajemnica! - wykrzyknęła z udanym przestraczem. Roześmiała się i ciągnęła dalej. - Liczę, że gdzieś osiemset złotych, mam rację?

Sabina opuściła ręce i zwróciła się twarzą do rozmówczynie.

- Jeżeli nie wypadną jakieś godziny, a wypadają prawie zawsze, to zarabiam około tysiąca złotych miesięcznie. Przed świętami trochę więcej.

- No zgoda. A gdybym ci zaproponowała tysiąc pięćset za prowadzenie domu? Nie tego oczywiście, tylko nowego, który wykańczam. Mam nadzieję przenieść się jeszcze przed świętami.

- Przecież nawet nie pokazałam pani referencji - wybąkała zaskoczona.

Wyniosła Artystka parsknęła śmiechem. Bardzo ładnie się śmiała, szczerze i naturalnie. Ten śmiech był jednym z jej wielkich atutów.

- Myślisz, że gdybym wcześniej nie wiedziała o tobie wszystkiego, co powinnam wiedzieć, dopuściłabym cię do sprzątanania? Nie bądź naiwna. Referencje oczywiście powinnaś mieć i nauczka się przydała. Obserwuję cię, jesteś szybka i dość dokładna, myślę, że mogłybyśmy się dogadać. Nie chcę w domu żadnych młodych panienek, potrzebny mi ktoś stateczny.

- Sama nie wiem - wybąkała Sabina.

I rzeczywiście w tym momencie nie wiedziała, co robić. Przyzwyczała się do bywania w wielu domach, jednak miotanie się po całej Warszawie, z jednego krańca na drugi, było męczące i przede wszystkim kosztowne. W ciemno i na pewniaka jechała tylko do Wielkiej Zapomnianej Artystki i Średniej Aktorki, ale już Serialowa Gwiazdka lubiła zapominać o sprzątananiu i albo jej nie było w domu, albo właśnie wychodziła. Z nieco innych powodów przepadały godziny u Znanego Aktora. Jadąc do tych niepewnych domów, Sabina nigdy nie wiedziała, czy nie funduje sobie wycieczki tramwajowej na własny koszt. Marzyła jej się stała posada i stałe dochody, nie była jednak pewna, czy chciała-by dzień w dzień oglądać Wyniosłą Artystkę w jej cywilnym wcieleniu. Patrzyła więc z niezbyt mądrą miną i milczała.

- Zastanów się, masz czas do przyszłego tygodnia. Dom jest spory, ale bez dzieci, bez psów i kotów. Z dwoma dorosłymi osobami nie powinnaś mieć kłopotu. Gotować chyba umiesz?

- Jasne! - przytaknęła Sabina, chociaż od gotowania wolala już nawet prasowanie.

Wróciła do zajęć.

Wyniosła Artystka, mimo chłodu, wciąż stała w pokoju. Narzuciła tylko wełnianą kamizelkę na ramiona, żeby nie nabawić się przeziębienia.

Teraz dla odmiany nie dzwoniła, lecz odbierała telefony. Najpierw rozmawiała z mężczyzną, który najwyraźniej ją nudził. Nie fukała na niego, odpowiadała monosylabami i z ulgą się rozłączyła. Drugi telefon był chyba od właściwego mężczyzny, co natychmiast dało się wyczuć, choćby po barwie głosu. Nie zniżała się do dziecinnego seplenienia, mówiła normalnie, tyle że bardzo ciepłym tonem. Zaraz też wycofała się z sypialni. Widocznie ta rozmowa nie potrzebowała świadków.

Sabina zaścieliła łóżko i dopiero wtedy zaczęła ścierać kurze z mebli. W myślach musiała przeprosić Wyniosłą Artystkę. To, co w dużym pokoju wyglądało na podkładanie fantów, w sypialni okazało się regułą. Wyniosła nie rozrzuciła majtek ani staników, rozrzuciła biżuterię. Naszyjniki, wisiorki, bransoletki, niektóre bardzo piękne i kosztowne, były wszędzie: w kryształowej paterze, w wazonie, w wielkiej popielnicze lub poniewierały się bezpośrednio na meblach. Spod sterty pism Sabina wyjęła wyjątkowej urody różę z chalcedonu. W przepięknej srebrnej oprawie imitującej liście tkwił popielato-rdzawy kamień, który nawet w pochmurny dzień iskrzył tysiącem gwiazdeczek. Rozejrzała się bezradnie po pokoju. Sprzątanie to również chowanie na miejsce wszystkiego, co leży nie tam, gdzie powinno, skąd jednak miała wiedzieć, gdzie ułożyć biżuterię. Dyskretnie zajrzała do jednej szuflady, potem do drugiej. Wreszcie w trzeciej odkryła skarbiec, który chwilowo był prawie pusty. Na dnie spoczywały dwa zegarki i naszyjnik. Spojrzała i zamarła. Jasne przezroczyste kostki ametystu przeplatały się z kostkami gniecionego srebra... Uniosła naszyjnik do góry, choć wcale nie musiała niczego sprawdzać.

- Ładny? - spytała Wyniosła Artystka.

Stała w drzwiach i patrzyła na Sabinę.

- Ależ pani to wszystko porzrzuciła - powiedziała Sabina i nawet udało jej się zapanować nad głosem.

Pozbieraną biżuterię zdążyła wcześniej złożyć na jedną kupkę, teraz starannie ją rozdzielała: tu naszyjniki, tu bransoletki. Wyniosła Artystka bardzo się ucieszyła z odnalezienia róży, której podobno szukała od miesiąca. Obejrzała ją i rzuciła na stosik. Wyjęła naszyjnik z ametystów.

- Ładny? - spytała ponownie.

Sabina przytaknęła skwapliwie i szybko dodała, że nie zna się na kamieniach.

- Jeżeli ci się podoba, to sobie weź - powiedziała Artystka. - Sama widzisz, ile tego poniewiera się u mnie. Weź, weź, mnie jest okropnie w fioletowym, tobie powinno być dobrze.

- Nie mogę! - Sabina cofnęła się o krok. - To pewnie prezent.

- Wymuszony - roześmiała się Wyniosła Artystka. - Bierz, bierz! I nie myśl sobie, że jestem taką straszną zgagą, jak ludzie gadają.

- Nic złego o pani nie słyszałam. Wszyscy zgodnie powtarzają, że ma pani wielki talent.

Wyniosła Artystka wybuchnęła śmiechem. Sabina przeciwnie, z trudem panowała nad łzami. Ledwie zaczęła się oswajać z radosną myślą o stałej posadzie, dał o sobie znać nieodłączny pech. Patrząc na ametysty, miała pewność, że ta praca jest poza jej zasięgiem, i to bynajmniej nie z powodu talentu czy charakteru Wyniosłej Artystki.

Czwartek po południu

Wspólniczka pojechała na pogrzeb. Musiała być mocno zaafektowana, bo nie zadzwoniła, nie uprzedziła, że wychodzi z domu na dłużej. O piętnastej Sabina na próżno dobijała się do pracowni. Zrezygnowana wróciła do siebie i zastała umierającego męża z głową w lodówce. Wyżerał pośpiesznie zimne klopsiki. Zmieszał się trochę, bo żona nigdy nie robiła mu takich numerów, nie wracała zaraz po wyjściu, więc mógł spokojnie udawać, że nie ruszał się z tapczanu, a jedzenie samo wyparowało. Złapany na gorącym uczynku, niczego udawać już nie mógł.

- Że też ty nic nie możesz zrobić jak człowiek! - zdenerwowała się Sabina. - Wyjąłbyś chociaż talerz i zamknął lodówkę. Jeśli dostaniesz anginy, na mnie nie licz.

- Od dawna liczę tylko na siebie - sapnęła, przelękając pośpiesznie zbyt duży kęs.

- Jasne! Zarabiasz, dokładasz się do utrzymania domu, superfacet z ciebie. Ktoś z boku mógłby pomyśleć, że to prawda. Z pośredniaka

nie przyszli jeszcze z propozycjami pracy - szydziła. - Nie szukają stróża ani dozorczy? Może jutro przyjdą. Nie zapomną chyba o takim świetnym fachowcu.

Zostawiła męża we wnęce kuchennej i poszła do pokoju. Złościła się na niego głośno, że nie pracuje, że całe dni spędza na tapczanie, ale to nie była złość prawdziwa. Wiedziała przecież, że on do żadnej pracy się nie nadaje. Pytając o pośredniak, próbowała dać mu do zrozumienia, że nie jest taki całkiem stracony, że gdyby tylko chciał, mógłby znaleźć jakieś zajęcie. On ani mógł, ani chciał, i to jego bierne poddanie się losowi denerwowało ją najbardziej. W Bolku nie było ani krzty ducha walki. Przy nim nawet ona traciła chęć do czegokolwiek. Nie umiała czytać, oglądać telewizji, projektować naszyjników, nawet sprzątać. Niby się nie plątał, niby głównie leżał, jednak sama świadomość, że tkwi obok jak spróchniały pień, odbierała jej ochotę do życia. Chciała czy nie, musiała na niego patrzeć, bo siedzieli w jednej klatce. Pomysł z biżuterią zrodził się z dwu powodów: próbowała dorobić parę groszy, a przy okazji zniknąć z domu. Wracając wieczorem, wyciągała zza szafy materac i tyle miała ze swojego mieszkania, że mogła się umyć i przebrać. Nawet szafę zamykała na patentowy zamek, żeby mąż nie posprzedawał jej ubrań.

- Jak niby mam szukać pracy, jak? - zapiał cienko od progu. - Dowodu nie mam, jestem nikim. Oddaj dowód, to pójdę.

- Do banku po nowy kredyt? - warknęła ze złością.

Sabina miała do czynienia z wieloma bankami, nauczyła się czytać umowy i rozumieć nawet to, co było napisane maczkiem. Wiedziała, że w porządnym banku zaciągnięcie kredytu wiąże się z niebotycznymi kłopotami. Poręczenia, umowy, żyranci, dziesiątki druczków do wypełnienia, jednym słowem - cała wielka procedura. Bolek nauczył się wynajdywać te banki, w których wystarczył sam dowód. Ona zresztą też je знаła, chociaż nie lekceważyła spłat. Bolek przeciwnie, tu wziął cztery tysiące, tu trzy i wyszedł na tym rewelacyjnie: dostawał sześćset złotych renty i musiał spłacić jedenaście tysięcy długu, który wciąż się powiększał. Długi w tego typu bankach rosną dużo szybciej niż odsetki z lokat. Bolek żadnych lokat nie miał. Sabina też nie. Oboje mieli wyłącznie długi.

Ten dzień, choć zapowiadał się tak ładnie, do dobrych nie należał. Sabina nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że ludzie znikają sobie z oczu na wiele lat, nie szukają się, ba, chcą o sobie zapomnieć i nagle ni stąd, ni zowąd ich drogi znowu się krzyżują. Takie spotkania więcej psują niż naprawiają. We wtorek Gadacki, dawny współnik i prawie przyjaciel, wtargnął w jej życie nie po to, by cokolwiek naprawiać. I zaraz w środę dowiedziała się o śmierci Wiecznego Amanta. Kilkanaście lat temu ci dwaj byli nierozłączni i teraz znowu wrócili w duecie. Co prawda niepełnym, bo zmarli w duetach raczej nie chadzają, sprawili jednak, że musiała o nich myśleć. O pierwszym tylko źle, o drugim mimo wszystko z sentymentem. Nie zagrał z nią uczciwie, ale też nie bardzo wiedział, co robi. Oboje byli marionetkami w rękach Gadackiego. Od wczoraj zastanawiała się, czy mimo wszystko nie powinna iść na pogrzeb. Nie żeby od razu pchać się na czoło konduktu między najbliższą rodzinę, bo to nie było miejsce dla niej, ale żeby stanąć gdzieś z boku i - choć uroczystość miała być podobno świecka - odmówić zdrowaśkę. Jedna zdrowaśka na świeckim pogrzebie nikomu nie zaszkodzi, a pomoc może. Nie poszła wyłącznie ze strachu, że stanie oko w oko z dawnym współnikiem. Z tego samego powodu była zdecydowana odrzucić propozycję Wyniosłej Artystki. Ludwik Gadacki był jeden, a gdziekolwiek się pojawił, ludzie wokół niego wpadali w tarapaty. On nigdy. Jemu się udawało, wychodził obronną ręką, do tego bogatszy nie tylko w doświadczenia.

Z niewesołych rozmyślań wyrwał ją Bolek. Zaczął mościć się na tapczanie, postękiwać i Sabina poczuła, że jeżeli nie wyjdzie natychmiast, to lada chwila zwariuje. Dzień był chłodny, wietrzny, więc naciągnęła kaptur głęboko na oczy i biegła przez ulicę z głową zwieszoną, z oczami wbitymi w czubki kozaków. Chodziła tak, jak chodzą ludzie przegrani, którzy próbują stać się dla innych niewidoczni. Tym razem się nie udało, współniczka ją zauważyła i wesoło zagadała.

- Coś ty taka zgarbiona? Tylko patrzeć, jak zaczniesz zasuwać na czterech łapach.

W odpowiedzi Sabina mruknęła coś niewyraźnie. Smutki dnia przygniotły ją i odebrały zapał do żartów. Najchętniej by zapłakała.

Nie czuła się obrażona, że o umówionej godzinie pocałowała klamkę. Nie pierwszy, pewnie też i nie ostatni raz ktoś miał w nosie ją i jej plany. Przywykła. Niezbyt uważnie wysłuchiwała przeprosin, szepnęła, że „nie ma sprawy” czy coś w tym duchu i dopiero w przedpokoju spojrzała na Wiolę. I mimo smutku trochę się rozpogodziła. Dawno już nie widziała tak barwnego ptaszyska. Na głowie wielki czarny kapelusz z ogromniastym rondem, pod kapeluszem żółto-czerwona chustka z końcami omotanymi wokół szyi dla urody i ochrony przed wiatrem, druga chusta w barwach ognia zarzucona na futro i przewiązana z przodu, na nogach czerwone pseudoindiańskie kozaki z frędzlami. A wszystko to na kobiecie o gabarytach pieca. Wiola uwielbiała szokować strojem, nosiła się kolorowo, zamaszycie i oryginalnie. Nawet gdyby ktoś nie chciał, musiał ją wyłuskać z tłumy i obejrzeć. Lubiała być w centrum zainteresowania i lubiła o tym opowiadać po swojemu: „Patrzył, jakby chciał mnie zjeść!” albo „Poszedłby za mną jak nic, tylko kobita chwyciła go za rękaw”. Mówiąc inaczej: cierpiała, wcale przy tym nie cierpiąc, na chroniczne zainteresowanie mężczyzn. I choć przeżyła w stanie panińskim czterdzieści osiem lat, nie traciła nadziei na romantyczną miłość zakończoną ślubem.

- Co się tak gapisz? - spytała. - Źle wyglądam?

- Fantastycznie! - Sabina wreszcie odzyskała głos. - Odważne kolory, chociaż jak na pogrzeb chyba trochę za śmiało.

- Żałobę nosi się w sercu - zauważyła nie bez racji Wiola. - Takich połowicznych wdów jak ja na cmentarzu było na pęczki. Większość to baby w naszym wieku. Ludzi nawet sporo, aktorów też, powiem ci, że całkiem ładny pogrzeb.

- Podobno bez księdza - wtrąciła Sabina.

- Jak bez księdza? Normalny pogrzeb, z księdzem, z mówkami nad grobem. Za dużo nie słyszałam, bo straszna ciasnota i żeby się przepechać, musiałabym włączyć na cudze mogiły. W życiu tego nie zrobię. Raz widziałam jak facet stanął na płycie i żywcem wpadł do środka. Wyobrażasz sobie?

Wzdrygnęła się, otrząsnęła i poszła powiesić futro w szafie. Jeszcze z pokoju pokrzykiwała do Sabiny, jakie to aktorskie sławy widziała na cmentarzu.

- I teraz rzecz najważniejsza, byłam - zawiesiła głos - w życiu nie zgadniesz, gdzie byłam - dokończyła, wciskając się w fotelik przy swoim stoliku.

- Załapałaś się na stypę?

- No co ty? Byłam na obiedzie. Tylko nie pytaj, czy na cmentarzu, bo nie. Już w bramie spotkałam faceta, z którym kiedyś pracowałam. Koniecznie chciał uczcić to spotkanie, a że był głodny, zaciągnął mnie do naleśnikarni. Owdowiał, wyobrażasz sobie?

- To się zdarza - odpowiedziała Sabina.

- Faktycznie - zgodziła się Wiola. - Owdowiał ze trzy lata temu i wciąż jest sam. Gapił się na mnie bardziej niż na naleśniki, choć podobno był głodny. Wymieniliśmy numery telefonów, wiesz, jak to jest. A ciebie jeszcze raz przepraszam. Zostawiłam komórkę w domu, przykro mi...

Rzeczywiście było jej przykro, a Sabina nie chciała ciągnąć w nieskończoność wątku przeprosin. Odpuściła, zapomniała. Wyjęła z torebki ametysty i położyła obok komputera.

- Poznajesz?

- Ruszyło go sumienie i odesłał! - wykrzyknęła uradowana współniczka.

Lubiła ludzi i niechętnie się godziła z tym, że czasem ci ludzie popelniali zwykle świństwa.

- Jakby odesłał, to na twój adres, nie na mój - zauważyła Sabina. - Gadacki nie wie, co to sumienie. Dostałam ten naszyjnik od Wyniosłej Artystki. Zażartowała sobie, że wyłudziła go podstępem. Więcej nie musiała mówić.

- Nic nie rozumiem! - westchnęła bezradnie Wiola. - Co ma do tego Wyniosła Artystka?

Dla Sabiny sprawa była jasna jak słoneczny dzień. Zrobiła trzy naszyjniki z ametystów różniące się zaledwie detalami. Jeden został kupiony natychmiast po wystawieniu na Allegro i powędrował gdzieś na południe Polski, drugi kupił LuGad, czyli Ludwik Gadacki. Kupił, lecz nie dostał, bo przesyłkę odebrała żona. Czy w innym wypadku Wyniosła Artystka powiedziałaaby, że wyłudziła naszyjnik? Odebrała paczkę i z czystej kobiecej ciekawości zajrzała do środka. Może chciała sprawdzić, jakie prezenty mąż kupuje kochance, może otworzyła przez

pomyłkę i wołała się do tego nie przyznawać, dość, że ametysty trafiły w jej ręce. Nie chciała ich, bo miała całą szufladę piękniejszych i droższych ozdób, więc podarowała naszyjnik Sabinie. Trzeci naszyjnik również poszedł do Gadackiego, i ten prawdopodobnie zawiśnie na szyi damy jego serca, którą Pan Bozia powinien mieć w szczególnej opiece. Bliższe kontakty z Ludwikiem Gadackim nikomu jeszcze nie wyszły na zdrowie.

- Czy to możliwe, żeby piękna i sławna kobieta poślubiła LuGada, jeżeli z niego taka swołocz! - wykrzyknęła współniczka.

- Myślisz, że on ma na czole napisane, że złodziej i drań? - Sabina westchnęła smętnie. - Kiedy go poznałam wyglądał całkiem przyzwoicie. To był taki ciepły, troskliwy facio, któremu chciało się powierzyć największy sekret. Z upływem lat pewnie zrobił się jeszcze cieplejszy i troskliwszy.

- Jasne! Zwłaszcza kiedy żonę nazywał wywłoką, to zrobił się taki cieplutki, że aż parzył. Nie znoszę takich facetów. Szkoda mi Wyniosłej Artystki.

- Bo ja wiem? - zastanowiła się Sabina. - Może oni dobrali się jak w kocu maku? Posłuchałam dzisiaj, jak ona traktuje ludzi, choćby przez telefon, i powiem ci, że uczucia mam mieszane. Jeżeli tylko jest górą, natychmiast daje to odczuć. To szkoła Gadackiego.

- Ciebie też traktowała z góry?

- Nie, dla mnie była bardzo miła - powiedziała cicho Sabina. - Na początku trochę oschła, ale potem naszyjnik mi dała i zaproponowała pracę w nowym domu, taką na cały etat. Cholernie szkoda mi pracy. Gadacki nigdy się nie zgodzi, żebym prowadziła mu dom. Zniszczył mnie, przekreślił, to teraz nie mogę się plątać pod nogami niczym wyrzut sumienia. Zresztą ja też nie chcę go więcej oglądać.

- Wciąż powtarzasz, że cię zniszczył - zaczęła wolno Wiola - ale nie mówisz, co on takiego zrobił?

- Uwierz mi, nawet myśleć o nim nie umiem spokojnie, co dopiero opowiadać - Sabina zamilkła i od niechcienia szkicowała na kartce wzór naszyjnika. Praca pochłonęła ją całkowicie, nie na tyle jednak, by rozbudzone wspomnienia dały się uśpić.

Wiola z westchnieniem włączyła komputer. Było jej trochę przykro, że Sabina traktuje ją nieufnie i z rezerwą. Sama była kobietą otwartą, szczerą i nie miała zbyt wielu tajemnic.

Czwartek, 9 listopada, dziewiętnaście lat wcześniej... i kilka lat później

Prosto z cmentarza pojechali do domu na Polną. Matka wzbraniała się przed słowem stypa, mówiła jedynie o szklance gorącej herbaty na rozgrzewkę. Oczywiście przygotowała to i owo, bo przecież samą herbatą nie mogła podejmować najbliższej rodziny i przyjaciół. Oprócz Sabiny z Bolkiem i Januszkiem zgarnęła z cmentarza siostrę zmarłego męża oraz dwóch jego przyjaciół z żonami. Pojawił się też Ludwik Gadacki, który od pewnego czasu często gościł na Polnej. Matka była nim oczarowana, że taki stateczny, przyjazny i mimo młodego wieku bardzo ustosunkowany. Gadacki przekroczył już czterdziestkę i z całą pewnością był mężczyzną obrotnym, stworzonym do interesów. Nie mówił: „Sprzedałem” czy „kupiłem”, mówił: „Udało mi się to załatwić z czystej przyjaźni dla państwa”. Matce bardzo się podobała czysta przyjaźń i wielokrotnie powtarzała, że samo niebo zesłało im pana Ludwika. Ojciec wykazywał więcej rezerwy, jednak chętnie korzystał z nieograniczonych możliwości nowego znajomka. Dzięki niemu, nawet w najtrudniejszych czasach strajków, kupował złoto i kamienie oraz dostawał w komis różne precjoza. Czasy co prawda nie sprzyjały jubileom, ludzie mieli kłopoty ze zdobyciem najpotrzebniejszych rzeczy, ale przecież zaręczali się i żenili, poza tym mieli do naprawy różne drobiazgi i zakład nie najgorzej prosperował.

Rozmowa przy obiedzie nie bardzo się kleiła. Matka pochlipywała z wielkiego żalu, bo nie zdążyła oswoić się z wdowieństwem. Gdyby mąż chorował, gdyby leżał, to co innego, ale on usiadł z gazetą w fotelu i nie wstał. Odszedł sobie cicho, spokojnie, a ją zostawił z całym kramem, wprawdzie bez długów, za to z córką, zięciem i wnukiem na głowie. Historia Sabiny dla nikogo z gości nie była tajemnicą, jednak matka uparła się, żeby żal po mężu połączyć z żalem do córki i jeszcze raz

opowiedzieć, jak to Sabina zawiodła rodziców, nie wykazując zapału do jubilerstwa.

- Talent plastyczny wzięła po ojcu, zgrabne ręce po mnie, tylko chęci do pracy po nas nie wzięła. I co teraz? Jeśli sprzedamy zakład, to z czego będziemy żyć? - biadoliła.

- Przestań, mamó! - Sabina niby prosiła grzecznie, lecz w jej głosie dawało się wyczuć wzbierającą irytację.

Śmierć ojca była dla niej wystarczającym ciosem, by mogła spokojnie wysłuchiwać utyskiwań matki. Zresztą знаła je na pamięć, a i goście również. Matka lubiła się obnosić ze swoimi żałami i szukać u ludzi współczucia. Teraz też, napomknęła o talencie córki oraz jej zgrabnych rękach, zatrzymała się moment na nieudanej edukacji, by gładko przejść do nieudanego małżeństwa. Bolek zaczął kręcić się nerwowo. Jego te opowieści jeszcze bardziej dotykały, bo w oczach teściowej był głównym sprawcą wszystkich nieszczęść. Ledwie się pojawił, Sabina zaszła w ciążę, rzuciła studia i wyszła za męża, by klepać biedę u boku męża i wciąż korzystać z pomocy rodziców.

Jak zwykle, gdy w opowieściach dochodzi do głosu czysty żal, prawda rozmywa się i idzie na dno. Prawdą było, że Sabina nie miała zwyczaju słuchać tego, co rodzice jej podpowiadali i od najmłodszych lat próbowała sama decydować o sobie. Jubilerstwo jej nie pociągało, a że uczennicą była słabą, za to niezłą lekkoatletką, wybrała pierwsze lepsze studia, na jakie miała szansę się dostać, czyli kulturę fizyczną. Niestety, rozczarowały ją zajęcia teoretyczne, zwłaszcza anatomia i poddała się po niecałych dwu semestrach. Z oporami dała się zagonić do pracowni ojca, w ciągu roku zdążyła nawet błysnąć niewielkim talentem, jednak ten wybór uznała za jeszcze bardziej chybiony. I wcale nie było prawdą, że wyszła za męża z powodu ciąży. Ona tylko wykorzystała wpadkę, jaką była ciąża, żeby wyjść za męża i wyrwać się z domu. Nawet Bolek o tym nie wiedział, tym bardziej matka. Nieprawdą też było, że młodzi sobie nie radzili. Bolek został wartownikiem w zakładach mięsnych, ona kelnerką w dość modnej kawiarni i mimo wszystko jakoś sobie radzili, tyle że nie za dobrze. Ciężko było zwłaszcza Sabinie, przyzwyczajonej od dziecka do luksusów. Jeśli więc ojciec hojną

ręką wspomagał córkę i wnuka, to nie widziała powodów, by martwić go odmową. Chciał kupić młodym mieszkanie, to kupił, chciał kupić córce używany samochód, też kupił, chciał rozpuszczać Januszka prezentami, to rozpuszczał. Jednak najbardziej krzywdzący był zarzut o niewdzięczności Sabiny i jej męża. Cała rodzina, z matką i ojcem włącznie, przetrzymała kryzys tylko dzięki zapobiegliwości Bolka. Gdy inni ludzie po nocach stali w kolejkach przed sklepami mięsnymi, matka otwierała pełną zamrażarkę i głowiła się, co też wybrać na obiad. Nigdy o tym głośno nie mówiła, wolała punktować wady zięcia, te prawdziwe i te wymyślone, zapominając o połędwicy w kryzysie. Jeszcze kilka lat wcześniej chciała go w cyrku pokazywać za pieniądze, że niby taki umięśniony, potem zmieniła zdanie i dodawała, że odkąd sflaczał, to nawet do cyrku się nie nadaje. Na szczęście o tym sflaczeniu mówiła taktownie i po cichu, jedynie córce do ucha. Widać zachowała jakieś resztki przedwojennej kindersztuby.

Sabina wcale nie uważała, że wychodząc za męża, popełniła największe głupstwo w swoim życiu. Kiedy się poznali, Bolek był kandydatem na złotego medalistę w podnoszeniu ciężarów i rwał nie tylko sztangi, lecz także oczy dziewczyn. Widać jednak kariera sportowa nie była mu pisana, bo w wieku dwudziestu sześciu lat zaczął poważnie niedomagać. Lekarz stwierdził złośliwego raka trzustki. To była dobijająca diagnoza. Bolek rzucił treningi, przestał dbać o kondycję i załamał się psychicznie. Późniejsze badania wykluczyły raka, lecz on miał go już w głowie. Nie dosłownie oczywiście. Stał się przewrażliwiony na punkcie zdrowia, co dla otoczenia, zwłaszcza dla młodej żony, było dość męczące. Przymykała oczy na te dziwactwa. Nie był złym mężem, brakowało mu jednak czułości, polotu i choćby odrobiny romantyzmu. Za to nieźle się sprawdzał jako ojciec.

Matka przy stole biadoliła i załamywała ręce, a Sabina powtarzała sobie w myślach, że wychodząc za Bolka, wcale nie trafiła najgorzej.

- Co robić? Radźcie, co robić? - to pytanie przewijało się raz po raz.

Goście, tak dramatycznie proszeni o pomoc, milczeli speszeni. Jedną z przyjaciół zmarłego, szlifierz kamieni, gotów był odkupić warsztat

dla swojego syna. To już było coś. Gadacki nie wrywał się z radami, zostawił pole starym wypróbowanym przyjaciółom, zabrał głos dopiero wówczas, kiedy oni zamilkli na dobre. Mówił powoli, z namaszczeniem, pięknie modulując głos.

- Sprzedać. Oczywiście, że sprzedać, jeżeli nie ma nikogo, kto poprowadziłby zakład równie pewną ręką jak dotychczasowy właściciel. Jednak sprzedać nie wystarczy, trzeba jeszcze umiejętnie ulokować pieniądze, żeby czerpać z nich zyski. Proszę mi wierzyć, idą naprawdę nowe czasy, które zaradnym pomogą wypłynąć, a miernoty zatopią. Radziłbym zainwestować w jakiś pewny interes, który mogłaby poprowadzić pani Sabina. Może w restaurację? Może w kawiarnię? - uśmiechnął się lekko do Sabiny. - Ludzie muszą gdzieś jeść i muszą mieć miejsce, gdzie mogą się spotkać. Znam się trochę na branży gastronomicznej i, w miarę swoich sił, chętnie pomogę.

- Mówi pan? - spytała ostrożnie matka. - Sabinie przysługuje tylko jedna czwarta. Połowę po mężu biorę ja i z drugiej połowy jeszcze połowę.

- I co pani robi z tymi pieniędzmi? Włoży je w materac? Żeby czerpać, trzeba inwestować. Nie mówię, że wszystko, ale sporą część na pewno.

Sabina wsłuchiwała się w słowa Gadackiego jak urzeczona. Nigdy nie pomyślała, że mogłaby mieć własną kawiarnię. Przytulne miejsce z pięknymi meblami, wypełnione zapachem kawy, wanilii i może jeszcze jakiegoś dobrego trunku, na przykład rumu. A ona siedziałaby za barem, ubrana... Bardzo długo nie mogła sobie darować, że w dniu pogrzebu ojca jej myśli krążyły wokół ciuchów. To właśnie wtedy wykombinowała połączenie czarnego z czerwonym. Przestała marzyć dopiero w chwili, gdy goście zaczęli się żegnać. W przedpokoju szlifierz kamieni odciągnął ją na bok i ujął pod rękę.

- Uważaj, Sabinka, na tego gościa - powiedział cicho. - Jak na moje ucho, on za gładko gada, całkiem jakby wszystko sobie obmyślił wcześniej. Na twoim miejscu ominąłbym go szerokim łukiem.

- Przecież to dobry znajomy taty.

- Jaki tam dobry znajomy? Skuteczny pośrednik, i tyle. Dostarczał towar, brał niemałą prowizję, ale wiadomo, każdy chce żyć. To zwykły paser, Sabinka, miej to na uwadze.

Sabina obiecała, że będzie ostrożna i z miejsca o obietnicy zapomniiała. Potem, po czasie, dotarło do niej, że było to pierwsze ostrzeżenie. Zlekceważyła je tak samo, jak i następne.

Ojciec nie zostawił testamentu i prawie przez pół roku Sabina i matka załatwiały formalności spadkowe. Gadacki całkiem poważnie potraktował swoją obietnicę, wynalazł odpowiedni lokal, przygotował kosztorys remontu i urządzenia kawiarni. Na papierze operował wielkimi kwotami i Sabina chwilami przestawała wierzyć, że podoła takim wydatkom, nawet jeżeli weźmie kredyt. Gadacki i na to znalazł sposób: kredyt oczywiście tak, a dodatkowo wejście z nim w spółkę. Obiecał znaleźć najlepszego prawnika, który właściwie przygotowuje umowy.

- To może ja też powinnam mieć swojego prawnika? - zawahała się Sabina.

- Prawnik kosztuje tyle, co pierwszorzędny ekspres - roześmiał się Gadacki. - Nie lepiej kupić ekspres do kawiarni? Gwarantuję ci, że jeden spec od paragrafów nam wystarczy.

W dniu, w którym podpisali umowę, wspólnik zaprosił ją na kolację. Było pięknie, a przecież miało być jeszcze piękniej. Sabina choć raz gotowa była przytaknąć matce i powiedzieć głośno: „Tak, to niebo zesłało mi Ludwika!” Aniołem z całą pewnością nie był, jednak na interesach znał się doskonale.

Trzy lata po śmierci ojca, niejako z jego poręki, zasiadła za barem w swojej własnej kawiarni U Saby. Nazwę wymyślił wspólnik. Sabina z radością rzuciła się w wir pracy i wreszcie mogła szastać pieniędzmi na lewo i prawo. Miała trzydzieści cztery lata, własną firmę i najprawdziwsze pieniądze, więc trochę przewróciło jej się w głowie. Obracała się wśród ludzi zamożnych oraz bardzo zamożnych i za wszelką cenę chciała im dorównać.

Któregoś dnia do kawiarni zajrzała żona Gadackiego, dość niepozorna kobietka, która tego dnia wyglądała jeszcze bardziej niepozornie.

- Od kilku dni nie mogę złapać Ludwika - powiedziała ze smutkiem. - Poproś go, żeby do mnie zadzwonił. Nie stęskniłam się, nie, nie - dodała szybko. - Chciałam tylko uprzedzić, że nie będę na sprawie rozwodowej. Jutro idę do szpitala.

- Chorujesz? - zdołała wykrztusić Sabina.

O nic więcej nie śmiała pytać. Wiedziała co prawda o romansie Ludwika z Młodą Aktorką, nie przypuszczała jednak, że on przestał nocować w domu i że ma zamiar się rozwodzić.

- Nowotwór - powiedziała Gadacka.

- Masz nowotwór, a on myśli o rozwodzie? - wykrzyknęła zdumiona Sabina. - Czy on nie ma serca?

Co jak co, ale porzucenie najbliższego człowieka w takiej chwili nie mieściło jej się w głowie.

- Oj, Sabinko, Sabinko! Jeszcze się na nim nie poznałaś? Serce Ludwika służy jedynie do pompowania krwi. To zwykły mięsień, bez emocjonalnych znaczeń. Uważaj, żebyś i ty nie obudziła się na ławce w parku.

Po tej rozmowie Sabina musiała na zapleczu wypić drinka, żeby jakoś się pozbierać. Uspokoila się dość szybko. Nie była zainteresowana Ludwikiem Gadackim jako mężczyzną, więc nic jej nie groziło. Dopiero później, po czasie, zrozumiała, że zlekceważyła następne ostrzeżenie.

Pierwszy niezbyt legalny interes, przemyt papierosów, miał miejsce jakieś dwa lata po otwarciu kawiarni. Pieniądze były bajeczne. Rok później Ludwik znalazł nowe dojścia i chciał przemycić spirytus. Część miała iść na potrzeby kawiarni, reszta na sprzedaż z zyskiem. Najpierw jednak trzeba było zainwestować, oczywiście po połowie.

- Nad czym się zastanawiasz? - pytał. - Zarobek dużo większy niż na fajkach, nie mówiąc o tym, że do końca życia będziesz miała zapas do drinków.

- Nie mam takiej kwoty - przyznała niechętnie.

Wytrzeszczył oczy, bo nie bardzo rozumiał.

- A forsa z fajek?

Sabina dawno już zapomniała o pieniądzach zarobionych na papierosach. Przemeblowała mieszkanie, sprowadziła z Niemiec firanki, pościel, dywany i mnóstwo różnych cudowności, które pozwoliły jej poczuć się tak, jakby była kobietą z żurnala. Zmieniła samochód, co wcale nie było inwestycją tanią, i pieniądze się rozeszły. Chętnie zarobiłaby znowu, lekko i bez wysiłku, ale wyczuwała, że w powietrzu wisi coś niedobrego. Może to przemawiała intuicja, o którą sama siebie nie podejrzewała, a może, co wydawało się bardziej prawdopodobne,

ojciec z nieba dawał jej znaki, żeby się opamiętała. Odmówiła dość zdecydowanie i Ludwik był wściekły. Miotał się, jakby go stado os obiadło, kusił, wrzeszczał, znowu kusił, a ona mówiła nie i nie. Patrzyła na współnika i ani w ząb nie mogła pojąć, dlaczego tak bardzo mu zależy na jej udziale. Wciąż robił jakieś interesy na boku, pieniędzy miał mnóstwo i nagle uparł się, że bez Sabiny kroku nie zrobi. Mówiła: „Daj mi spokój, inwestuj sam!” Wreszcie wydusił z siebie, że aż tak dużej kwoty chwilowo nie ma, bo wciąż obraca pieniędzmi, nie trzyma ich na koncie. Cóż mu mogła poradzić? Ona nie miała ani dużej, ani nawet małej kwoty, więc znowu odmówiła. Pewnie wytrwałaby w uporze, gdyby nie wmieszał się Wieczny Amant. To był ten czas, kiedy wielkie uczucie dawno się skończyło, ustępując miejsca ciepłej życzliwości. Któregoś dnia usiadł przy bufecie, spojrzał z wielkim smutkiem, a kiedy się odezwał, zupełnie wytrącił Sabinę z równowagi. Nie przypuszczała, że cokolwiek wie o jej interesach, bo na ten temat nigdy nie rozmawiali.

- Naprawdę nie chcesz wejść w tę wódczaną spółkę z Ludwikiem?

- Dlaczego pytasz?

- Głupia sprawa - przyznał. - Ludwik obiecał mi sporą pożyczkę. Na gwałt potrzebuję pieniędzy. Żona mnie ciśnie za zaległe alimenty, grozi więzieniem... Moja ciekawość świata i chęć dogłębnego poznania życia nie jest tak wielka, żeby obejmowała więzienie.

- Nie płaciłeś alimentów? - spytała z wyrzutem. - Na własne dzieci?

- Wiesz, jak jest, nie idzie mi ostatnio najlepiej, nie gram, nie zarabiam...

Zawahała się, przygryzła usta. Był dziecinnie bezradny, opuszczony, kto miał mu pomóc, jeśli nie przyjaciele.

- W porządku, zobaczą, co się da zrobić - powiedziała cicho.

Jeszcze tego samego popołudnia Sabina zaproponowała Ludwikowi, że weźmie kredyt i wejdzie do wódczanej spółki.

- Najpierw spłać jeden kredyt - mruknął. - Jeżeli się namyśliłaś, pożyczę ci potrzebną kwotę, oczywiście na procent. Nie jestem świętym Mikołajem, nie rozdaję prezentów utracjuszom. Trudno, trochę

mniej zarobisz, to może się nauczysz, że oszczędność jest cnotą.

- Jak to pożyczysz? - spytała przytomnie. - Mówiłeś, że nie masz pieniędzy.

- Bo nie mam. Wiem natomiast, od kogo pożyczyć, żeby cię potratować. Taka wiązana umowa, niestety, na dość wysoki procent, sama rozumiesz, ale odbijemy to sobie z nawiązką.

- A komu ja będę spłacała pożyczkę?

- Mnie, spokojna głowa.

Godzinę później podsunął jej do podpisania umowę. Śpieszył się bardzo, narzekał, że przez opieszałość Sabiny interes przeleci im koło nosa. Przeczytała co drugie zdanie, niewiele zrozumiała i złożyła swój podpis pod niebotyczną jak dla niej kwotą. Ludwik prosto z kawiarni pojechał do banku i potem dalej, żeby odpowiednio zainwestować swoje i Sabiny pieniądze.

Wódczany przemyt miał dojechać po dwudziestym maja, a trzy-nastego, w piątek, Bolek uległ poważnemu wypadkowi. Lekarze rozkładali ręce, mówili, że jeśli nawet wyjdzie z najgorszego, to i tak zostanie kaleką do końca życia. Sabina miotała się strasznie. Pobiegła do kościoła, żeby przed Bogiem i ojcem odnowić śluby małżeńskie. Przyjęła, że jeżeli mąż przeżyje, nie opuści go nigdy, bez względu na to, w jakim będzie stanie. Obiecała też, że więcej nie spotka się z Wiecznym Amantem. Ta obietnica była dość łatwa do spełnienia. Dzień po wypadku Bolka Amant opuścił Warszawę i nie zostawił adresu.

Gorące prośby Sabiny zostały na górze wysłuchane i mąż przeżył, natomiast przemyt, o którym w modlitwach nie wspomniała, skończył się ogromną, piramidalną kłapą. Podobno celnicy przechwycili obydwie samochody. Podobno, bo jak niby Sabina miała to sprawdzić? Ludwik zmartwił się stratą, jednak przyjął ją po męsku i z godnością. Nie lamentował, nie kłął, pocieszał Sabinę, że tak to jest w interesach: raz się zarabia, raz traci, jednak długi spłacać trzeba. Podobno, znów tylko podobno, bo niczego nie mogła sprawdzić, człowiek, który pożyczył pieniądze, naciskał z całą bezwzględnością, więc Ludwik, z nie mniejszą bezwzględnością, domagał się pieniędzy od Sabiny.

Składając swoje autografy pod dokumentami przygotowanymi przez Ludwika Gadackiego oraz jego prawnika, Sabina weszła na drogę, która prowadziła wyłącznie w dół. Dawny wspólnik nie darował jej ani złotówki.

Piątek rano

W piątki Sabina miała do sprzątnięcia dwa mieszkania. Rano jechała do charakteryzatorki pani Magdy, w południe do Znanego Aktora, którego nigdy nie widywała. Zwykle spotykała teściową, czasem żonę, a jeżeli przypadkiem Aktor zostawał w domu, sprzątanie odwoływano, żeby nie zakłócać mu spokoju.

Mieszkanie pani Magdy było małe, jednak solidnie zagęszczone. W dwóch pokojach gnieździły się dwie rodziny: Magda z mężem w mniejszym, córka z mężem i dwójką dzieci w większym. Do kompletu był jeszcze pies i kot, bo dzieci lepiej się chowają w towarzystwie zwierząt. Sabina też lubiła zwierzęta, choć niekoniecznie zamknięte na tak małej przestrzeni. Starannie wymiatała kłaki spod mebli i na kolanach doczyszczala dywan, oganiając się co chwila jak nie od psa, to od kota. Zawsze przy tym sama oblaża sierścią i musiała bardzo uważać, żeby nie przenieść na sobie kłaków do mieszkania Znanego Aktora, o którym wiedziała, że jest na sierść uczulony. W piątki woziła więc dwa ubrania robocze. Czego jak czego, ale starych ciuchów, takich w sam raz do pracy, miała dużo.

Pani Magda zwykle zaczynała rozmowę od narzekania na ciasnotę. Nie mówiła tego głośno, jednak w głębi duszy chyba liczyła, że ciotka, czyli Wielka Zapomniana Artystka, nie każe jej zbyt długo czekać na poprawę warunków lokalowych. Czasem wyrwała się z jakimś smętnym westchnieniem, z którego wynikało, że zbyt długie życie nie jest niczym fajnym. Tym razem nawet o ciotce nie wspomniała.

- Jak się pani pracowało u Wyniosłej Artystki? - spytała, ledwie Sabina przekroczyła próg mieszkania.

- Bardzo dobrze.

- Nie ma pani pojęcia, jak ona wypytywała o panią. Że pytała o czystość, uczciwość, pracowitość to rozumiem, ale żeby się interesować

stanem rodzinnym, to chyba przesada. A ja przecież o pani rodzinie nic nie wiem, poza tym, że ma pani w domu męża chorego na nogi i za granicą dorosłego syna. W Anglii, prawda?

- W Irlandii.

Pani Magda należała do kobiet, które lubiły być dobrze poinformowane. Umiała wykorzystać czas spędzany wśród ludzi, a że pracowała z aktorami, modelując ich twarze, ujmując lub dodając zmarszczek, poprawiając nosy i fryzury, to o nich wiedziała najwięcej. Trudno przez pół godziny czy godzinę pracować w milczeniu, trzeba się odezwać choćby z nudów. Jak już ktoś się odezwie, to i powie coś ciekawego, zwłaszcza jeśli się go naprowadzi na właściwy temat. Pani Magda umiała naprowadzać, charakteryzatorką była świetną, więc miała dostęp do największych sław. Tak jak o dobrych aktorach się mówi, że zagraliby nawet krzesło, tak o pani Magdzie mówiono, że ze stołowej nogi zrobiłaby symbol seksapilu albo Frankensteina, w zależności od potrzeb. I nie były to czcze słowa.

Sabina miała z panią Magdą urwanie głowy, ponieważ jako sprzątaczką zaglądała w rewiry dla innych niedostępne. Tylko ona mogła opowiedzieć, w jakiej pościeli sypia Średnia Aktorka lub jak mieszka Znany Aktor i czy na pewno obraz, który u niego wisi, to oryginalny Kossak. Pani Magda wypytywała o Kossaka całkiem tak, jakby szykowała włamanie. Teraz przyssała się do Wyniosłej Artystki i ani myślała odpuścić Sabinie, mimo że ta uwijała się niczym w ukropie i udawała głuchą.

Panią Magdę to zirytowało.

- Ojej, mnie pani chyba może powiedzieć! - wykrzyknęła. - Przecież pani wie, że plotek nie roznoszę!

- To tak jak ja - zgodziła się Sabina i z wielką werwą zaczęła szczotkować dywan w dużym pokoju.

Pani Magda podreptała za nią, ustawiła się w drzwiach i sama zaczęła nadawać. Był to niezły sposób na pociągnięcie rozmówcy za język, coś na zasadzie: jak ja zacznę, to i ty coś powiesz, bo inaczej rozmowa zdechnie.

- Ja to ją bardzo cenię - zaczęła monolog. - Co do gry, nie będę zabierała głosu, bo to nie moja działka, ale ubrać się umie, jest elegancka

i nie truje w telewizorze ani w gazetach takich pierdoł jak inne. Pani była jeszcze w starym mieszkaniu, prawda?

- W starym.

- Ładnie urządzone?

- Gustownie.

- Mówię przecież, że gust to ona ma. Meble jakie: stylowe czy nowoczesne barachło?

- Zadbane.

- To pewnie je weźmie do nowego domu. Nie ma pani pojęcia, jaki ona dom wystawiła pod Warszawą. W Miedzeszynie bodaj. Podobno nawet kaplicę chce tam urządzić. Stać ją, sama nieźle zarabia i ma bogatego sponsora.

- Myślałam, że jest mężatką - wtrąciła Sabina.

- Aktorom się wydaje, że życie to scena i ciągle chcą zmieniać partnerów. Jakby jeszcze aktorki zaczęły równie często zmieniać nazwiska, to nikt by się nie połapał, która jest która. Człowiek, jak raz wyszedł za mąż, tak trwa w związku, choćby mu się nawet znudziło. Aktor nie. W tym zawodzie święty sakrament małżeństwa jest najczęściej gwałcony, i tego nie zmienimy.

- Nie zmienimy - przytaknęła Sabina. - Jej mąż też jest aktorem?

- Chyba maklerem giełdowym.

- Maklerem - mruknęła Sabina.

- Albo jakimś innym ekonomistą czy finansistą, dobrze nie wiem.

- Finansistą - powtórzyła niczym echo.

- Taki jakiś normalny zawód - ciągnęła Pani Magda. - Widziałam go raz... Nie, może dwa razy. Przystojny chłop, ale co z tego, jak ona teraz znalazła sobie producenta. Przy takim to pożyje. Będzie ją obsadzał we wszystkich swoich produkcjach. Dużo miała telefonów? Podobno ona nawet do łóżka idzie ze słuchawką.

- Nie widziałam jej w łóżku - zastrzegła Sabina, podnosząc się z kłęczek.

Włączyła odkurzacz i pani Magdy wycofała się do swojego pokoju. Nie wydawała się zadowolona ani trochę. Wyciągnięcie z Sabiny najprostszych informacji było zajęciem mozolnym i raczej skazanym na niepowodzenie. Pani Magda wołałaby gosposię bardziej otwartą.

Ceniła dyskrecję, o ile ta dyskrecja dotyczyła jej domu, natomiast o innych domach bardzo lubiła posłuchać.

Od pani Magdy do Znanego Aktora było stosunkowo blisko, zaledwie trzy przystanki tramwajowe. Sabina poważnie się zastanawiała, czy nie pójść piechotą i nie zaoszczędzić na bilecie, ale w końcu dała spokój. Trzy przystanki w Warszawie, to kawał drogi, zwłaszcza że pogoda była psia i nie nastrajała do spacerów. Ciągłe oszczędzanie weszło jej w krew i nawet gdyby jakimś cudem wygrała sto tysięcy, to też pewnie biegałaby piechotą i kupowała najtańsze pierogi na obiad. Tak jej się przynajmniej wydawało.

Znany Aktor zajmował piękny lokal w luksusowym apartamentowcu. Mieszkanie było dopieszczane, teściowa wiecznie biegała ze ściereczką i dla gosposi zostawiała najcięższą pracę: mycie okien, trzepanie dywanów, odkurzanie za wielkimi meblami, które trzeba było od czasu do czasu odsunąć. Jednak w piątki Sabina sprzątała wszystkie kąty, łącznie z gabinetem pana domu, gdzie przeżywała katusze. Porządek na biurku był idealny, książki równo ułożone, a starsza pani chodziła za nią i prosiła, żeby niczego nie ruszyć, niczego nie przestawić, jakby nie ufała staranności Sabiny. W innych pomieszczeniach nie patrzyła jej na ręce, natomiast w gabinecie wykazywała niesamowitą wręcz gorliwość. Sabina dość długo żyła w przekonaniu, że Znany Aktor jest satrapą, gotowym awanturować się o krzywo położony ołówek. Uspokoila ją dopiero pani domu. „Proszę się nie przejmować i robić swoje - powiedziała. - Mama uprawia kult mężczyzny i rozpuszcza mi męża. Na szczęście on jest wystarczająco normalny i znosi to ze stoickim spokojem”.

Teściowa była bardzo miłą panią. Po skończonej pracy zabierała Sabinę do kuchni i częstowała czymś pysznym. Raz był to ptyś, innym razem galaretką z cielęciny. Sabina protestowała nieśmiało i zawsze słyszała ten sam argument: „Pani ciężko pracuje, to i musi zjeść. Jada pani chociaż regularnie śniadania i obiady?” Sabina przytakiwała, ale nie rozwodziła się nad swoim jadłospisem. Z czasem przestała się wzbraniać przed poczęstunkiem, bo zwykle były to smakołyki, o jakich dawno zdążyła zapomnieć. Poza tym starsza pani wydawała się zachwycona, że może nakarmić kogoś, komu wszystko smakuje. „Mój zięć to kochany człowiek, tylko dogodzić mu trudno” - mawiała czasem.

Nie brzmiało to jak skarga, lecz stwierdzenie faktu. Teściowa Znanego Aktora nigdy się nie skarżyła, nie narzekała na ludzi ani na choroby. Opowiadała właściwie o wszystkim i o niczym: o rozmowie w sklepie, o wczorajszym filmie w telewizji albo zabawach dzieci za oknem. W piątek zajmował ją wyłącznie pogrzeb Wiecznego Amanta. Sabina odkuzała obrazy i słuchała z rosnącym zainteresowaniem.

- On kończył szkołę razem z moim zięciem - mówiła starsza pani. - Nie przyjaźnili się zbyt, choć mieli dla siebie dużo życzliwości. To był miły i wrażliwy chłopiec, tylko za wcześnie odniósł sukces. Teraz wszyscy mówią: alkohol go zgubił. Ja to widzę inaczej. Uciekł w alkohol, bo bał się, że nie sprosta wielkim oczekiwaniom. Po pierwszej roli zachwalili go, zagłaskali i przepadł. Może gdyby od razu znalazł oparcie w mądrej kobiecie, też byłoby inaczej, niestety, szczęścia w miłości to on nie miał. Uwielbiały go same gąski, a kiedy wreszcie on się zakochał... Cóż, czasem i tak bywa. W przeddzień wyjazdu z Warszawy przyszedł się pożegnać. Smutny był, powiedziałabym nawet, spanikowany, jakby czuł, że już tu nie wróci. Cały wieczór opowiadał o niej.

- O kim? - spytała Sabina.

- Może nie powinnam tego powtarzać, bo to przecież cudze sekrety, ale nawet mój zięć, który bardzo serio traktuje życie zauważył, że niespełniona miłość odebrała koledze rozum. Ja bym to ujęła bardziej po kobiecemu, że bez uczuć człowiek usycha.

- Wiadomo, kim była ta kobieta?

Starsza pani uśmiechnęła się domyślnie. Pamiętała czasy, kiedy młode dziewczyny szalały za przystojnym Amantem. Sabina mogła być jedną z nich, czemu nie.

- Pani też się w nim kochała? - zagadnęła nieco weselej.

Sabina pokręciła głową i dodała, że pyta z czystej ciekawości.

- Poznał ją u nas, to przyjaciółka mojej córki, też lekarka - wyjaśniła. - Mądra i bardzo piękna, pewnie jedyna, która mu się oparła, dlatego tak oszalał. To jasne, że żadna porządna kobieta nie zostawi męża i córek, żeby się związać ze straceńcem. Nachodził ją, błagał, u nas się wypłakiwał... Oj, mieliśmy z nim sporo kłopotów, zanim wyjechał. Ze trzy lata to się ciągnęło.

Kurz czy jakiś większy pyłek z ramy wpadł Sabinie do oka i starsza pani natychmiast wysłała ją do łazienki. Przyniosła też kieliszek do płukania gałki ocznej i nie spoczęła, póki Sabina nie zrobiła wszystkiego jak trzeba.

Piątek po południu

Sabina wracała do domu przed piętnastą, a więc w porze największego tłoku w tramwajach. Stała spokojnie, kiedy poczuła, że wokół niej robi się dziwnie ciasno. Znała te sztuczki. Z torebką przy piersiach dopchała się do przodu, by wysiąść o jeden przystanek wcześniej. Mimo że zachowała czujność, nie ustrzegła się przed złodziejem. Pięniędzy ani dokumentów nie mógł jej ukraść, bo nosiła je w wewnętrznej kieszeni skafandra, za to zwędził z reklamówki pakunek z ubraniami. Gdyby nie była tak przybita, pewnie parsknęłaby śmiechem, wyobrażając sobie minę cwaniaka, który odwija papier i wyciąga workowatą bluzkę i fioletowe rybaczki równo utyłane w psich kłakach.

Pogoda wciąż była paskudna, co już Sabinie nie przeszkadzało. Zdecydowała się na spacer, żeby po drodze to i owo przemyśleć. Prawda o Wiecznym Amancie uwierała ją niczym zadra pod paznokciem. Nie chodziło wcale o stare sentymenty. Przez czternaście lat wyzbyła się ich co do jednego. Miłość... Nie, to nie była miłość, najwyżej krótki szal, ogłupienie, nic więcej. Wszystko minęło, zostało ciepłe przeświadczenie, że przez dwa lata była dla niego kimś więcej niż drugoplanową postacią w filmie. Przez moment, słuchając teściowej Znanego Aktora, pomyślała, że była postacią pierwszoplanową, by na końcu zrozumieć, że odegrała ledwie epizodzik. Troszczyła się o niego, wysłuchiwała niekończących się narzekań na znowę reżyserów, pocieszała i miała prawo przypuszczać, że była dla niego ważna. Nawet nie podejrzewała, że istnieje jakaś inna kobieta poza zaniechdaną żoną. A może ta inna też nie istniała? Wieczny Amant tak pomieszał życie ze sceną, że czasem sam się płatał. W każdym razie malutka zadra pod paznokciem tkwiła.

Sabina człapała ulicą z oczami wbitymi w ziemię i powtarzała sobie, że nigdy więcej nie uwierzy żadnemu mężczyźnie, choćby nawet ją

zaklinał. Potknęła się i w porę spojrzała w szybę wystawową. Zobaczyła chudą kobietę z kapturem nasuniętym prawie na nos. Ściągnęła kaptur, ale odbicie w szybie niewiele na tym zyskało. Włosy ulizane, ściągnięte gumką, twarz blada, bez makijażu. Cóż, kosmetyki kosztowały, fryzjer kosztował, więc obywała się bez luksusów. Czy jakkolwiek mężczyzna przy zdrowych zmysłach chciałby taką kobietę zaklinać? Może tylko Bolek, ale jego zaklęcia, czy raczej drobne oszustwa, ograniczały się do wyżebrania kilku złotych na automaty, na co Sabina dawno się uodporniła.

Naciągnęła szybko kaptur i poszła dalej. Po drodze wstąpiła jeszcze do sklepu, żeby nie zamorzyć głodem siebie i męża.

Granatowe uderzenie wciąż było w rozsypce, ograniczało się do jednego naszyjnika, który powoli zaczynał nabierać kształtów.

- Nieźle to sobie wykombinowałaś - pochwaliła ją współniczka. - Ty masz talent plastyczny, nigdy nie myślałaś, żeby studiować na Akademii Sztuk Pięknych?

- Matka wciąż o tym myślała, co wystarczyło, żeby mnie raz na zawsze odstraszyć - wyjaśniła Sabina.

- Dlaczego? Dobrze ci radziła. Ja zdawałam na policjantkę, to znaczy jeszcze wtedy na milicjantkę. Zawaliłam egzamin sprawnościowy. Odwalając mnie, nie wiedzieli, co tracą. Byłabym niezłym detektywem, drugą agentką Starling jak Jodie Foster w *Milczeniu owiec*. Mówię poważnie. A ty kim chciałaś być?

- Kochanką szejka - palnęła Sabina. - Nie wiem tylko, czy znalazłabym odpowiednio bogatego, żeby go za szybko z torbami nie puścić. Wciąż mi się wydaje, że ktoś tam w górze zamienił mi karty i przez całe życie gram cudzymi.

- Dlatego, że żaden szejek cię nie chciał? - roześmiała się Wiola. - Każdy przegrany człowiek mógłby powiedzieć, że dostał cudze karty. Jest pewnie tak, że dostajemy swoje, tylko nie wszyscy chcemy się nauczyć grać.

Wróciły do pracy. Wspólniczka przygotowywała opisy do nowych naszyjników, które jeszcze chwilowo były sieżką. Przeglądała strony innych wystawców i co chwila wybuchała śmiechem, rzadziej podziwem. Śmieszyły ją opisy typu: „Bardzo ładny złoty pierścioneczek z czerwonym oczkiem”. Wyłosiła wtedy głośno: „A próba złota,

durniu? - pytała. - A rozmiar? I co to niby znaczy: czerwone oczko? Kamień prawdziwy czy syntetyk, rubin czy..." - Ty, Sabina, jakie są jeszcze czerwone oczka?

- Króliki mają czerwone oczka - wyjaśniła z powagą Sabina, co bardzo ucieszyło i rozbawiło współniczkę.

- Trujesz! - zachichotała. - Posłuchaj, co o tobie napisałam. „Naszynnik wykonany w całości z brazylijskich granatów jest dziełem znakomitej polskiej projektantki”.

- Który naszynnik?

- Każdy, który zrobisz. Opis jest uniwersalny, dopiero potem dodam szczegóły. Ty wiesz, jakie tu bzdety ludzie wypisują? Sznurek niebieskich równiutkich koralików zaprojektowała najlepsza amerykańska artystka. Ta się dopiero wysiliła! Ty przynajmniej główkujesz. Niektórym sprzedawcom nie chce się zmieniać opisów i jednym tekstem lecą po całym towarze, nie to co ja. Wiesz co? Chyba trzeba będzie z opcji „Kup teraz” przejść na „Licytuj”. Ludziska kochają licytacje, wydaje im się, że dostaną towar za pół ceny. Możemy im zafundować trochę złudzeń. Co ty na to?

- Rób, jak uważasz, a na pewno będzie dobrze - zapewniła Sabina. - Trzeba wystawić te ametysty od Wyniosłej Artystki - przypomniała.

Wspólniczka spojrzała z politowaniem. Wystawiła je jeszcze wczoraj. Było zdjęcie, był piękny opis, więc na co miała czekać. Wiadomo przecież, że nabywców nie interesuje towar ukryty w szufladzie, tylko ten zaprezentowany na aukcjach. W krótkim czasie stronę z ametystami obejrzało jedenaście osób, czyli wcale nie tak mało.

- Gdzie jest ulica Sąznista - spytała nagle.

- Pojęcia nie mam - mruknęła niewyraźnie Sabina.

Trzymała w ustach jedną żyłkę, a drugą próbowała zamocować na srebrnej obręczy.

- Co ty gadasz? Tak cię skleroza siekła, że dzisiaj już nie wiesz, gdzie byłaś wczoraj?

- Niby po co? I bez Sąznistej wystarczająco wspomagam miejską komunikację. Ty wiesz, ile ja kasy tracę na bilety - tłumaczyła Sabina, biedząc się z drugą żyłką.

Spojrzała na Wiołę i zobaczyła wbite w siebie brązowe oczy. Odruchowo przetarła usta wierzchem dłoni, przekonana, że musiała się wysmarować granatami, bo czym innym.

- Słuchaj - zaczęła współpracowniczka uroczystym tonem - jestem trzeźwa jak w dniu narodzin albo jeszcze trzeźwiejsza, jednak czegoś nie chwytam. Rozumiem twoje tajemnice, dopóki nie zaczynają mnie dotyczyć. A ta mnie dotyczy, bo to ja, dla dobra firmy, wysyłałam drugi naszyjnik temu samemu facetowi. Przeglądam teraz listę wysyłek, kapujesz? Wpadł mi w oko LuGad i zobaczyłam, że on mieszka na Sąznistej. Nie wiem, gdzie to jest, więc pytam ciebie. Byłaś wczoraj u jego żony, to powinnaś wiedzieć. Nie wciśniesz mi ciemnoty, że żyją oddzielnie, bo pamiętam, jak mówił o wy włóce, z którą mieszka pod jednym dachem. Kochanki by tak nie nazywał, w każdym razie nie na etapie, kiedy jeszcze kupuje jej biżuterię. Musiało chodzić o Wyniosłą Artystkę.

- Ona mieszka w centrum, na Śliskiej! - sprostowała Sabina. - Wczoraj byłam na Śliskiej, nie na żadnej Sąznistej! Owszem, ślady mężczyzny widziałam, i to wyraźne. Kaptcie w przedpokoju, na wieszaku trenz, w łazience woda po goleniu i szlafrok, z całą pewnością wszystko męskie.

- To znaczy, że oni nie są małżeństwem - stwierdziła stanowczo współpracowniczka. - Od razu coś mi nie pasowało. Ona artystka, on swołocz! Tobie to pasuje?

- Czemu nie? - zastanowiła się Sabina. - Dzisiaj się dowiedziałam, że jej mąż jest maklerem czy finansistą, w każdym razie kimś, kto kręci się koło pieniędzy. Gadacki, odkąd go poznałam, kręcił się wyłącznie koło pieniędzy, i to mu na pewno zostało. Poza tym Artystka mówiła o wyłudzeniu. Prezenty wyłudza się od męża, kochanek chyba daje z własnej woli. Tak przynajmniej myślę, chociaż mogę się mylić. Brakuje mi doświadczenia - westchnęła bezradnie.

- Na to wychodzi, że się mylisz - przytaknęła Wioła. - Ja ci mówię, że ona nie jest żoną LuGada, ona jest tą babą z najpiękniejszym dekoltem w Warszawie. To prawda z tym biustem, bo z telewizora jakoś nie pamiętam?

- Była zapięta pod szyję, nie widziałam - mruknęła Sabina. - Nie chce mi się wierzyć w to, co mówisz. Wczuj się w jej sytuację. Płaczesz

kochankowi w rękaw, że nie masz co na siebie włożyć, wyłudzasz naszyjnik i na drugi dzień pozbywasz się prezentu?

- Mogę się wczuć, czemu nie - zgodziła się Wiola. - Tylko pamiętaj, że ja to ja, a ona to ona. Brylantowej kolii pewnie obie byśmy nie oddały, co do ametystów nie mam takiej pewności. Ja bym wzięła, ona mogła uznać, że to poniżej jej godności.

Patrzyły na siebie kompletnie skołowane.

Sobota rano

W soboty Sabina jeździła na ulicę Konwiktorską do matki. Wiozła ze sobą robocze ciuchy, bo dla niej był to normalny dzień pracy, tyle że nie za pieniądze. Nie lubiła sobót. Nie dlatego, że matka i że praca bez pieniędzy, to było oczywiste, nie lubiła ponieważ od lat międlili jeden i ten sam temat. Z międlenia nic poza goryczą nie wynikało

Matka, choć kiedyś wydawała się bardzo oczarowana panem Ludwikiem, nie weszła z nim w interesy. Na darmo kusił ją i obiecywał wysokie procenty od dochodów. Powiedziała: „Wierzę panu, że na kawiarni można zarobić, tylko, widzi pan, w interesach dobry był mój nieboszczyk mąż, ja się na tym nie znam. Z doświadczenia wiem, że czego nie wypracowaliśmy własnymi rękami, to samo do nas nie przyszło. Pan mi mówi, że wystarczy siedzieć w domu, a pieniądze będą płynąć na konto. Za stara jestem na takie eksperymenty, Sabina młodsza, jeśli chce, niech próbuje. Nawet gdybym jej odradzała, to i tak zrobi mi na przekór”. Rozmawiali wtedy w trójkę i Sabina słyszała każde słowo. Z kolei Gadacki słyszał, co matka miała do przekazania córce: „Jeśli ci się powiedzie, możesz liczyć na mój podziw, nie licząc jednak na moje pieniądze, jeśli ci się nie uda. Na starość nie chcę zebrać pod kościołem ani zostać na twoim utrzymaniu”. Sprawa była więc od początku jasna, przynajmniej jeżeli chodzi o udział matki w interesach. Trzeba jednak przyznać, że wobec Sabiny zachowała się ładnie, dzieląc majątek po mężu na pół. Może nie tak dokładnie na pół, ponieważ sobie zostawiła wszystkie gotowe wyroby ze złota, zastrzegając, że to na czarną godzinę. Niewiele, trochę pierścionków, łańcuszków i bransoletek. Pieniądze zaniósła do banku, otworzyła jakies

lokaty i co miesiąc dobierała drobne kwoty do emerytury, o którą w odpowiednim czasie zadbał mąż. Od początku była jego współpracownicą i wspólniczką, więc zdążyła sobie wypracować emeryturę. Połowę duszy zostawiła w sklepie i w dniu sprzedaży niemal się rozchorowała. Druga połowa należała do mieszkania na Polnej, gdzie przeżyła swoje najlepsze lata. Sklep i dom to był cały jej świat. Mąż to rozumiał, tylko Sabina wykrzykiwała, że w życiu nie da się zamknąć w kantorku ani zagonić do pastowania podłóg czy gotowania bigosu, całkiem jakby w pastowaniu i gotowaniu było coś złego.

Matka radziła sobie i nie radziła ze swoim wdowieństwem. Od wiosny do jesieni każdego dnia jeździła na cmentarz, jesienią i zimą tkwiła w kościele i czasami wydawało się, że na ziemi siedzi wyłącznie z przyzwyczajenia. Duszą i myślami była w innym świecie. Powoli też zaczynała dziwaczeć, choć wcale nie była stara, skończyła siedemdziesiąt pięć lat. O bankructwie Sabiny wiedziała tyle, ile ta chciała jej powiedzieć. Nie wszystko i nie do końca.

Sabina nie lubiła sobót, matka przeciwnie, bardzo lubiła, bo wreszcie mogła się wygadać. Zaczynała zawsze jednakowo.

- Nareszcie jesteś, myślałam, że już nie przyjdiesz!

- Czy ja kiedyś nie przyszłam? - odpowiadała niezmiennie Sabina.

- Nie mów, nie mów, parę razy się zdarzyło - ripostowała matka, wypominając Sabinie trzy lub cztery soboty, kiedy to daremnie na nią wyczekiwała.

W ciągu dwunastu lat trzy soboty, niechby i cztery, nie stanowiły aż takiego wykroczenia, by nie można było o nich zapomnieć. Sabina przygryzała usta i znikwała w łazience, żeby się przebrać. Wiedziała, że ledwie wytknie nos, będzie musiała posłuchać, jak bardzo się zaniebdabała i zestarzała. Matka w jej wieku była elegancką kobietą, miała swojego fryzjera i swoją kosmetyczkę. Sabina też chciałaby mieć fryzjera, nawet cudzego, widać jednak nie był jej pisany. Sprzątanie zaczynała od pokoju. Matka przysiadła w fotelu i szykowała drugie uderzenie.

- Taka byłaś samodzielna, tak się wściekałaś na każdą naszą radę, jakbyśmy z ojcem byli ci wrogami. Muszę przyznać, że nieźle się

wykierowałaś. Pewnie jesteś bardzo z siebie zadowolona, co? Wnuczka przedwojennego złotnika, córka znakomitego jubilera, który przetrwał nawet stalinowski reżim, zmiata pajęczyny z sufitów różnym paniusiom. Wysoko zaszłaś, pod sam sufit.

- Sama mówisz, że nie znasz się na interesach - odpowiadała Sabina znad podłogi - więc przestań mi dogryzać. Całe życie pracowałaś z ojcem i nie musiałaś mu patrzeć na ręce. Mądrzejsi ode mnie bankrutują przez zachłannych współników. Twój Gadacki okazał się pospolitym złodziejem.

- Mój? - zaperzyła się matka. - Chyba tylko dlatego mój, że często wałam go herbatą, kiedy bywał na Polnej. Może nawet lubiłam go wtedy, bo był ojcu przydatny, ale sama mu nie zaufałam. I ciebie też ostrzegałam. Ile razy prosiłam, żebyś wzięła prawnika do spisywania umów. Pokręciłaś tyłkiem, powiedziałaś „tak, tak” i zamiast choć raz posłuchać matki, zawierzyłaś swojej głupocie. No to cię Gadacki wykiwał. Mądry złodziej zawsze głupca wykiwa, inaczej być nie może.

Sabina tarła podłogę z coraz większym zacięciem. Prawda kłuła i bolała. Na usprawiedliwienie miała tylko to, że zlekceważyła więcej ostrzeżeń, dokładnie mówiąc, wszystkie. Wierzyła w swój spryt i w to, że ojciec tam na wysokościach wciąż nad nią czuwa. Tego jednak wolała matce nie mówić. Buntowała się bez słów, a cierpiał na tym parkiet.

- Nie trzyj tak tych klepek, bo cały lakier zedrzesz - denerwowała się matka.

Mieszkała na Konwiktorskiej od osiemnastu lat i nie mogła się przyzwyczać do lakierowanego parkietu, wciąż wspominała ten na Polnej, wiórkowany i starannie pastowany. Pracy było więcej, jednak do tej pory zapach pasty do podłóg kojarzyła ze sprzątaniami i czystością. Bez tego zapachu mieszkanie wydawało się brudne, choć wcale brudne nie było. Sabina przykładła się do pracy, natomiast brudzić nie miał kto. Czasem, bardzo rzadko, wpadała jedna lub druga sąsiadka. Posiedziały, wypily herbatę i na tym kończyło się życie towarzyskie.

- Czy ty pomyślałaś - zaczynała matka trzecie uderzenie, przechodząc za Sabiną do kuchni - że za pięć lat nie będzie miał kto wypłacić

ci emerytury? Nawet twój Bolek mądrzej się urządził, bo jakieś grosze dostaje. Nie wiem tylko, czy on zechce cię żywić. A co zrobisz, jeśli od roboty strzyknie ci w krzyżu i nie będziesz mogła się ruszyć? Syna zaskarżysz o alimenty? Janusz może się wypiąć na ciebie. Bolek, jaki był, taki był, ale to on zajmował się chłopakiem.

Sabina oderwała się na moment od czyszczenia kuchenki.

- Janusz chce zabrać ojca do Irlandii - powiedziała.

Stała z rękami bezradnie opuszczonymi wzdłuż tułowia, jakby sama się dziwiła, że zdołała wykrztusić tych kilka słów. Zwykle tylko się broniła przed atakami matki, nie opowiadała o sobie ani o Bolku, żeby jej nie rozdrażniać.

- A ty co na to? - padło ostrożne pytanie.

- Myślę, że mógłby pojechać. Może tamtejsi lekarze mu pomogą... Sama nie wiem.

- Pomyśl inaczej. Sześćset złotych nie majątek, ale też piechotę nie chodzi - powiedziała wolno matka. - Spodoba mu się, nie wróci i zostaniesz w ogóle bez środków do życia.

Sabina zajęła się czyszczeniem kuchenki. Ostatni argument był chybiony, bo też matka nic nie wiedziała o hazardzie zięcia i jego długach. Bliska znajomość Bolka z automatami do gry zaczęła się kilka lat po wypadku. Nie był jeszcze stary, najmował się tu i tam, na miesiąc lub dwa, głównie do stróżowania i albo nie dostawał umówionych pieniędzy, albo go zwalniali przed czasem pod jakimś błahym pretekstem, więc żeby jakoś tę beznadzieję odreagować, zaczął zaglądać do pubu. Pić nie pił, za to wciągnęły go automaty, bo dawały nadzieję na wygraną. Sabina od bardzo dawna nie oglądała grosza z owych sześciuset złotych renty i jeszcze przez wiele lat miała nie oglądać. Na razie to ona utrzymywała męża, nie odwrotnie.

- Sam niech decyduje - mruknęła.

- Rwie się do wyjazdu?

- Nie bardzo.

- To go nie namawiaj - poradziła matka. - Przez całe życie miałaś w głowie fiubździu, czas, żebyś na starość zmadrzała. Nie jest ten Bolek taki całkiem zły, jak początkowo myślałam. Wykształcony też lepiej od

ciebie, bo jego wyrzucili ze studiów dopiero po trzecim roku. Nie jest zły, nie. Inny nie pogodziłby się łatwo z bankructwem żony. Mówmy szczerze, przeputałaś nie tylko spadek po ojcu, ale i to, do czego z naszą pomocą doszłście oboje, zanim wdałaś się w wielkie interesy. Sama się dziwię, że on ci darował. Tylko z drugiej strony, gdzie niby miał iść? Kto by teraz polecał na kalekę i nędzarza? Bardzo źle wygląda, mocno zdziaźniał?

Matka nie widziała zięcia od wielu lat, bodaj od czasu wypadku. Nie tęskniła za nim ani on za nią. Na wigilię, która jest najbardziej rodzinnym ze świąt, Sabina w południe jechała na Konwiktorską, wieczorem siedziała obok męża, bo trudno powiedzieć, że siedzieli razem w zgodzie i porozumieniu. Na imieniny matki jeździła sama, no i oczywiście wpadała do niej w każdą sobotę. Bolek, jeżeli nawet domyślał się, gdzie znikna na te kilka godzin, nie mówił nic. Matka też rzadko o niego pytała.

- Schudł, postarzał się - odpowiedziała niechętnie Sabina. - Chory jest, lekarzom nie wierzy. Wzięłam z przychodni receptę na leki uspokajające, ale nie chce nic łykać.

- Awanturuje się, że chcesz go uspokajać?

- Nie, ale coś powinien brać, bo samo nie przejdzie.

- Od byle jakich leków też nie przejdzie - fuknęła matka. - Czasem się zastanawiam, czy ktoś ci rozumu nie podmienił, że taka jesteś bezmyślna. Odgrzać flaczki, zjesz trochę?

Propozycja zjedzenia flaczków, rosółu czy czegoś innego, co akurat było w lodówce, padała każdej soboty. Sabina dziękowała, tłumaczyła, że ma obiad w domu i zje razem z mężem. Matka nie upierała się, kiwała głową, że rozumie, po czym wlewała zupę do słoika. Jakoś tak się składało, że w soboty zawsze miała trochę więcej jedzenia i nadwyżkę oddawała córce.

Sobota po południu

Wioletta, współniczka Sabiny, cały ranek siedziała przed komputerem. Nic dziwnego, komputer był jej narzędziem pracy i spędzała przed nim jak nie poranki, to popołudnia. Jednak w tę sobotę nie porządkowała aukcji ani nie śledziła liczby obserwatorów, sprawdziła

tylko korespondencję i zaraz potem zaczęła szukać w Internecie stron poświęconych kinematografii. Miała w tym swój cel, wcale nie tak odległy od codziennej pracy.

Nie handlowała na Allegro od wczoraj. Zanim weszła w jubilerską spółkę z Sabiną, sprzedawała ciuchy i różne niepotrzebne w domu rzeczy, które komuś innemu mogły się przydać. Zajęcie nie było dochodowe, pozwalało jednak w miarę sensownie zagospodarować dzień. Wioletta nie umiała odnaleźć się na rencie. Przygniatał ją wolny czas, z którym nie wiedziała, co robić. Budziła się rano i myślała: wstanę czy nie i tak nikogo to nie obejdzie. Ledwie wynalazła sobie zajęcie, okazało się, że i poranki wita całkiem inaczej. Zjadała śniadanie i zasiadała przed komputerem. Jednak prawdziwą działalność na Allegro zaczęła dopiero po pamiętnym spotkaniu z Sabiną w Spółdzielni Mieszkaniowej. Obie coś tam załatwiały, czekały w kolejce, a że znały się trochę z osiedlowych sklepów, więc zaczęły rozmawiać. Od słowa do słowa zeszło na handel ciuchami. Wtedy to Sabina wyskoczyła z biżuterią, na której podobno trochę się znała. Obgadywały sprawę, nawet spisały jakąś odręczną umowę i od dwa tysiące trzeciego roku same wytwarzały ozdoby z kamieni naturalnych i srebra. Za kontakty z kupującymi odpowiadała Wiola. Gdyby tylko znalazła dość weny, mogłaby powieść napisać o oryginałach, z jakimi się zetknęła w ciągu pięciu lat. Jednak LuGad przebił wszystkich. Zdarzało się, że klienci prosili o wysłanie paczki na poste restante lub od razu na adres obdarowanego, trafiło się raz, że obdarowany odesłał towar, bo nie chciał mieć nic wspólnego z darczyńcą, różne cuda miały miejsce, czasem śmieszne, czasem irytujące, jak to w pracy z ludźmi, lecz nigdy dotąd żaden klient nie wnosił chamskich pretensji tylko dlatego, że przesyłkę odebrał ktoś z domowników. Widać LuGad miał wyjątkowo skomplikowaną sytuację rodzinną, o czym nie zdążył bądź nie chciał uprzedzić, jakby wychodził z założenia, że firma sabi_wiola spokojnie może zapłacić za jego rodzinne waśnie. Zresztą gdyby tylko o to chodziło, Wiola dałaby sobie spokój z gadem. Włączając Internet, miała na myśli coś zupełnie innego. Wciąż nie mogła zapomnieć twarzy Sabiny, kiedy w słuchawce rozległ się całkiem sympatyczny, trzeba to przyznać, męski głos. Oglądała już Sabinę w różnych sytuacjach, zmęczoną, złamaną, zniechęconą, nigdy

jednak nie widziała jej aż tak wystraszonej i spanikowanej. Wyciągnięcie z Sabiny jakiegokolwiek tajemnicy było stratą czasu. Mówiła jedynie to, co chciała powiedzieć, i nigdy nie dotykała swojej przeszłości. Ze dwa razy wspomniała o długach. Musiała wspomnieć, ponieważ pilnowała każdej zarobionej złotówki z uporem skąpca. I choć z czasem, kiedy już zaistniały na Allegro i znalazły stałych klientów, potrafiły wyciągnąć nawet po tysiąc złotych na głowę, zwłaszcza przed walentynkami, Dniem Kobiet czy Gwiazdką, Sabina zawsze była bez grosza. Nie skarżyła się, nie biadoliła, po prostu nie miała pieniędzy. Wiola lubiła Sabinę. Dziwiło ją trochę, że taka niegłupia kobieta, która zna się na kamieniach i ma talent plastyczny, zarabia sprzątaniami po domach, jednak te uwagi Sabina również pomijała milczeniem. We wtorek pękła, ujawniła się z kawiarnią i ze swoją wielką niechęcią, żeby nie powiedzieć nienawiścią, do Ludwika Gadackiego. W czwartek przyniosła naszyjnik z ametystów, nie wiadomo tylko, czy ten przeznaczony dla kochanki, czy przechwycony przez żonę. Za obydwoma naszyjnikami stał ten sam mężczyzna i Wiola postanowiła dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Gadacki, jeśli nie był mężem, co ustaliły z Sabiną ponad wszelką wątpliwość, to musiał być przyjacielem Wyniosłej Artystki, czyli producentem filmowym. Znalazła w Internecie osiemdziesiąt kilka wytwórni, wchodziła na stronę każdej i sprawdzała nazwiska właścicieli, prezesów i wszystkie, które się tylko pojawiały. Zajęcie było pracochłonne i niezbyt owocne. Nigdzie nie figurował Ludwik Gadacki, co jeszcze nie przesądzało sprawy. Mógł się ukrywać w jednej z tych wytwórni, które podawały do wiadomości wyłącznie adres, e-mail oraz telefon.

- Nici z moich poszukiwań - obwieściła, otwierając Sabinie drzwi. - Od kilku godzin bezskutecznie szukam Gadackiego.

- Skąd wiesz, że się zgubił?

- Nie wiem, próbuję tylko sprawdzić, w której wytwórni się załapał. Na pewno nie jest prezesem żadnej spółki zoologicznej, przeleciałam wszystkie. Właścicielem też nie jest.

- Po cholere go szukasz? - zdziwiła się Sabina. - Interesy będziesz z nim robić czy co? Ostrzegam cię: gdybym w swoim czasie posłuchała

przyjaciela mojego ojca i ominęła Gadackiego szerokim łukiem, dzisiaj żyłabym jak człowiek.

- No właśnie. Wiesz, co sobie pomyślałam: powinnaś ostrzec Wyniosłą Artystkę.

- Chyba na głowę upadłaś! - wykrzyknęła Sabina z największym zdumieniem. - Baba ma czterdzieści lat, opinię zgagi, a ja mam do niej iść i ostrzegać ją przed kochankiem, którego ona sobie wybrała? W najlepszym razie zrzuci mnie ze schodów i będzie miała rację. Nie chcę więcej słyszeć nazwiska tego faceta, a jego samego oglądać nawet na ulicy. Nie wiem, co jeszcze złęgo mógłby mi zrobić, ale na pewno coś by wymyślił. Porywał mi już dziecko, pobił męża... Nie, nie, nie mówmy o nim! Niepotrzebnie się denerwuję, a naszyjnik leży.

Pochyliła się nad stołem i próbowała nawlec kilka kamyczków na żyłkę. Nie dała rady, ręce jej się trzęsły niczym pijakowi. To był wyjątkowo pechowy dzień, któremu najwyraźniej patronował Gadacki. Nie dość, że musiała słuchać o nim rano, to jeszcze przyplątał się po południu.

- Przepraszam - powiedziała cicho Wiola. - Nie wiedziałam, że to cię aż tak zirytuje.

Sabina wzruszyła ramionami.

- Dlaczego zależało ci na przypięciu tego gada do konkretnej wytwórni? Przecież Wyniosła Artystka chyba wie, gdzie ma go szukać? - spytała normalnym już głosem.

- Lubię być dobrze poinformowana - powiedziała z powagą współniczka.

- Całkiem jak pani Magda.

- Ta charakteryzatorka?

- Mhm. Ona to uwielbia, chociaż kilka razy złapałam ją na niesprawdzonych informacjach. Upiera się, że Znany Aktor ma oryginalny obraz Kossaka. A to wcale nie Kossak, tylko jakiś inny malarz.

- Znasz się na obrazach?

- Nie. Teściowa Znanego Aktora mi powiedziała, ona zna się z całą pewnością, bo jest historykiem sztuki. A ja się zachowałam wobec Magdy podle i niczego nie sprostowałam. Paskudna jestem. To ona mi

załatwiła pracę w tych wszystkich domach, w których teraz sprzątam i chyba oczekuje większej wdzięczności.

Wspomnienie miłych, życzliwych ludzi uspokoiło Sabinę i mogła wrócić do pracy. Kiedy wieczorem wychodziła od Wioli, zostawiła na stoliku dwa gotowe naszyjniki. Obydwa niebrzydkie. Z myślą o czekającym ją wolnym dniu wzięła do domu trochę granatów, żyłkę i całą resztę potrzebną do wyczarowania kolejnej ozdoby. Wspólniczka namawiała ją, żeby pracowały też w niedziele, jednak Sabina miała opory. Nie chodziło o pracę, tylko o siedzenie komuś na głowie przez okrągły tydzień.

Niedziela

Sabina nie lubiła sobót, ale chyba jeszcze bardziej męczyły ją niedziele. Przywykła do życia w pośpiechu, do biegu na przystanek i z przystanku, odkurzania, pucowania i przestała umieć odpoczywać. Wolny dzień całkowicie wybijał ją z rytmu. Wstawała rano, bo materac nie był najwygodniejszym posłaniem do wylegiwania się, piła herbatę i szła do kościoła, żeby pozawracać głowę Panu Bogu. Miała nadzieję, że nie była jedyną osobą w świątyni, która rozmawiała z Panem o pieniądzach. Nie, nie, od dawna już nie prosiła o wielką wygraną ani o znalezienie w tramwaju wypchanego portfela, prosiła tylko, żeby stać ją było na spłacenie w grudniu ostatniej już bankowej raty i żeby wreszcie zobaczyła choć maleńkie światełko w tunelu. Maleńkie, bo nie znaczyło jeszcze końca kłopotów. Jeżeli miesiąc był zły lub całkiem kiepski, jak choćby w wakacje, kiedy wypadały sprzątaniami, a na Allegro trwał zastój, musiała ratować się drobnymi kredytami. Żeby spłacić jeden, zaciągała drugi, i jakoś lawirowała. Do kar za zwłokę przywykła. I choć niebo mało się interesowało jej udrękami, to odkąd pozbyła się Gadackiego żyła dużo spokojniej. Spokojniej, w jej wypadku, znaczyło gorzej niż nędznie, ale bez lęku o życie. Modliła się więc o wytrwałość, bo czasem brakowało jej siły, by przeżyć kolejny dzień, szary i pozbawiony radości.

Jedyną niedzielną rozrywką, jaką Sabina mogła sobie zafundować za darmo, było oglądanie wystaw sklepowych. Szła powoli, przystawała

i nie mogła uwierzyć, że butiki, na które teraz zerkała z zachwytem, jeszcze czternaście lat temu byłyby poniżej jej zainteresowań. O Złoty-Tarasach nikt wtedy nie słyszał, ale to był mniej więcej pułap w sam raz dla niej. W Złoty-Tarasach mogłaby kupić bluzkę i majtki, ale nie w jakimś szeregowym sklepiku. Szła i powtarzała sobie, że pusta była kiedyś jak dziecięcy bębenek.

Kiedy rano wychodziła do kościoła, Bolek spał. Wróciła może po dwu godzinach i musiała przetrzeć ze zdumienia oczy. Mąż siedział przy stole ogolony i wykąpany, o czym świadczyły mokre włosy. Nawet tapczan zaścielił i przykrył kocem. Tak się przyzwyczaiła do uszczypliwych uwag pod jego adresem, że chciała palnąć coś o zmartwychwstaniu. Z trudem, bo z trudem zdołała się powstrzymać.

- No proszę! - powiedziała. - Wykąpany, ogolony, od razu inny człowiek.

- Zauważyłaś?

Wzruszyła ramionami. Trudno było nie zauważyć, skoro w ostatnich dniach oglądała go wyłącznie w pozycji horyzontalnej. Przygotowała jakieś kanapki, dwie herbaty i ustawiła na stole. Jedli w milczeniu. Czasem dwoje obcych ludzi w tramwaju ma sobie więcej do powiedzenia niż oni prawie po trzydziestu latach małżeństwa. Dawniej umieli rozmawiać, teraz im przeszło. Wyczerpały się nie tyle tematy, ile chęci, by je rozwijać. Na szczęście w domu wciąż był stary wysłużony royal, kupiony okazjnie przez Bolka jakoś tak krótko po śmierci teścia. Sabina wtedy bardzo na męża fukała, że zamiast oszczędzać, folguje głupim zachciankom. Bolek się postawił, bo czasem stawiał się żonie, i całą swoją trzynastą pensję przeznaczył na telewizor. Nie zrezygnował z niego nawet wtedy, kiedy Sabina wymieniała wszystko, co w mieszkaniu dało się wymienić. Przez jakiś czas mieli dwa odbiorniki i każdy patrzył w swój. Teraz oboje musieli patrzeć w jeden.

Po obiedzie Sabina rozłożyła na stole warsztat jubilerski. Nie musiała niczego wymyślać, zdecydowała się skopiować wzór, który miała w głowie od poprzedniego dnia.

- To nie jest dobre światło do takiej pracy - powiedział Bolek.

I znowu chciała mruknąć, że nie jego sprawa, odparować ostro, że od samego gadania mocy w żarówkach nie przybędzie. Spojrzała na

prosty drewniany żyrandol i tylko westchnęła. Rzeczywiście było ciemno. Mimo że oczy wciąż miała dobre i do czytania nie potrzebowała okularów, to jednak nawlekanie na żyłkę koralików z niewidoczną dziurką było jak ciuciubabka: albo się udało, albo nie. Zbyła mężowską uwagę milczeniem i dalej po omacku dziobała żyłką raz w koralik, raz w palec. Bolek patrzył na ekran, chociaż nie wydawał się zainteresowany filmem.

- Jak myślisz - spytał nieoczekiwanie - powinienem pojechać do Januszka?

Spojrzała zaskoczona. W środę, kiedy syn dzwonił, dała się wyprowadzić w pole i uwierzyła, że z całej rozmowy Bolek zrozumiał jedno: każą mu ruszyć się z łóżka, na co on nie ma ochoty. Widać robił się coraz lepszym aktorem, mimo że kiedyś od aktorskiego towarzystwa stronił i nie był w U Saby. Prawdę mówiąc, nigdy go tam nie ciągnęła. W kawiarni brylował Ludwik Gadacki. To on ściągał całe to aktorskie, polityczne i biznesowe towarzystwo, żeby ubijać swoje ciemne interesy, a Bolka zwyczajnie nie lubił.

- Nie wiem - mruknęła niechętnie. - Sam musisz zdecydować.

- Sama to ty zawsze decydowałaś, ja ciebie pytam o zdanie. Tobie na pewno byłoby łatwiej beze mnie, tyle wiem. Jeżeli chcesz, pojedę.

Teraz już wkurzyła się na dobre.

- O nie! Twoja sprawa, twoja decyzja, mnie w to nie mieszaj. Wystarczy, że całe życie chowałeś się za moimi plecami.

- Nieprawda! - zaprzeczył całkiem energicznie jak na swoje możliwości. - Do wypadku nigdy się za twoimi plecami nie chowałem. Potem może trochę tak... Sama wiesz, jak było.

Pochyliła się nad stołem. Nawlekała koraliki z nosem tuż nad blatem. Ona wiedziała, jak było, lecz nigdy nie miała odwagi zapytać, ile on wiedział.

- Mógłbyś pojechać na miesiąc, może dwa - powiedziała cicho.

- Tylko pamiętaj, że nie ja jedna siedzę w długach po uszy. Ty też masz co spłacać.

Machnął ręką, jakby się niezbyt przejmował swoimi zobowiązaniami wobec banków, które go jawnie okradały z całej renty. Pożyczał trzy tysiące, kazali mu spłacać cztery albo i pięć. To nie było w porządku. Nie litował się nad bankami, litował się nad sobą.

- Mamy rozdzielność majątkową - przypomniał.
- Majątkową? - prychnęła Sabina. - Z całego majątku zostało nam tylko saldo ujemne.
- Tak wyszło - kiwnął głową.

Była to najdłuższa i najspokojniejsza rozmowa, jaką przeprowadzili w ciągu ostatnich kilku lat. Warczeć na siebie warczeli często, w czym głównie celowała Sabina. Bolek czasem się odciął, przeważnie jednak milczał, więc to jej naskakiwanie bardziej przypominało rozmowę dziada z obrazem niż uczciwą małżeńską sprzeczkę.

Poniedziałkowy ranek. Tydzień drugi

Wielka Zapomniana Artystka nigdy nie kładła się w dzień, wieczorem zaś zasypiała w łóżku, nie na łóżku i starannie unikała słowa „tapczan”. Kładzenie się do łóżka wymagało całego rytuału. Ubrana w koszulę nocną zabierała się do składania kapy, czyli wielkiego tureckiego szala, który - jak większość jej rzeczy - miał swoją długą historię. Składała szal starannie, najpierw na pół, potem znowu na pół, aż przypominał niewielką kostkę. Odsuwała kołdrę, siadała na brzegu łóżka i zsuwała z opuchniętych stóp kaptcie, co wcale nie było łatwe. Mościła się chwilę, żeby jak najwygodniej ułożyć nogi, po czym podciągała kołdrę pod brodę i dopiero wtedy gasiła nocną lampkę. Każdego wieczoru postępowała identycznie, bo ludzie w pewnym wieku lubią celebrować nawet drobne czynności. Celebra wypełnia czas, którego oni mają w nadmiarze. Poniedziałkowy ranek zastał ją na łóżku, a nie w łóżku. Kapa była pościągana i zwinięta w walek, natomiast Wielka Artystka leżała na tej zwiniętej kapie w długiej popielatej sukni, w pończochach i jednym kaptciu, który widocznie nie dał się zsunąć z prawej, bardziej opuchniętej stopy. Leżała tak drugą dobę.

Telefon zadzwonił w sobotę rano. Była pewna, że to Magda, bo od lat nikt inny do niej nie dzwonił. Podniosła słuchawkę i wtedy okazało się, że jest to właśnie TEN telefon, na który aktorzy czekają z biciem serca. Ona, prawdę mówiąc, dawno już przestała czekać, więc tym większe było zaskoczenie. Miły męski głos mówił trochę za szybko i Artystka nie rozumiała, który reżyser chce się z nią spotkać i o jakiej

roli rozmawiać. Męski głos nie bawił się w wyjaśnienia, spytał jedynie, czy może wpaść o trzynastej i czy swoją wizytą nie zakłóci jej harmonogramu dnia.

Była gotowa już o dwunastej. Musnęła różem policzki, przypudrowała nos i choć pora była dość wczesna, włożyła długą suknię. Tu już nie chodziło o elegancję, lecz o zakrycie spuchniętych łydek i kostek. Należała do tego pokolenia kobiet, które nauczono umiejętnie podkreślać swoje walory i tuszować braki. Nieraz powtarzała, kiedy jeszcze miała komu, że najtrudniejszą rolą, z jaką musi się zmierzyć aktorka, jest własna starość. Na scenie, jeżeli dramat tego wymaga, można być plugawą wiedźmą, warzyć zioła na rozdrożu i wycierać nos w spódnicę, w domu nigdy. Ona dzielnie znosiła starość, trochę gorzej samotność, ale chyba najbardziej dawały jej się we znaki spuchnięte, ołowiane łydki i stopy. Próbowwała sobie przypomnieć, która to artystka, czy przypadkiem nie wielka Sarah Bernhardt, wystąpiła na scenie po amputacji nogi. Może Sarah, może jakaś inna, w każdym razie z pewnością była to kobieta heros, i to nie tylko dlatego, że grała główne role i mówiono o niej heroina.

Jak przystało na gościnną panią domu, zaparzyła w dzbanku herbatę, a sam dzbanek owinęła ręcznikiem, żeby za szybko nie wystygł. Na stole w pokoju ustawiła dwie filiżanki z cieniutkiej porcelany. Poprawiła serwetę, wyrównała krzesła.

Wreszcie zadźwięczał dzwonek. Oczekiwała jednego mężczyzny, przyszło dwóch, więc najsprawniej jak mogła, dostawiła trzecią filiżankę i wniosła herbatę. Goście, jak to goście, wzbraniali się, nie chcieli robić kłopotu. Skąd niby mieli wiedzieć, że dla gospodyni nadeszła wielka chwila spełnionych marzeń. Celebrowała poczęstunek i przypatrywała się obu panom. Wyglądali sympatycznie, lecz byli tak młodzi, że nie mogli pamiętać jej ze sceny. Żaden nie był reżyserem, jeden przedstawił się jako przedstawiciel producenta, i ten w ogóle się nie odzywał, drugi był asystentem reżysera. Asystent mówił niby jasno, jednak na tyle chaotycznie, że wciąż nie mogła się zorientować, o jaką sztukę chodzi, o dramat czy komedię? Chodziło o serial telewizyjny *W szponach zazdrości*. Przyjęła to całkiem spokojnie. Od czas do czasu - coś przecież z nadmiarem czasu musiała robić - oglądała pojedyncze

odcinki różnych seriali, jednak żaden jej nie zachwyił. Nie umywały się do angielskich sag rodzinnych, pokazywanych w telewizji przed laty. Tam było to, co lubiła: piękne kostiumy i epicki rozmach. O serialu W szponach zazdrości nie umiała nic powiedzieć, nawet nie była pewna, czy nie myli go z jakimś innym. „Kogo niby miałabym kreować?” - spytała. Wyjaśnienia zabrzmiały całkiem obiecująco. Zagranie arystokratki, kobiety w słusznym wieku, do tego poruszającej się na wózku inwalidzkim, to było wyzwanie warte zastanowienia, nawet jeżeli ta postać pojawiała się tylko w serialu. Wyciągnęła rękę w taki sposób, jakby oczekiwała, że dostanie fragment scenariusza z rolą. „Proszę o tekst” - powiedziała. Asystent patrzył jakoś dziwnie, więc dopowiedziała to, co najistotniejsze. „Dopóki nie zobaczę tekstu, nie dam wiążącej odpowiedzi. Dobry aktor zagra każdą rolę, pod warunkiem, że zechce ją zagrać”. Asystent chrząknął, strzepnął pyłek z rękawa, wreszcie przemówił. „To jest rola w zasadzie bez słów. Coś jak Stary Wiarus w Warszawiance, rozumie pani. Nasza arystokratka jest kobietą głuchoniemą, trochę wyobcowaną i zobojętniałą na otoczenie. Nie śmielibyśmy zmuszać pani do uczenia się tekstu” - wyjaśnił. Spojrzała na niego zaskoczona. „Przez cały czas nie wypowiada ani jednego słowa?” - spytała. „Dokładnie!” - przytaknął z ulgą. Starsza dama siedziała chwilę bez ruchu, a kiedy się odezwała, jej głos brzmiał dźwięcznie i donośnie. „Solski w roli Starego Wiarusa, proszę pana, przeszedł do historii teatru, bo choć kwestię miał krótką, cudownie zagrał twarzą i całym sobą. A pan proponuje aktorce dramatycznej, żeby w jakimś tam serialu telewizyjnym dała się powozić na wózku jako niema, drzemiąca kukła”.

Czuła, że nie uda jej się poderwać z krzesła, więc podniosła się powoli i majestatycznie. Wyciągnęła ręce w kierunku asystenta. „Na tych dłoniach jest królewska krew Makbeta. Nie chciałabym jej pomieszać z pańską. Im szybciej pan stąd wyjdzie, tym lepiej!” - powiedziała. Zabrzmiało dostojnie i kategorycznie. Próbował coś jeszcze wyjaśniać, jakby nie rozumiał, że ostatnie słowa dramatu właśnie padły, on zaś chce wcisnąć swoją kwestię chwilę po zapadnięciu kurtyny. Przedstawiciel producenta wykazał więcej bystrości, mruknął, że na nich już

czas i wypchnął kolegę do przedpokoju. Wyszli. Znalazła w sobie dość siły, by zamknąć drzwi na zatrzask i na łańcuch. Potem położyła się na łóżku, bo łomot w piersiach i skroniach nie pozwalał stać ani siedzieć. Myśleć mogła. Myślała więc, że powinna tym młodym butnym ludziom powiedzieć dużo więcej. Układała sobie w głowie cały monolog o tym, że nie proponuje się aktorce obdarzonej pięknym i silnym głosem roli niemej kukły, że do zagrania kukły wystarczyłaby przekupka z rynku, że...

Z trudem zawlokła się do łazienki, obojętnie popatrzyła w lustro, powiedziała sobie, że powinna się rozebrać, umyć, po czym wróciła do pokoju. Szła, trzymając się ścian. O jedzeniu nawet nie pomyślała, o lekach też nie. Popiła kilka łyków wystygłej herbaty i opadła na łóżko. Może nawet usnęła, bo kiedy otworzyła oczy, dostrzegła obcych ludzi. Kręcili się przy szafie i przy biblioteczce, na nią nie zwracali uwagi. Przeraziła się, że nie zamknęła drzwi, ale nie chciało jej się wstawać. Obcy ludzie już i tak byli wewnątrz, poza tym nie wyglądali groźnie. Mieli na sobie eleganckie ubrania, jakby przyszli z zapowiedzianą wizytą i kiedy lepiej im się przyjrzała, stwierdziła, że wcale obcy nie są. Najpierw rozpoznała reżysera, potem kolegę Makbeta i jeszcze kilka osób. Ktoś się nad nią pochylał, chyba stary sufler i zaczął ruszać ustami, jakby żuł wyjątkowo twardy kęs. Chciała mu zwrócić uwagę, że od suflera wymaga się wyraźnej wymowy, już nawet zaczerpnęła powietrza, ale dał o sobie znać ból w piersiach i skupiła się na bólu. Kiedy znowu otworzyła oczy, w pokoju było ciemno i cicho. Straciła orientację w godzinach, porach dnia, w samych dniach wreszcie.

Dzwonek dotarł do niej przez zwoje waty, był daleki i ledwie słyszalny. Nie wiedziała, kto może się dobijać do drzwi. Na nikogo już nie czekała, zawieszona między jawą i snem. Nawet ból w piersiach nie przeszkadzał, było jej cudownie lekko i wcale nie chciała się obudzić.

Sabina dzwoniła z dziesięć minut, coraz bardziej przejęta i zaniepokojona. Wielka Zapomniana Artystka musiała być w domu, a jeśli nie otwierała, to należało jak najszybciej powiadomić panią Magdę i czekać. Z tej strony drzwi mogła tylko czekać, nic do roboty nie miała.

Magda z kolei nie miała czasu i zjawiła się po dobrej godzinie. Następną godzinę zajęło poszukiwanie ślusarza, który uporał się z wewnętrznym łańcuchem i dopiero krótko przed czternastą weszły do klatki. Po cichu, na palcach, jakby bały się najdrobniejszym hałasem zmącić cięszę.

Artystka leżała na łóżku. Żyła, ale nie reagowała na płaczący głos Magdy. Oddychała płytko i nierówno. Jej elegancka szara suknia była wymięta.

Pani Magda wysupłała komórkę i patrzyła przerażona. Nie należała do osób, które w sytuacjach krytycznych zachowują zimną krew.

- Pogotowie ma trzy dziewczątki - odpowiedziała Sabina, rozglądając się po pokoju.

Trudno było nie dostrzec filizanek z cienkiej porcelany i dzbanka z herbatą. Pomyślała, że marzenia lubią się spełniać nie w porę. Wielka Zapomniana Artystka wciąż czekała na gości, a kiedy wreszcie się zjawili...

- Miałam wczoraj do niej zadzwonić - chlipała pani Magda. - Wnuczek rozbił sobie głowę, zajęłam się wnuczkiem, a może bym coś tej biedaczce pomogła. Jak długo ona tak leży?

Tego żadna z nich nie wiedziała.

Pani Magda pojechała za karetką do szpitala, Sabina została, żeby ogarnąć mieszkanie. Źle jej się pracowało. Wciąż rozglądała się wokół, zdziwiona, że jest sama. Stokroć bardziej wolałaby teraz pić herbatę z grubej szklanki i słuchać o magii teatru. „Czy ja zawsze muszę się buździć na ławce w parku” - pomyślała z niechęcią.

Kiedy zamykała mieszkanie na klucz, minęła szesnasta. Tak późno już dawno nie wracała do domu.

Poniedziałkowe popołudnie. Tydzień drugi

Rano, ledwie za Sabiną zamknęły się drzwi, Bolek wrócił do swojej ulubionej pozycji na wznak. Jego prawa noga, ta z oblużowaną protezą biodra, wyraźnie polubiła tapczan. Kiedy leżał, ból dokuczał o wiele mniej niż przy chodzeniu, więc nie musiał wciąż sobie powtarzać, że na starość zrobił się skończonym wrakiem. Niby pięćdziesiąt dwa lata to

jeszcze nie starość, przynajmniej według metryki, ale on nie patrzył w metrykę, tylko w siebie i na siebie. To, z czego był najbardziej dumny, piękne umięśnione ciało, dawno przestało cieszyć oczy. Gdyby nie kilka fotek, które gdzieś tam poniewierały się w szafie, sam gotów był uwierzyć, że urodził się beznadziejnie chudy, przygarbiony i utykający. Komu w takim razie trener wiecznie powtarzał: „Trenuj, Bolek, trenuj, bo masz talent, ale nad mięśniami musisz popracować”? Trenował, ale czy to jego wina, że urodził się za późno i źle wstrzelił z młodością? Lata osiemdziesiąte, z kryzysem i transformacją, były najgorszym czasem dla sportu, zwłaszcza dla ciężkiej atletyki. Wszystko się rozpadało, sprzęt i siłownie, a najgorsze, że nikomu poza pocziwym trenerem nie zależało na sukcesach Bolka. Ludzie mieli inne zmartwienia, inne cele i najpierw przepadł talent, potem zaczął przepadać sam Bolek. Nie od razu i nie z powodu sportu. Miał dość zdrowego rozsądku, żeby się jakoś w życiu ustawić, jednak trochę za mało sprytu, by pchać się wysoko. Żona, syn, praca, mieszkanie - to było wszystko, czego potrzebował do szczęścia. Nie on, lecz Sabina była niespokojnym duchem, który szukał, węszył i żądał od życia coraz więcej. Wymyśliła kawiarnię. Bolek wcale kawiarni nie chciał. Przeciwnie, odradzał, jak umiał. Mówił: „Ja pracuję na zmiany, ty będziesz miała zajęte popołudnia i wieczory, co z Januszkiem? Co z nami?” Nazwała go nieelastycznym konserwatystą, całkiem jakby znała jakiegoś elastycznego. Bolek nie tyle był konserwatystą, ile przeciwnikiem zmian, które nic dobrego nie niosły. Co dobrego wyniknęło z wymiany mebli w mieszkaniu? Same kłopoty, bo fikuśne komódki i witryny nie pomieściły nawet połowy rzeczy, które dało się upchnąć w praktycznych meblówkach. Przewróciła wtedy Sabina mieszkanie do góry nogami całkiem nie wiadomo po co. On wolał to stare, Januszek zresztą też. Kiedy tak sobie teraz leżał i myślał, doszedł do ciekawego wniosku. Jego małżeńskie życie składało się z trzech etapów. Najlepszy był ten przed kawiarnią. Żyli szczęśliwie, może nie za bogato, ale było im dobrze, bo pasowali do siebie z Sabiną. To ciche szczęście trwało równo dekadę, w jedenastym roku Sabina zaczęła się przymierzać do rozkręcenia interesu. Jeszcze przez jakiś czas dało się z nią pogadać, potem zniknęła z domowego życia na pięć

lat. Drugi etap, który Bolek nazywał etapem kawiarni, ujawnił wielkie różnice między nim i żoną, tak wielkie, że przestali do siebie pasować. On wciąż był wartownikiem, ona kobietą interesów, modną bizneswoman. Wyglądała pięknie, ubierała się z szykiem i obracała wyłącznie w eleganckim towarzystwie. Bolek nie lgnął do towarzystwa, nie umiał gładko nawijać o niczym, nie pił, poza tym miał uczulenie na Ludwika Gadackiego. Zbliżył się wtedy bardzo z Januszkiem. Nie raz i nie dwa miał ochotę powiedzieć Sabinie: „Lepiej będzie, jak każde z nas pójdzie swoją drogą” i powiedziałby, mając pewność, że sąd odda mu syna pod opiekę. Wiadomo było, że nie odda, bo żaden sąd nie uznałby Sabiny za wyrodną matkę. Na wywiadówki nie miała czasu chodzić, ale planowała dla syna zagraniczne studia, ubierała go pięknie, rozpieszczała kieszonkowym i po swoim kochała. Januszek był za matką, chociaż z kłopotami szedł do ojca. W trudnym okresie dorastania trochę mu się w głowie poprzestawiało, więc Bolek nie miał sumienia zostawić syna samego w pustym mieszkaniu. Gdyby nie rodzicielskie obawy, może nawet urządziłby sobie życie od nowa, bo pojawiła się taka możliwość. Zwykle, kiedy w swoich rozmyślaniach dochodził do tego momentu, czuł niemiły ucisk w żołądku, jakby sam siebie oszukiwał. Nie było prawdą, że tak zupełnie zrezygnował z ułożenia sobie życia. Przeciwnie, przyszedł moment, że i syn jakby mniej się dla niego liczył. Decyzję o rozstaniu podjął jakoś tak krótko przed plajtą. Nie chciał o tym rozmawiać w domu przy Januszku, czekał na Sabinę na parkingu. Widać nie była to dobra decyzja, bo nie wyszła mu na zdrowie. Kiedy już bankructwo było przypieczętowane, a Bolek jeszcze leżał w klinice, Sabina spytała: „Nienawidzisz mnie pewnie za to, że w taki idiotyczny sposób dałam się wykiwać i narażłam nas na kłopoty?” Wtedy jeszcze ani on, ani ona nie przewidywali, jak wielkie będą to kłopoty. Odpowiedział: „Szkoda mi tylko, że tak głupio zniszczyłaś nasze spokojne życie. Czy to nam źle było bez twojej kawiarni?” Nie wydawała się przekonana.

Po plajcie weszli w trzeci etap, ten, który ciągnął się od dobrych dwunastu lat i wciąż trwał. Najpierw posprzedawali, co się dało, zamienili mieszkanie, ale i tak wylądowali pod kreską. I wtedy znowu zaczęli do siebie pasować. To dopasowanie było czysto zewnętrzne. On

po wypadku schudł i zmałał, ona skurczyła się od ciężkiej roboty, trochę się zaniedbała, trochę zbrzydła, niestety, nigdy już nie znaleźli wspólnego języka. Z każdym rokiem oddalali się od siebie o całe kilometry, chociaż siedzieli na kupie, w jednym pokoju.

Dla Bolka ten ostatni etap był najtrudniejszy, bo wysiadło mu zdrowie. Sabina krzyczała: „Znowu umierasz na przedawnionego raka, zamiast wziąć się do roboty!” On nie umierał na raka. Miał furę innych dolegliwości, o których nie chciał opowiadać, ale raka nie miał. Nie protestował, kiedy mu wciskała chorobę, powtarzał sobie: „Choć raz niech będzie jej racja”. Cierpiał, to oczywiste. Noga bolała, kręgosłup bolał, połamane żebra odzywały się przy zmianach pogody, ale nie to było najgorsze. Czasem, kiedy sobie pomyślał, że dla sportu urodził się za późno, za to kalectwo spadło na niego za wcześniej, ogarniała go taka niemoc, takie zniechęcenie do życia, że miał ochotę wyskoczyć przez okno. Bał się okna, nie lubił, gdy było otwarte, bo igrało z nim, przyzywało do siebie i kusiło wiekuistym spokojem. Sabina zawsze otwierała mu okno. Zwlekał się wtedy, żeby je zamknąć jak najprędzej i przerwać kuszenie. Kiedy niemoc mijała, kończyła się ochota do skakania, okno znowu było niegroźne, a sam Bolek robił się podobny do ludzi. Kapał się, golił i zaczynał rozważać, skąd u niego takie dziwne napady niemocy. Na pewno nie z głowy. Wiadomo, że organ chory lubi dokuczać, a jemu makówka dokuczyła raz w życiu, i to dlatego, że nie posłuchał ostrzeżenia. W klinice po wstrzyknięciu znieczulenia do kręgosłupa powinien przez dobę leżeć płasko jak naleśnik. Nie uwierzył, usiadł i miał za swoje. Wtedy był to ból koszmarny, lecz uzasadniony, na szczęście nigdy się nie powtórzył. Jeśli więc zdrowiotka głowa nie umiała zapanować nad niemocą, to znaczyło, że niemoc brała się nie z niej, tylko z beczynności. W to chętnie wierzył. Beczynność dokuczała tak samo mocno, jak biodro. Sabina kazała mu szukać pracy, ale jakoś żaden pracodawca nie szukał Bolka. A ci, co szukali, to tylko po to, żeby wykiwać i nie zapłacić. Od darmowej pracy lepsza już była darmowa beczynność. Leżał, nie zdierał zelówek, nie płacił za tramwaje, tylko pieniędzy nie miał.

Za czasów kawiarni, Sabina kpiała, że jego pensja jest za mała na kieszonkowe. Trochę czasu upłynęło i przestała kpić z dużo mniejszej

renty. Bolek myślał o zarobieniu pieniędzy, myślał cały czas. Raz w pubie zobaczył na własne oczy, jak facet wygrał na automatach dziesięć tysięcy złotych. Gdyby nie zobaczył, gdyby tylko usłyszał, może by machnął ręką na taką niesprawdzoną wiadomość. Ale widział radość, błysk w oku, uciechę kumpli. To podziało na wyobraźnię. Zanim zagrał, wymyślił sobie piękną scenę: on wraca do domu z kupą kasy, rzuca pieniądze na stół, a Sabina patrzy tymi swoimi kocimi oczami pełnymi zdumienia. Automaty wciągnęły go razem z kopytami i z trzema pożyczkami. Wpakował w nie mnóstwo pieniędzy, wygrał może ze trzysta złotych w drobnych kwotach, które natychmiast zainwestował w następną grę. Wchodząc do pubu, za każdym razem wchodził po raz ostatni. Mówił sobie, że mógłby nie wejść, że wcale nie musi, że zagra tylko raz. Nie znał się na nałogach, nie pił, nie palił, zatem nigdy nie musiał rzucać picia ani palenia i uważał, że sprawa jest wyjątkowo prosta: wystarczy chcieć. Automaty w końcu rzucił i przestał zaglądać do pubu. Czasem tylko marzył sobie, że gdyby znalazł na ulicy ze dwieście, może trzysta złotych, spróbowałby po raz ostatni. Niestety, nie wychodził z domu, a w domu Sabina nie gubiła pieniędzy.

Leżenie nie jest zajęciem zbyt ciekawym, ale można się do niego przyzwyczaić, jak zresztą do wszystkiego. Lista przyzwyczajzeń Bolka robiła się coraz dłuższa. Były to przyzwyczajenia akceptowane z musu, nie dla przyjemności. Musiał więc przyzwyczaić się do wyjazdu syna, do bolących kości, braku pracy i pieniędzy, zamknięcia w domu, wrogości żony i jeszcze do kilku innych rzeczy, przy których leżenie było czystą przyjemnością. Byle tylko dobrze się ułożyć, nie na prawym boku, bo staw zaczynał rwać, nie na lewym, bo chora noga zsuwała się ze zdrowej i też bolała, najlepiej na wznak. Pokręcił się chwilę na tapczanie, żeby wybrać możliwie najlepszą pozycję i przy okazji spojrzął na zegar.

Było późno. Było tak późno, że - jeśli nic złego się nie stało - to Sabina prosto z jednej pracy musiała pójść do drugiej. Co prawda nigdy tak nie robiła, ale inaczej nie umiał sobie wytłumaczyć jej nieobecności. Westchnął smętnie. Ssanie w żołądku dokuczalo mu od dość dawna, a w lodówce, poza pękniętym jajkiem, nic więcej nie było. Facet, który nie pracuje, nie zarabia i całymi dniami leży, nie musi jeść

dużo, jednak coś tam przegryźć powinien. Zwlókł się, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie przeoczył jakiegoś serka lub piętki pasztetowej. Obleciał wzrokiem lśniące półki, w duchu pochwalił Sabinę za wzorową czystość i zamknął drzwiczki. Nastawił wodę, żeby chociaż herbatą przyćmić głód. I wtedy przyszedł strach. Nie był to żaden nowy strach, zrodzony ni z tego, ni z owego nad posapującym czajnikiem. To był bardzo stary lęk, który dopadał go zwykle nocą i kazał zamieniać się z Sabiną rolami. Otóż nie był tak zupełnie pewien, czy będąc na miejscu Sabiny, nie zniknąłby któregoś dnia z domu, by więcej do niego nie wrócić. Czasem mu się wydawało, że nie, czasem, że tak. Teraz też się bał i nie umiał powiedzieć, o kogo bardziej, o Sabinę czy o siebie. To był strach połączony, bo gdyby z nią wyszło coś nie tak, jakaś choroba, jakiś wypadek, to on pozostawał bezradny niczym trzylatek. Dzieckiem mógłby się ktoś zaopiekować, zwłaszcza małym, ale pięćdziesięcioletnim to już chyba nikt. Nawet do syna nie miał jak zadzwonić, bo telefon przegrał w pubie. Zresztą nie chciał zwałać się Januszkowi na głowę razem ze swoim chorym biodrem, z nocnymi lękami i z niemocą. Nie przez Januszka był wrakiem człowieka. Jego miejsce było wyłącznie przy Sabinie. Ledwie wspomniał o żonie, strach wrócił. Poczł, że dłonie mu drżą, suchy język przywiera do podniebienia, a ciało wilgotnieje. Nie znosił tych napadów lęku cuchnących odorem potu. Ścisnął dłonie, wsadził je między kolana i stał tak przez chwilę pochylony, nieszczęśliwy, dopóki nie usłyszał na korytarzu energicznego stukotu damskich obcasów. Tak właśnie chodziła Sabina, z pięty, a więc głośno, jakby wybijała rytm. Mógł się wyprostować i odetchnąć. Wyjął z szafki drugą szklankę.

- Zrobić ci herbatę? - spytał, ledwie otworzyła drzwi.

Patrzyła przez chwilę, jakby nie bardzo rozumiała. Mogła nie rozumieć, bo to ona zawsze pytała: „Zrobić ci?”, „Zjesz?”, on raczej takich pytań nie zadawał.

- Zrób - powiedziała. - Zaraz odgrzeję gulasz.

Obiad przygotowany, można powiedzieć, wspólnymi siłami, jedli w milczeniu. Dopiero dźwięk telefonu oderwał Sabinę od stołu. Wybiegła do przedpokoju po komórkę, a kiedy wróciła, minę miała dość niewyraźną.

- Januszek dzwonił? - spytał Bolek.
 - Nie. Właśnie się dowiedziałam, że odpadły mi dwie poniedziałkowe godziny sprzątanania. Zmarła właścicielka mieszkania na Nowolipkach.
 - Nie znajdziesz nikogo innego w to miejsce?
 - Nie znajdziesz, nie znajdziesz... - zaczęła go przedrzeźniać. - Nie jestem tępym wołem roboczym, przywiązuję się do ludzi i wcale nie jest mi obojętne, u kogo sprzątam.
 - Jedz, bo ci wystygnie - mruknął.
 - Znalazł się ten, co lubi gorące! - fuknęła. - Myślałam, że tobie smakuje tylko z lodówki.
- Nawet jeśli początkowo oboje mieli dobre intencje, żeby się porozumieć, to i tak nic z tego nie wyszło.

Poniedziałkowy wieczór. Tydzień drugi

Wiola, współpracowniczka Sabiny nie mogła oderwać oczu od kamieni. W odpowiedzi na „granatowe uderzenie” Sabiny wymyśliła „białe szaleństwo”. Rozłożyła kamienie na roboczym stoliku i co chwila podchodziła, żeby sobie popatrzeć. W strunowych woreczkach połyskiwały kostki, kulki i lezki kryształu górskiego z cudownymi spękaniem w środku. Zapaliła lampkę, żeby rozbliły w całej swojej urodzie. Jeszcze bardziej niż kryształ cieszyły oko fasetowane kule opali syntetycznych. Firma sabi_wiol unikała syntetyków, stawiała wyłącznie na kamienie naturalne, jednak te opale nie miały sobie równych. Na pierwszy rzut oka przezroczyste, wpadające w leciutki błękit, w świetle mieniły się na żółto i różowo, jakby je ktoś rozpalał od środka. Idealnie nadawały się na sylwestrowe naszyjniki, podobnie jak kryształ górski i biały kamień księżycowy. Oprócz kamieni zamówiła też trochę srebra, różnych kuleczek i rurek, które każdemu naszyjnikowi dodawały niepowtarzalnego uroku. I oczywiście piękne zapięcia, pasujące do całości. Wszystko to kupiła z myślą o sylwestrowych i karnawałowych ozdobach. „Granatowe uderzenie” Sabiny z całą pewnością nie było głupim pomysłem, dwa pierwsze naszyjniki prezentowały się niezłe, jednak czegoś im brakowało. Najpewniej ładnych granatów.

Sabina nic nie wiedziała o kamieniach, dla niej miała to być niespodzianka. Ponieważ do tej pory wszystkie zakupy robiły wspólnie, przy czym Sabina jako główna projektantka decydowała, co będą robić i z czego, Wiola przygotowała sobie odpowiednią mowę, żeby wspólniczka nie poczuła się urażona. Miała powiedzieć tak: „To prawda, że koszty i dochody dzielimy na pół, jednak uważam, że twój wkład jest większy. Oczywiście opisy i zdjęcia są ważne, kontakt z klientami także, ale to ty projektujesz i wykonujesz większość biżuterii. Dlatego zdecydowałam, że co miesiąc ze swojej połowy przeznaczę dodatkową kwotę na zakupy. Z samych pomysłów nie wyżyjemy, potrzebne są dobre półfabrykaty. Przecież wiesz, że z gówna nie da się bicza ukręcić”. Tak to sobie wymyśliła, tylko zastanawiała się, czy nie zrezygnować z ostatniego zadania.

Zgasiła lampę i wróciła do swoich zajęć. Musiała przygotować do wysłania dwie kolejne przesyłki i zanieść je na pocztę. Towar schodził całkiem nieźle, codziennie coś wysyłała i martwiła się, na jak długo wystarczy zapasów. Kiedyś próbowała namówić Sabinę, żeby zajęła się wyłącznie produkcją biżuterii, która na Allegro szła w kategorii hand made. Sabina jakoś nie zapaliła się do tego pomysłu, wciąż powtarzała, że sprzątanie to praca pewna, a ozdóbki ludzie kupią lub nie.

Przed południem w telewizji leciał film z Wyniosłą Artystką. Wiola początkowo nie chciała oglądać, potem zerknęła i została przed telewizorem. Film był smutny, a Wyniosła grała w nim kobietę przegraną. Była przekonująca aż do łez i Wiola się spłakała. Co prawda ona sama nigdy nie uważała się za kobietę przegraną, ale - podobnie jak Wyniosła Artystka na ekranie - tak i ona nie mogła powiedzieć, że prawdziwe szczęście było jej udziałem. Poczowała wielką babską solidarność. Oczywiście rozumiała, że aktorka i bohaterka filmu to dwie różne osoby, jednak przypominała sobie LuGada i zrobiło jej się bardzo żal Wyniosłej Artystki. Tak bardzo, że gdyby знаła jej numer telefonu, to chyba zadzwoniłaby z... Sama poczuła, że się zagalopowała.

Sabina najpierw przysłała SMS, że trochę się spóźni, po czym spóźniła się nie trochę, a trzy godziny. Przez ten czas wspólniczka zdążyła się nakręcić jak bąk i przygotowała sobie całkiem udane powitanie, w

którym miało być sporo o terminach, jeszcze więcej o lekceważeniu pracy. Spojrzała na Sabinę i odłożyła awanturę na inny dzień.

- Masz na gębie wypisane, że coś się stało - powiedziała.

- Umarła Wielka Zapomniana Artystka.

- O kurczę! - westchnęła współpracowniczka. - Szkoda, ale nic na to nie poradzisz. Kiepsko, że straciłaś swoje godziny?

- Pani Magda obiecała mi coś znaleźć. Jeśli nie, to nie spłacę w grudniu ostatniej raty kredytu, dojdą kary za zwłokę... Wolę o tym nie myśleć. Poniedziałek odpadnie, czwartek u Wyniosłej z głowy, a to w miesiącu trzysta złotych w plecy.

- Zrobisz kilka naszyjników więcej i jakoś się wyrówna - pocieszyła ją współpracowniczka i wepchnęła do pokoju.

- A to co? - zdołała wykrztusić Sabina.

- Półfabrykaty. Nawet najslawniejsza polska projektantka nie ukreci bicza z gówna. Ty masz większy udział w robociznie, ja dołożę się do zakupów i wtedy będzie sprawiedliwie. Siadaj na tyłku i rób balowe naszyjniki. Pójdą jako „białe szaleństwo”. A może lepiej zabrzmi „zimowe”? Jak myślisz?

Sabina tak była zajęta układaniem kamieni, że chyba nie dosłyszała pytania. Nawet jej zgrubiałe od pracy ręce czuły przyjemny w dotyku chłód i jedwabistą delikatność kryształu. Całkiem niedawno myślała o cudownym rozmnożeniu kamieni i wyszło na to, że cud się spełnił. Nabrała otuchy, że może z ratą też sobie poradzi i wreszcie największy swój kłopot będzie miała z głowy.

Wtorkowy ranek. Tydzień drugi

Serialowa Gwiazdka nie mogła usiedzieć w domu. Niosło ją gdzieś, sama nie wiedziała gdzie, na szczęście w porę przypomniała sobie, że to jest dzień sprzątania i powinna poczekać na Sabinę. Pogoda była zbyt paskudna, żeby włóczyć się bez celu po ulicach, klapnęła więc w fotelu i wciąż od początku przeżywała swoje porażki.

Tydzień zaczął się nieszczerze. W internetowym plebiscycie na najsympatyczniejszą serialową postać jej notowania były do niczego. Jedna opinia w miarę dobra i jedna miażdżąca, ale tak, jakby ktoś za

jednym zachodem próbował roznieść w pył bohaterkę, jej odtwórczynię i cały serial. O bohaterce napisał: „Postać skrojona na modłę szekspirowskiej Julii, tyle że z nędznych resztek materiału. Nie da się na nią normalnie patrzeć, jak zresztą na cały serial. Oglądam tylko dlatego, żeby zobaczyć, co głupiego jeszcze wymyśla”. O odtwórczyni: „Hoża dziewczyna z policzkami większymi niż biust od trzydziestu odcinków nie może się zdecydować, czy ma grać, czy nie”. Autor opinii musiał być masochistą, bo Serialowej Gwiazdce nie chciałoby się oglądać aż trzydziestu odcinków czegoś, na co nie mogłaby patrzeć. Nie poprawiło jej humoru nawet przypadkowe spotkanie w sklepie. Obca, starsza kobieta objęła ją i powiedziała: „Kochanie, jesteś najmilszą dziewczyną w tym serialu, tylko proszę, zmień chłopaka, bo on nie jest ciebie wart!” Pośmiały się chwilę, porozmawiały, ale tych dobrych, podnoszących na duchu słów nikt więcej nie słyszał, a na stronę z wynurzeniami masochisty wchodziło mnóstwo ludzi.

Serialowa Gwiazdka poprawiła się w fotelu i westchnęła ciężko. Nie lubiła zjadliwych opinii, bo niby dlaczego miałyby je lubić, ale było jeszcze coś gorszego, co nie pozwoliło jej spać w nocy, a i rano kazało zerwać się z łóżka skoro świt. Poprzedniego dnia asystent reżysera wpadł w furję i o mały włos jej nie zabił. Chodziło o Wielką Zapomnianą Artystkę, o której Gwiazdka szepnęła kilka słów reżyserowi. Powiedziała to, co wiedziała od Sabiny: że wygląd arystokratki i sprawność intelektualna bez zarzutu. Asystent wykrzykiwał coś wręcz przeciwnego: że demencja starcza, dzieciennienie i zero kontaktu. Za swój zmarnowany czas wściekał się na Serialowa Gwiazdkę, bo na reżysera nie mógł. Z kolei Serialowa Gwiazdka miała ochotę wściec się na Sabinę, bo na kimś musiała odreagować wczorajszy stres. Nie przewidziała tylko jednego: pomoc domowa, która od dwunastu lat pracowała u różnych ludzi, zdążyła się oswoić z kapryсами pracodawczyń i ich pretensjami.

- Co zrobiłam nie tak? - spytała. - Źle uprasowałam, źle składałam bieliznę czy płytki za sedesem są szorstkie?

- Jedna wielka masakra. Powinna mnie pani uprzedzić, że Zapomniana Artystka jest...

Sabina nie dała jej skończyć.

- Nie jest, tylko była. Wczoraj zmarła.
- O jejku, nie wiedziałam! - zasmuciła się nagle Serialowa Gwiazdka. - Zmarła tak po prostu, ze starości?
- Lekarze przypuszczają, że nie wzięła w porę leków, tylko nie wiem, czy nasercowych, czy cukrzycowych, w każdym razie nie mogli jej odratować.

W obliczu śmierci wszelkie zarzuty straciły sens i nawet nie wypadało źle mówić o zmarłej. Serialowa Gwiazdka natychmiast ochłonęła.

- Asystent reżysera był u niej w sobotę.
- Asystent? - Sabina nagle się ożywiła. - Musiał być z kimś jeszcze, na stole stały trzy filiżanki z herbatą.

- Trzy? Kumpla sobie mógł wziąć do towarzystwa, żeby prostaczek popatrzył, jak pan asystent rozdziela łaski i role. Straszny pozer z tego faceta. Ale jeszcze tak wściekłego to ja go nie widziałam. Podobno starszka ani w ząb nie chwytała, co do niej mówił, całkiem jakby ją skleroza siekła. Jeżeli nie wzięła leków, mogła nie chwytać, prawda?

- Dziwne. O myciu zębów i lekach nigdy nie zapominała. Ja ją widywałam raz w tygodniu, pani Magda dzwoniła prawie codziennie i z dogadaniem się nie było kłopotów - kręciła głową Sabina. - Mówiła logicznie i z sensem, trochę się powtarzała, ale to jeszcze nie jest oznaka sklerozy.

- Wie pani, zawsze kiedyś przychodzi ten pierwszy raz - zauważyła Serialowa Gwiazdka. - A mogło być i tak, że najpierw zasłabła z radości, bo taka rola w późnym wieku, to wielka rzecz, potem przyszedł żal, że... No wie pani, załamka totalna. Ale to nie powód, żeby straszyl mnie wyrzuceniem z serialu. Dopiero reżyser musiał mu przypomnieć, że nie ja odpowiadam za epizody, tylko on. Nie pierwszy raz rozmawiał o roli z kimś, kto się nie nadawał. Czasem wychodzi to od razu, czasem dopiero podczas zdjęć próbnych, więc chyba lepiej, że wyszło na miejscu i nie trzeba było starszki ciągnąć do studia. Z tego asystenta to głupi nadęty banan! - mruknęła, co ją wyraźnie uspokoiło. Odzyskała pewność siebie.

- Musiało być tak, jak mówię. A pani co myśli?
- Teraz prawdę znają tylko ci dwaj, co tam byli - zauważyła Sabina. - Nic nie wymyślimy, trzeba się brać do pracy.

Tym razem Gwiazdka nie chodziła za nią krok w krok. Do najnowszej roli sprzątaczką była już wystarczająco przygotowana, więc zajęła się czymś ważniejszym.

- Co z pierścieniem? - spytała Sabina. - Kupiła go pani w końcu czy nie?

- Był dla mnie za duży - przypomniała Gwiazdka. - Wyniosła Artystka wpadła w złość, odgrażała się, że nie odda zaliczki, ale w końcu oddała. Ja rozumiem, że ona ma wydatki z tym domem, że kaplica pochłania ogromne pieniądze, podobno musiała sprzedać brylantową kolbę po mamie, jakąś ziemię po babci, kawał lasu po dziadku, szablę bodaj po tacie... Nie, szablę chyba po stryju... Nieważne. W każdym razie potrzebne są jej pieniądze.

- Ma jeszcze męża?

- A kto go kupi! - roześmiała się Serialowa Gwiazdka. - Tak dokładnie to nie wiem, możliwe jednak, że ona ten dom buduje sama. Wie pani, pani Sabinko, ostatnio bardzo modna jest rozdzielność małżonkowska.

- Wcale nie tak ostatnio - zauważyła Sabina.

- Ostatnio szczególnie. Ludzie się zabezpieczają na wypadek rozvodu. W każdym razie mnie ten wiktoriański pierścionek nie pasował. Sama pani widziała.

Sabina pokiwiała głową, że widziała i wróciła do odkurzania dywanu. Myślała sobie o kolii i dziwnych splotach okoliczności.

Wtorkowe popołudnie. Tydzień drugi

Telefon od Januszka złapał Sabinę w drzwiach. Zawróciła, oddała słuchawkę mężowi, a sama stanęła w progu i z konieczności słuchała, bo co innego mogła robić w ciasnej klatce. I choć Bolek wił się i kręcił, żeby z jego odpowiedzi nic nie dało się wyczytać, właśnie to jego wiercenie było aż nadto czytelne: nie miał ochoty nigdzie jechać. Patrzyła z rosnącą irytacją, jak z przerażeniem odsuwa słuchawkę od ucha, żeby słyszeć i nie słyszeć jednocześnie. To był cały Bolek. Prawdziwe zdecydowanie wykazywał jedynie na pomoście, kiedy podnosił sztangę na klatkę piersiową, po czym zwycięskim ruchem wybijał ją do góry. Wtedy wyglądał wspaniale. Wystarczyło jednak, że wrócił do domu i już

nie umiał wybrać między zupą pomidorową a szczawiową albo między kinem a spacerem. Mówił: "Sama zdecyduj, zrobimy, jak zechcesz". Taki był zawsze, tylko dawniej miało to jakiś urok. Z ulgą oddał jej słuchawkę.

- I co? - spytała.

- Powiedział, że przylatuje po mnie w piątek - westchnął ciężko. - Kupił dom, ożenił się, mówi, że wreszcie ma warunki, żeby mnie ściągnąć.

- Ożenił się? Wiedziałaś o tym? - spytała z wyrzutem.

- Nie... To znaczy coś tam napomykał... Wiedzieć nie wiedziałem.

Wiadomość o ślubie tak ją zaskoczyła, że usiadła na chwilę i poluzowała szal. To nie było normalne, że matka dowiadywała się o małżeństwie syna po czasie i jakby mimochodem. Z drugiej jednak strony, w jej życiu już od kilkunastu lat nic nie działo się normalnie, więc zdążyła przywyknąć do różnych niespodzianek, w większości złych i bardzo złych. Ta jeszcze do najgorszych nie należała.

- Sam przyjeżdża czy z żoną?

- E, chyba sam. - Bolek w zamyśleniu pocierał podbródek aż zarost skrzypiał. - Zadzwoń do niego i powiedz, że to jest podróż nie na moje siły.

- Miałeś go na linii, trzeba było mówić! - fuknęła ostro.

- On po tobie wziął charakter i wszystko wie najlepiej. Po mnie urodę, po tobie charakter.

- Urodę! - fuknęła znowu.

- Ostatnio go widziałem, jak miał dziewiętnaście lat, to był całkiem podobny do mnie w tym wieku. Na starość pewnie będzie inny, bo ja... Sama wiesz...

- Nie będę do niego dzwonić - zdecydowała pośpiesznie. - Przyjedzie, to mu sam powiesz. On ze mną gadać nie chce, po tym, co mu naopowiadałeś.

- A co ja mu niby miałem opowiadać? - zdziwił się Bolek. - O nic mnie nigdy nie pytał i nic mu nie opowiadałem. Wie tyle, co sam zobaczył.

- Gadanie! Tyle mojej winy, że byłam głupia i dałam się oszukać. Nie ja pierwsza, nie ostatnia. A syn mnie przekreślił, ledwie pieniądze

skończyły płynąć szeroką strugą. To nie jest w porządku i nie gadaj mi, że odziedziczył charakter po mnie.

Bolek wciąż tarł podbródek, a ona nie mogła znieść skrzywienia zarostu. Wysłała, żeby odetchnąć u współpracownicy, gdzie czekały na nią piękne kamienie i szkice projektów nakreślone poprzedniego dnia. Biegła po schodach i powtarzała sobie, że nie będzie się dołowała, nie będzie myślała o sprawach przykrych, na które już nie ma najmniejszego wpływu. Niestety, Wiola, choć wyglądała na szczerze ubawioną, też nie miała dobrej wiadomości.

- Siadaj, żebyś mi kozła nie fiknęła i zgaduj, kto do mnie dzisiaj zadzwonił - zarządziła, ledwie Sabina zdążyła zdjąć kurtkę.

Po takim pytaniu można się było spodziewać tylko najgorszych wieści. Sabina ciężko opadła na krzesło. - Tylko nie mów, że Gadacki! - jęknęła.

- On, we własnej, parszywej osobie. Rzadki gad, szkoda, że nie kołpalny. Chce zgłosić na Allegro, to znaczy chciał, bo jeszcze nie wiesz, jak go załatwiłam, więc chciał zgłosić naruszenie zasad przez naszą firmę. Powiedział tak: „Co według pani znaczą słowa: jedyny i niepowtarzalny? Szukałem czegoś oryginalnego, dałem się zwieść zapewnieniom, a teraz widzę, że pani wystawiła następny, identyczny naszyjnik, też jedyny i niepowtarzalny. Czuję się oszukany”. Patrz, co za cholerny dziad. On szukał! Gówno prawda. Wszedł na stronę ogólną z naszyjnikami i kliknął na pierwszy, jaki mu wpadł w oko. Akurat nasze ametysty musiały być na samym początku strony, bo to było dziesięć minut przed zakończeniem aukcji. Nie wiem nawet, czy dobrze widział, na co klika, może interesowała go tylko umiarkowana cena. Teraz udaje konesera i czuje się oszukany. Gad! No to odpowiedziałam mu tak, żeby od razu miał pozamiatane. „Naszyjniki - powiedziałam - różnią się barwą kamieni, rodzajem srebrnych ozdób, zapięciami i kompozycją. Nie ma dwu identycznych. Pan zapłacił za jeden, dostał, a raczej wyłudził ode mnie drugi, więc proszę je porównać. Jeżeli okażą się takie same, zwracam pieniądze”. Zatkanęło go, bo chyba już wie, że drugi naszyjnik wcięło i guzik sobie porówna. Coś tam zaczął nawijać, że jemu wystarczy zdjęcie. To mu powiedziałam, że na zdjęciu nawet on może wyglądać na sympatycznego faceta. Myślałam, że się wkurzy, ale nie.

Znowu zaczął nawijać, że twarda ze mnie sztuka, takie tam dyrdymały i cały czas wali do mnie „pani Wioletto”, jakbyśmy telefoniczno brudzia wychylili. I teraz uważaj, najważniejsza część rozmowy. Cytuję prawie dosłownie, bo nagrać nie miałam jak: „Chyba rzeczywiście ma pani niezłą projektantkę, nie wiem, czy aż znakomitą, rozumiem jednak handlowe intencje. Tak się składa, że potrzebny mi kontakt z kimś takim. Chodzi głównie o doradztwo, nie o interesy, bo jestem z innej branży. Niech mi pani rozszyfruje to sabi w nazwie firmy. Wiol rozszyfrowałam sam”. Bystrzacha, no nie? A ja mu krótko: „Od razu widać, że pan z innej branży, bo w naszej Sabiszewska Anetka jest ikoną. Sabi od Sabiszewska, chwyta pan?” Chwytał, ale jakby nie do końca, bo zażyczył sobie telefon do tej Sabiszewskiej. Tu go zażyłam krótko: „Najpierw spytam panią Sabiszewska, czy jest zainteresowana pana telefonem”. Więcej mi tyłka nie truł. Chyba nie zechce szukać Sabiszewskiej, a jak zechce, to i tak nie znajdzie. Zastanawia mnie tylko jedno: czy on mógł wpaść na Sabinę i myśleć o tobie? To chyba niemożliwe, żeby nas połączył?

- Adres - szepnęła Sabina. - Twój dostał z Allegro, a mój zna, bo to było dawniej mieszkanie jego syna. Nietrudno mu było skojarzyć dwa bloki na wprost siebie. A trochę o mnie wie, choćby to, że przez jakiś czas pracowałam w zakładzie jubilerskim ojca. Zresztą wystrój kawiarni to też była moja działka. Ty go nie znasz. Tam gdzie Gadacki zwierzy interes, potrafi kojarzyć na zapas i z wyprzedzeniem. Nawet mogę ci powiedzieć, co zrobi. Zacznie od szantażu, najpierw postraszy skarbowką, potem każe sobie płacić za milczenie.

- Phi, też mi aferzysta! - Wiola wzruszyła ramionami. - Ja myślałam, że on tylko na wielką skalę, a ty mi mówisz, że nawet nas mógłby szantażować? Albo on nie jest wielki, albo my takie ważne.

- Wiola, proszę cię! - jęknęła Sabina. - Działamy na dziko, nie od prowadzamy podatków i jak nam rąbną domiar, to się nie pozbieramy. Przecież nie zostawię cię samej z takim pasztetem. O kurczę, znowu się obudzę na ławce w parku z nowymi długami. A już się cieszyłam na zapas, że w grudniu wyjdę z bankiem na prostą, przez rok jakoś spłacę te dwadzieścia tysięcy drobnym lichwiarzom i wreszcie będę miała spokój.

Wspólniczka rozparła się wygodnie w krześle, wielkie ręce udekorowane brokatowymi tipsami złożyła na brzuchu i wcale nie wyglądała na przerażoną. Przeciwnie, rozsadało ją od środka zadowolenie widoczne na odległość.

- Akurat skarbowki nie mamy powodu się bać - wyjaśniła. - Od dwu lat jesteśmy firmą legalnie zarejestrowaną, odprowadzamy podatki, może nie od wszystkiego, ale od tego, co idzie na Allegro z całą pewnością. - Spojrzała na minę Sabiny i miała ochotę się roześmiać. - Przestań, bo dostaniesz wytrzeszczu oczu! - powiedziała. - Ile razy ci mówiłam, że trzeba się zarejestrować, bo może być draka. Nie wykazywałaś zainteresowania, co nawet rozumiałam, więc na razie firma jest zarejestrowana na mnie. Jakby co, sama robię i sama sprzedaję, każdemu tak wolno. Do ciebie nikt się nie przyczepi. Wewnętrzne rozliczenia to już nasza wewnętrzna sprawa.

- Nie mówiłaś mi! Nie dzieliłyśmy się podatkami... Przynajmniej nic takiego nie pamiętam.

- Płacę sama, kiedyś to sobie wykorzystam jako przelicznik do emerytury. Ciebie też namawiałam do zarejestrowania działalności, nie mów, że nie. Na razie LuGad może mnie w nos cmoknąć i ciebie przy okazji, jak wyrazisz ochotę. Nie łam się, naprawdę wszystko jest w porządku. A ja tylko czekam, aż ten drań wystawi nam komentarz, żeby mu rąbnąć negatywa. Nie wywinie się, ma to u mnie jak w banku. To mówisz, że jego synalek mieszkał tam gdzie ty? Tam mieszkał taki jeden dziennikarz albo aktor... Nazwiska nie kojarzę, ale chłopak był do rzeczy. Młodszy ode mnie, ma się rozumieć, więc za bardzo mnie nie interesował. Zresztą aktorów to ja najbardziej lubię w telewizorze albo na ekranie. W życiu to oni chyba tacy fajni nie są, co?

- Dlaczego? Jest pewnie paru, którym sodówka uderzyła, ale w większości są normalni. Młody Gadacki kiedyś był dziennikarzem sportowym. Co teraz robi? Pojęcia nie mam, wiem tylko, że z nim jednym stary się liczył. Żony miał za nic, kontrahentów też, jedynie synowi nigdy niczego nie odmawiał.

Sabina przez chwilę przesypywała ręką opale i patrzyła, jak jarzą się czerwono-różowym światelkiem. Wreszcie zaczęła opowiadać. Najpierw bardzo cicho, lecz w miarę mówienia odzyskiwała głos.

- Mówiąc prawdę, moja kawiarnia wcale nie splajtowała. Bolek nazywa to plajtą, bankructwem, a ja nie wyprowadzam go z błędu. Ani on, ani matka nie znają całej prawdy, nie wiedzą o pożyczce... ale o tym za chwilę. Plajta to plajta, każdemu może się zdarzyć, nawet najlepszemu. Wszystkiego nie jesteś w stanie przewidzieć. Tobie ktoś nie zapłaci, ty nie zapłacisz innemu, podatki cię ścisną i już przedziesz cieniutko. Plajta brzmi dużo lepiej niż chroniczna głupota, która mnie zgubiła. Dzisiaj już mogę o tym mówić spokojnie, lata pokuty swoje zrobiły. Tak więc kawiarnia szła nieźle, tylko przestała być Gadackiemu przydatna. On nigdy nie inwestował w jeden interes, wciąż przerzucał pieniądze to tu, to tam, w zależności od tego, gdzie widział większe zyski. Wtedy zaczął na potęgę skupować akcje jakichś firm i potrzebował dużo kasy. Do tego doszły kłopoty rodzinne, druga żona za dużo wydawała na siebie, syn musiał się żenić, coś tam jeszcze nie wypaliło, więc zaczął ostro kombinować. Byliśmy współnikami, ja nie chciałam słyszeć o sprzedaży kawiarni, ale też nie mogłam go spłacić od ręki, bo nie miałam pieniędzy. Zresztą jego nie interesowała spłata. Wszystko sobie ukartował wcześniej, żeby dostać dużo więcej niż włożył, bo to dopiero był interes. Na początek wymyślił przemysł spirytusu. Wtedy przemoty były dość modne, zwłaszcza papierosowe i wódczane, chociaż nie tylko. Były przekręty na butach, na telewizorach... różne. Nie chciałam wchodzić w ten wódczany interes, miałam jakieś złe przeczucia i bodaj pierwszy raz postawiłam mu się ostro. Znalazł sposób, żeby mnie przekonać, mało tego pożyczył mi pieniądze, czyli równowartość mojego udziału na tak wysoki procent, że gdybym miała choć deko oleju w głowie, powinnam dać mu tę umowę do pożarcia. A ja podpisałam cyrograf na całe pięć miliardów złotych.

- Ile? - wykrzyknęła Wiola.

Wychyliła się niebezpiecznie z fotela i o mały włos nie spadła.

- Pięć miliardów - przytaknęła Sabina. - To było jeszcze przed denominacją. Miliardy brzmią niesamowicie, prawda? Dla mnie, po denominacji, pięćset tysięcy to też była kosmiczna kwota. Pół miliona, obojętnie z której strony popatrzyasz, plus procenty. Nie widziałam tych pieniędzy na oczy, więc kiedy interes nie wypalił, ja straciłam wszystko,

mój wspólnik nic, bo przecież na takiej fikcji wyłącznie się zarabia, pod warunkiem, że znajdzie się głupca. On znalazł. I wtedy zaczął się prawdziwy koszmar. Gadacki coraz brutalniej domagał się spłaty rat, jednocześnie zdecydował, że sprzedajemy kawiarnię. Nie wierzyłam, że to wszystko dzieje się naprawdę. Mówiłam sobie: „Straszy tylko, wie chyba, że jak zostanę bez pracy, to nie oddam długu”. Pocieszałam się, jak umiałam, ale kiedy obok mnie wyrósł goryl, nie wyglądało to już na zabawę. Przeżyłam porwanie syna, pobicie męża, byłam pod ścianą. Nawet nie masz pojęcia, jak szybko człowiek może się wyleczyć z głupoty. Wreszcie i ja wzięłam sobie prawnika. Kiedy pokazałam mu umowy, spytał: „Czy pani miała sieczkę w głowie, podpisując to wszystko? W życiu nie widziałem umów tak niekorzystnych dla jednej strony”. Miał rację z tą sieczką i cudów zdziałać nie mógł, bo na wszystkich umowach były moje autografy, ale doradził niegłupio. Sprzedałam samochód, spłaciłam swój wcześniejszy kredyt zaciągnięty na kawiarnię i wzięłam kolejne sto tysięcy. Na razie siedziałam cicho. Gadacki znalazł kupca na kawiarnię i wtedy okazało się, że nasze udziały wcale nie są równe. Początkowo niby były, tylko przeoczyłam punkt, mówiący o tym, że z mojej części pokrywane są wszystkie straty. Przez cztery lata trochę się tych strat uzbierało i przy podziale dostałam nędzne grosze, niecałe osiemdziesiąt tysięcy, chociaż włożyłam trzy razy tyle. Tych pieniędzy też nie widziałam, poszły na poczet długu. Zostało mi jeszcze mieszkanie przy Siemiatyckiej. Mój prawnik czuwał i wycena była w miarę rzetelna. Poszło, razem z częścią mebli, prosto w ręce młodego Gadackiego. On wziął dwupokojowe mieszkanie, świeżo po remoncie, a mnie przypadła w udziale jego klatka, której nawet nie zdążył wymalować. Zobacz, jak cwanie stary to wymyślił: za jednym pociągnięciem uwolnił się od kawiarni, ode mnie, pozyskał mieszkanie dla syna i jeszcze dla siebie siedemdziesiąt pięć tysięcy. Przy prawniku rzuciłam mu forszę na stół. Nie miałam pracy, Bolek po wypadku dostawał sześć stów renty, a bank, w drodze negocjacji zgodził się obniżyć mi miesięczne raty do pięciuset złotych. Czasem udało się zapłacić, czasem nie, kary rosły. Druga żona Gadackiego, aktorka zresztą, załatwiła mi sprzątanie u swoich koleżanek. Na początek dostałam pracę w dwu domach. To było jakieś wyjście, bo Bolek nie

ruszał się z łóżka i nie mogłam go zostawiać na cały dzień. Od tamtej pory sprzątam wyłącznie firmament niebieski i obracam się wśród gwiazd, po czym wracam do domu i głowią się, jak wyżywić za dziesięć złotych dwie osoby. Jeśli mogę wydać piętnaście, jestem szczęśliwa, ale taka rozpusta trafia się rzadko. Musi przecież wystarczyć na mieszkanie, prąd, bilety i jeszcze na mydło.

- O cholera! - westchnęła Wiola. - Czy on się na ciebie jakoś specjalnie uparł? Bo to mi wygląda na rodzaj zemsty.

- Też się zastanawiałam, dlaczego właśnie mnie sobie upatrzył, jeśli miał wokół ludzi bogatszych. Wytlumaczyła mi to jego żona, ta aktorka, kiedy już przestała być żoną i wyszła z domu w jednym płaszczyku i z jedną walizką. On wszystkich oszukiwał, głównie na pożyczkach z lichwiarskim procentem, na lokalach pod zastaw, na innych fantach, na czym się dało. Ja byłam wyjątkowo łatwym kąskiem, z racji głupoty. Zachłysnęłam się własną kawiarnią, byłam szczęśliwa, że ma mi kto pomóc i ufałam Gadackiemu we wszystkim. Okręcił mnie wokół palca, potem wystawił, oskubał i miałam nadzieję, że przestał się mną interesować.

- O cholera I - westchnęła ponownie współniczka.

- Nie wiem, czego on może jeszcze chcieć, naprawdę nie wiem. - Sabina bliska była płaczu. - Ojciec mi zawsze powtarzał, że człowiek dopóty jest wiarygodny, dopóki spłaca swoje długi i nikogo nie naciąga nawet na dwa grosze. Jeśli miał rację, to dlaczego Gadacki wciąż jest bardzo wiarygodny, a ze mną nikt się nie liczy?

- Ja bym mu tego nie darowała - powiedziała współniczka.

Sabina uśmiechnęła się smutno. Jeżeli o nią chodziło, wołała zapomnieć wszystkie swoje krzywdy, byle tylko nigdy więcej nie mieć do czynienia z Ludwikiem Gadackim.

Środa rano. Tydzień drugi

Średnia Aktorka, ubrana i wyszykowana już do wyjścia, czekała na Sabinę z kawą. Często powtarzała, że wśród rzeczy, których nie lubi robić samotnie, na drugim miejscu jest picie kawy. Wiedziała już o śmierci Wielkiej Zapomnianej Artystki. Z rozgoryczeniem mówiła o

szykującym się pięknym pogrzebie scenicznej ikony, która musiała umrzeć, żeby sobie ludzie o niej przypomnieli.

- Ikona nie ikona, starość jest do kitu, ale samotność na starość jest podwójnie do kitu. Wiem, że to kiepskie odkrycie, więc nie będziemy go wałkować. Jest interes do zrobienia, pani Sabino. Baby zobaczyły mój nowy naszyjnik i dostały wścieklicy. Mało tego, akurat nawinał się nasz producent i też mu oko błysnęło. Trzeba przyznać, że facet zna się na babach i na ich upodobaniach. Powiedziała im, że mam znajomą plastyczkę, która robi nie takie cuda. Nie przeceniłam pani, spokojna głowa. Ma pani zamówienie na trzy naszyjniki, najdłuższe jak się da, nawet do pępka, bo takie teraz modne, z prawdziwych kamieni, oczywiście. Jeden w tonacji zielonej, drugi czerwonej, a trzeci jesiennej. Te są zaklepane. A potem pomyśleliśmy. Magda się zapaliła, żeby wziąć kilka w komis, bo potrzebuje gotówki poza oficjalną listą płac. Pewnie będzie się przeprowadzać do mieszkania po ciotce. Ona twierdzi, że naszyjniki pójdą jak woda pod jednym warunkiem: nie może być dwu identycznych. Aktorki tak już mają, że chcą kreować modę, a nie naśladować i każda usiłuje być oryginalna na swój sposób. Zresztą nie będę udawała, że jestem inna. Błyskotki lubimy wszystkie, podobno we wcześniejszych wcieleniach byliśmy srokami. Może i tak, bo niektórym do dzisiaj został skrzekliwy głos. To co, umowa stoi? Pani robi, Magda rozprawia, a ja, jako pomysłodawca, jestem u pani pierwsza na liście. Jak mi się zapali, pani rzuca wszystko i robi dla mnie. Okej? Szkoda, żeby taki talent się marnował.

Pomysł był znakomity. Firma sabi_wiol sprzedawała trochę poza Allegro wyłącznie dzięki współpracownicy, która wydeptała swoje dróżki do dawnych znajomych i do paru butików. Sabinie nigdy się to nie udało. Mogła robić naszyjniki, wymyślać wzory, byle tylko nie sprzedawać. Teraz wreszcie i ona załatwiła coś, co się nazywa zbytem, otworzyła firmie furtkę, a kto wie, czy nie całą bramę. Przytaknęła, że tak, że zrobi z wielką ochotą, chociaż nie miała pojęcia, skąd weźmie pieniądze na kamienie i srebro. Wiola wyłożyła już na „białe szaleństwo”, wypadałoby teraz Sabinie ruszyć głową.

Średnia Aktorka spojrzała na zegarek i zaczęła bardzo się śpieszyć.

- Co właściwie robi producent? - spytała nieśmiało Sabina.

- Producent? - zdziwiła się Aktorka. - Trzyma kasę, wtrąca się we wszystko, ale czasem też pomaga.

Sabina została w mieszkaniu sama. Ten producent zainteresowany błyskotkami trochę ją zmartwił, o nazwisko nie śmiała spytać i teraz wciąż przed oczami miała Gadackiego. Powtórzyła sobie parę razy, że to urojenie i pomogło. Na razie było się z czego cieszyć i bardziej myślała o nowym biznesie niż o sprzątanii. Po latach pucowania cudzych kątów nabrała takiej wprawy, że działała niczym świetnie zaprogramowany automat. Tarła, szorowała i myślała nie tylko o naszyjnikach, lecz także o dobrych ludziach, którzy okazywali jej sporo życzliwości. Można powiedzieć, że z jednym parszywym wyjątkiem, miała w życiu szczęście do ludzi. Sprzątała już w wielu domach, z żadnego jej nie wyrzucono za niedbalstwo czy lekceważenie pracy. Po prostu czasem ktoś wyjeżdżał, zmieniał mieszkanie lub z różnych względów rezygnował z pomocy, bo i tak się zdarzało, ale były to rozstania przyjazne. Pewnie, że nie wszystkie swoje pracodawczynie lubiła jednakowo, niektóre wręcz nie dawały się lubić, zwłaszcza te, które bardzo mocno podkreślały swoją wyższość. „Nigdy pani nie myślała, żeby zrobić maturę i znaleźć jakąś pracę?” - pytała dawno temu Aktorka Amatorka. Sabina uśmiechała się, odpowiadała, że sprząkanie to też praca jak każda inna. Tamta niby kiwała głową, ale widać było, że dla niej jest to praca inna niż inne, mniej prestiżowa, mniej ciekawa. W duchu Sabina zgadzała się z taką opinią, ale nie mogła demonstrować jawnej niechęci do tego, co robiła z własnego wyboru. Zresztą pogląd na sprząkanie też jej się odmienił, jak wiele innych. Nie lubiła tylko opowiadać o sobie. Słuchała, co do niej mówią, najczęściej przytakiwała, i to jej wystarczało. Początkowo bała się trochę, żeby nie spotkać na swojej drodze kogoś z dawnych gości kawiarni U Saby. Z czasem ten lęk przestał być uzasadniony. Kto rozpoznałby teraz w przygaszonej, szarej kobiecie Bellę Kocicę? Z całą pewnością nikt, a zatem nikt nie musiał wiedzieć o kawiarni. Tamten etap życia był zamknięty, chociaż swoje piętno odcisnął. Sabina zrobiła się ostrożna i nieufna nawet wobec życzliwych osób. Obywała się bez przyjaciół, bez koleżanek i bez rodziny. Mąż był obok, matka w tym samym mieście, syn daleko, jednak wszelkie

serdeczniejsze kontakty dawno zwiędły. Była jedną z największych samotnic, jakie znała. Momentami dusiła się od nadmiaru przeżyć, chciałyby je z kimś podzielić i nikogo takiego nie było obok.

Dzień wcześniej załamała się po raz pierwszy i powiedziała o sobie więcej niż zdołała wykrztusić przez dwanaście lat. Sama była tym zaskoczona, jednak poczuła wyraźną ulgę. Nie dlatego, że się wygadała, ale dlatego, że została zrozumiana. Wspólnicze widać nie przeszkadzała przedawniona głupota Sabiny. Zresztą teraz już Sabina głupotą nie grzeszyła, a przynajmniej taką miała nadzieję.

Wychodziła z mieszkania Średniej Aktorki pogodzona ze sobą. Nie pierwszy raz zauważyła, że kiedy tylko myśli o dobrych miłych ludziach, to i w niej coś się przestawia i zaczyna patrzeć na świat nieco inaczej, a na pewno pogodniej. Niestety, Bolek do miłych ludzi nie należał i popsuł jej humor ledwie weszła do mieszkania.

- Dzwoniłaś do Januszka? Powiedziałas mu, że nie pojedę? - spytał.

- Sam mu to powiedz! - warknęła ze złością.

Wyciągnęła komórkę i zaczęła szukać numeru syna. Bolek przeraził się nie na żarty. Zamachał rękami, jakby chciał wyrwać Sabinie telefon i cisnąć go gdzieś w kąt. Spokorniał i zaczął prosić:

- Ty powiedz. Źle się czuję, to chyba znowu ten stary rak.

- Stary już dawno stracił gwarancję, najwyżej przyplątał się jakiś nowy - zauważyła zimno.

Od niedzieli zdążyła już przywyknąć, że Bolek ruszał się, człapał po mieszkaniu i wyglądał jak człowiek. Zemdlilo ją na samą myśl, że znowu zacznie umierać, bezmyślnie gapić się w sufit i czekać, aż ona wyjdzie z domu, żeby dobrać się do zimnego obiadu w lodówce.

- Nie chcesz, to nie jedź, twoja sprawa - oświadczyła stanowczo - ale mną się nie wyręczaj. Janusz i tak powie, że to ja cię nabuntowałam. Przyjedzie, sam zobaczy, jak jest, może cię przekona, może nie.

- A koszty? Pomyślałaś, ile zapłaci za bilet?

- Nie zbiednieje, jak odwiedzi rodziców raz na dziesięć lat.

Odwróciła się na pięcie i poszła odgrzewać gołąbki. Sama nie umiała powiedzieć, czy przyjazd syna bardziej ją niepokoił czy cieszył. Chciała go zobaczyć, chociaż niczego dobrego nie spodziewała się po tej wizycie.

Środa, późne popołudnie. Tydzień drugi

Przez pięć lat Wiola próbowała oswoić Sabinę i nie bardzo jej się to udawało. Sabina była trochę nieobecna duchem, w przeciwieństwie do swojej współpracownicy, która była zawsze bardzo obecna i uwielbiała babskie ploteczki o wszystkim. O szkolnej koleżance, której w życiu nie wyszło, o dawnej sąsiadce dręczonej przez sklerozę, o telewizyjnym serialu lub o tym, że w dzieciństwie często zapadała na anginy. Z Sabina nie szło tak pogadać. Znała tylu aktorów, ale próżno było czekać, że choć raz błysnie jakimś newsem. Nie chodziło przecież o żadne krzywdzące pomówienia czy odsądzanie od czci, lecz zwykłe rozmowy o tym, że Serialowa Gwiazdka pije kawę wyłącznie z kubka, Średnia Aktorka ze szklanki lub odwrotnie, że jedna kupuje perfumy takie, druga takie. Drobnie sprawy, a ileż to radości, kiedy się tak wieczorem siedzi, pracuje i rozmawia o cudzym, ciekawszym życiu. Wiola miała życie normalne, obracała się wśród ludzi zwyczajnych, ale potrafiła o nich opowiadać bez końca. Na szczęście Sabina umiała słuchać, nie okazywała znudzenia, często nawet wypytywała o to i owo, więc dało się z nią wytrzymać. Przy tym głupia nie była, do biżuterii miała pomysłu i uczciwie podchodziła do interesów. Choć mruczyła, dawała się lubić. Dopiero LuGad rozwiązał jej język. Po tej rozmowie współpracowniczka długo nie mogła dojść do siebie. Im bardziej żałowała Sabiny, tym większą złością pałała do LuGada. A kiedy jeszcze przypomniała sobie, że on trzyma swoje obrzydliwe macki tuż nad jej ulubioną Wyniosłą Artystką, to nabrała chęci do działania. Nie darmo marzyła się jej kariera agentki Starling.

Telefon wydawał się najlepszym rozwiązaniem. Chwilę obracała w dłoniach komórkę, nie za bardzo pewna, od czego zacząć. Numer Wyniosłej Artystki z całą pewnością miała Sabina, wiadomo jednak, że oddałyby go razem z życiem albo i nie. Zresztą współpracowniczka nie chciała

wciążąc Sabiny w kolejną awanturę z LuGadem. Musiała sobie poradzić inaczej, korzystając z dobrodziejstw techniki. Ledwie wstawiła do wyszukiwarki imię i nazwisko aktorki, po ułamku sekundy miała wszystko: zdjęcia, recenzje ze spektakli, życiorys i oczywiście teatry razem z repertuarem. Telefon z Włoszczowej musiał zrobić w macierzystym teatrze Artystki piorunujące wrażenie. Dlaczego akurat z Włoszczowej? Ano dlatego, że była to pierwsza miejscowość, jaka naruszyła się Wioli na myśl, dzięki poczciwej ciotce, która mieszkała tam od niepamiętnych czasów. W teatrze o ciotce nic nie wiedzieli, więc zaczęli fachowo wypytywać, jakie spotkanie, kiedy, kto organizuje, w końcu zgodzili się podać numer telefonu agentki. Niestety, na rozmowę z agentką Wiola nie była przygotowana. Domyślała się jedynie, że jest to osoba, która ma utrudniać, nie ułatwiać kontakty, a takiej nie można pomachać wędką z Włoszczową na haczyku. Olśnienie spadło na nią w kuchni, w czasie zażywania leków. Uznała, że jest to olśnienie zdrowe, bo poparte tabletkami, i zdecydowała się powiedzieć prawdę, że chce rozmawiać z Wyniosłą Artystką o biżuterii. Tyle na początek powinno wystarczyć.

Sabina trochę się spóźniła. Wpadła zziębnięta, z rumieńcami na twarzy. Współniczka nie widziała jeszcze Sabiny rumianej z emocji. To jednak był początek niespodzianek. Tak naprawdę zdziwiła się dopiero wówczas, kiedy na klawiaturze komputera wyłączyło pięć stów.

- Obrabowałeś którąś z tych lichwiarskich kas pożyczkowych? - spytała ostrożnie. - Nie zrozum mnie opacznie, nie miałabym ci tego za złe, chcę tylko mieć pewność, że nikt cię nie widział i nie pójdziesz siedzieć. Zainwestowałam w „zimowe szaleństwo” i nie chciałabym stracić, rozumiesz?

- Siedzieć? - roześmiała się Sabina. Rzadko się śmiała, prawie nigdy i to też nie był widok normalny. - Siedzieć mogłam iść dwanaście lat temu, ale wybrałam życie nędzarki i harówkę. Jeden facet powiedział mi kiedyś, że jego ciekawość świata nie jest aż tak dogłębna, żeby obejmowała więzienie i ja się pod tym podpisuję. To są pieniądze legalnie pożyczone od matki. Od czasu kawiarni pierwszy raz w życiu poprosiłam ją o pożyczkę. Najpierw nie musiałam, potem nie chciałam...

z różnych względów. Na uczciwy biznes z gwarancją zwrotu mogłam pożyć. Robimy naszyjniki dla gwiazd. Posuń się trochę, musimy poszukać odpowiednich kamieni.

- Jak dla gwiazd, to chyba nie będziesz wybierała najtańszych? - spytała niepewnie współpracownika.

Sabina znowu się roześmiała. Tym razem nie interesowały jej kamienie najtańsze, a wyłącznie najpiękniejsze. Czerwony naszyjnik miał być z prawdziwych koralików: z robaczywki, papryczek i kłów z dodatkiem lawy wulkanicznej i srebra. W drugim chciała połączyć różne odcienie i kształty zielonego agatu ognistego z zielonym karneolem, a ten trzeci, ten jesienny nęcił tyłoma pomysłami, że nie umiała się zdecydować na żaden. Ugrzęzła przy komputerze na dobre. Bogactwo kamieni oferowanych na Allegro było i wielkie, i podstępne. Trudność sprowadzała się do właściwego uchwycenia koloru. Koralek, który na monitorze wyglądał jak agrest, w rzeczywistości mógł przypominać oliwkę albo mirabelkę. Czasem to nie robiło różnicy, a czasem robiło wielką. Sabina ze trzy razy odchodziła od komputera i wracała, żeby jeszcze coś sprawdzić. Wciąż nie była pewna, czy wybrała najwłaściwsze kolory i kształty, wiedziała jednak, że wątpliwości rozwieje dopiero przesyłka. Dopóki nie ma się kamieni przed sobą na stole, niewiele można o nich powiedzieć.

- Jutro przyszląbym z rana - powiedziała, moszcząc się przy swoim stoliku - ale dzwoniła Magda, że o dwunastej jest pogrzeb Wielkiej Zapomnianej Artystki. Muszę pójść, to znaczy chcę pójść.

- Jeśli dobrze pamiętam, jutro od rana masz Wyniosłą Artystkę? - przypomniała współpracownika. - Jutro jest czwartek.

- Pamiętam - mruknęła Sabina niechętnie. - Rano zadzwonię i przeproszę. Z wiadomych powodów nie mam już czego tam szukać.

Współniczka przez chwilę kręciła się i posapywała.

- Wiem, że nie pytasz mnie o zdanie - powiedziała - więc tylko powiem, co myślę, i zamykam się na resztę wieczoru. Według mnie grzeczniej by było, gdybyś wyjaśniła wszystko osobiście.

- A co ja mam do wyjaśniania? - zdziwiła się Sabina. - Prawdy nie powiem, muszę wymyślić jakieś przekonujące kłamstwo. Może choć raz przyda mi się choroba Bolka. Nigdy na nim nie żerowałam, nawet w opiece społecznej, to raz spróbuję. W czwartki mogę go wozić na rehabilitację, na przykład. Brzmi rozsądnie, jak myślisz?

Wiola wróciła do komputera. Też miała mnóstwo do zrobienia. Kamienie pochodziły od kilku sprzedawców, do każdego trzeba było wysłać mail potwierdzający zakup, a potem zająć się zaksięgowaniem wpływów i rozchodów.

Czwartek rano. Tydzień drugi

Wyniosła Artystka zasnęła dopiero nad ranem i nie słyszała, kiedy mąż wychodził. Jak przez mgłę coś jej w głowie majaczyło, że zbudził ją, żeby o czymś przypomnieć. Przeciągnęła się leniwie i pomyślała, że będzie musiał przypomnieć jeszcze raz. Na szczęście był uosobieniem cierpliwości, a ją najzwyczajniej rozpieszczał. Czasem nawet mu współczuła, bo choć bardzo lubiła samą siebie, to za swoimi wadami nie przepadała. Głośno nie musiała się przyznawać, że jest kapryśna, wymagająca i narwana, ale po cichu mogła. Zresztą zalet miała więcej niż wad, co razem dawało charakter nieugięty i jednocześnie łagodny, czyli, mówiąc inaczej, skomplikowany. Wygrzebała się z pościeli i poszła pod prysznic płukać piękne ciało i złożony charakter, bo jednego od drugiego nie dało się oddzielić. Dopiero przy kawie przypomniawszy sobie, że jest czwartek, dzień domowych porządków i że zaraz powinna przyjść dziewczyna do wszystkiego. To ją z miejsca ustawiło do pionu i otrzeźwiło. Już nie musiała dzwonić do banku z tradycyjnym pytaniem: „Kochanie, taka byłam śpiąca rano, że zapomniałam, co do mnie mówiłeś poza tym, że mnie kochasz”. Mąż uwielbiał takie teksty, jednak słyszał je na tyle często, że tym razem mogła mu darować. Wczoraj obiecała, że wyciągnie ze swojej pomocy domowej jak najwięcej informacji o oszustwie, które wreszcie będzie można udowodnić, by utrzcę nosa Gadackiemu.

O ósmej trzydzieści zamiast dzwonka przy drzwiach rozległ się dzwonek telefonu. Wyniosła Artystka dostawała dziennie mnóstwo telefonów, więc odebrała normalnie, przekonana, że jak nie agentka, to przyjaciółka, jak nie przyjaciółka, to reżyser, i tak dalej. Przez chwilę słuchała zdumiona.

- Powinnaś teraz dzwonić do drzwi, a nie zawracać mi głowę telefonami - powiedziała zimno. - Bez względu na to, co masz na swoje

usprawiedliwienie, chcę z tobą porozmawiać. I nie każ mi za długo czekać, bo tego nie znoszę.

Pierwsza rozmowa telefoniczna i od razu wkurzające uczucie, że ktoś próbował wymigać się od obowiązków. Bardzo tego nie lubiła. Sama należała do ludzi, którzy najwyższą poprzeczkę ustawiali zawsze sobie, co nie znaczy, że innym pobleźali. Trochę rozpogodził ją drugi telefon, bo wreszcie mogła porozmawiać o sprawie nurtującej ją od tygodnia. Nie chodziło o fason płaszcza ani najmodniejszą fryzurę, tylko o coś bardzo ważnego: o własną twarz i politykę. Przyjaciółka знаła szczegóły, teraz ciekawiła ją ostateczna decyzja.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem, co robić - tłumaczyła Wyniosła Artystka. - Jest to partia, której program jak najbardziej mi odpowiada, ale mój pan ostrzega mnie przed mieszaniem się do polityki. Być twarzą partii, to znaczy reprezentować także tych, którzy załapali się dla kariery lub z innych nieetycznych pobudek, jak choćby ten cwaniak, co obiecuje furę złota na kampanię, a mnie zafundował naszyjnik z kolorowych kostek. Mam nadzieję, że jego uda się splawić bezboleśnie. Podobno w każdej partii zdarzają się karierowicze. Mam trochę czasu do zastanowienia, bo to byłoby aktualne dopiero przed wyborami. Nie powiem, chciałabym coś zrobić dla kraju, ale bez szkody dla siebie i najbliższych. Gra to moja specjalność, a na gierkach politycznych się nie znam.

Sabina dojechała z czterdziestominutowym opóźnieniem i ledwie mogła oddychać po szybkim maratonie. Od progu próbowała powtórzyć, że rehabilitacja męża, że dojazd do Miedzeszyna zbyt uciążliwy, wreszcie zamilkła strwożona.

- Siadaj! - rozkazała Wyniosła Artystka. - Kawa, herbata?

Przerażenie Sabiny sięgnęło zenitu. Prędzej by się spodziewała, że Wyniosła wykopie ją z mieszkania prosto na schody, a nie gościnnie zaproponuje poczęstunek, i to na siedząco. Szepnęła, że może być kawa i dostała całą szklanę.

- Wiem, co znaczy rehabilitacja, ale co z tym Miedzeszynem? - spytała Wyniosła Artystka.

- Ten nowy dom to przecież w Miedzeszynie - wybąkała Sabina.

- Tak? - zdziwiła się Artystka. - Z kaplicą, z dwoma wieżyczkami i ze stadniną koni?

- Tylko o kaplicy słyszałam.

- Ten nowy dom kupiłam na Bemowie. Kończę właśnie przebudowę. Nie przewiduję kaplicy, czterech wieżyczek ani stadniny, chociaż niewykluczone, że mogłam o tym tu i ówdzie mówić. Lubię kreacje w każdej postaci, nie tylko na scenie i zdarza się, że sama opowiadam różne niegroźne bzdety, żeby potem zobaczyć, jak się rozrastają i żyją własnym życiem. Mam takie socjologiczne ciągoty - roześmiała się, ale zaraz spoważniała. - Nie kręć. Wiem, że przychodziłabyś do mnie w czwartki, dojeżdżałabyś do Miedzeszyna, gdyby nie naszyjnik z tych fioletowych kostek. Mam rację?

Zęby Sabiny niebezpiecznie zaczęły uderzać o szklanekę, więc natychmiast ją odstawiała.

- Opowiedz mi o naszyjniku - zażądała Artystka.

- Nie ma co opowiadać. Robię trochę biżuterii, którą przyjaciółka sprzedaje na Allegro i u pani w szufladzie odkryłam jeden z takich naszyjników. Zwykły zbieg okoliczności. A jeszcze pani podarowała mi ten naszyjnik, więc jest to jakby podwójny zbieg okoliczności.

- Wiedziałaś, kto go kupił?

- To już nie moja rzecz - zaprotestowała Sabina. - Kupił ktoś, kto lubi ametysty i miał je komu podarować.

- Niejaki Ludwik Gadacki, tak? Co z tobą? Tylko mi nie zemdlej - zawołała przerażona - bo zupełnie nie znam się na reanimacji. I nie bój się tak panicznie. Ludwik Gadacki nie jest ani moim mężem, ani kochankiem. Kochanek! - prychnęła. - Też pomysły! Ile on może mieć lat? Koło siedemdziesiątki pewnie, a ja nie przepadam za starszymi panami. Powiem ci, że jestem całkowicie zadowolona ze ślubnego męża i jeżeli nawet słyszałaś o jakimś moim romansie, to mogę cię uspokoić: romansuję wyłącznie na scenie, pod warunkiem, że sztuka to przewiduje. Opowiedz mi o Gadackim.

- Wolałabym nie! Nie chcę go widzieć, nie chcę o nim słyszeć, nie chcę mieć z nim nic do czynienia! - wykrzyknęła jednym tchem Sabina.

- Pociesz się, że nie tylko tobie załazł za skórę. Po ostatnim pobiciu chodzi o kulach. Ale wciąż ma łeb na karku i teraz na siłę pcha się tam,

gdzie wyczuwa nowy interes. Potrzebne są dowody świadczące o jego nieuczciwości. Pokrzywdzonych jest wielu, tylko nikt za dużo nie chce gadać. Podobno prowadziliście razem modną kawiarnię i wyszłaś na tym interesie gorzej niż źle.

- Bywała pani u Saby?

- Wasze ceny nie były na kieszeń początkującej aktorki - roześmiała się Artystka. - Nie bywałam, ale jak widać sporo wiem. Potrzebuję twojej pomocy. Może nie tyle ja, ile mój mąż i jego przyjaciele, chociaż ja w pewnym sensie też. Opowiedz mi o Gadackim.

Sabina siedziała wyprostowana, jakby połknęła kij, który uwierał ją w przelyku i dochodził aż do żołądka. Wymigać się nie mogła, a może nawet już nie chciała. Opowiedziała więc dość składnie całą historię od pogrzebu ojca po katastrofalny koniec. Wyniosła Artystka umiała nie tylko mówić, potrafiła również słuchać. Wyłączyła telefon, żeby nie przeszkadzał i nie odezwała się ani słowem.

- Zachowałeś te umowy? - spytała, kiedy Sabina zamilkła wreszcie i pociągnęła łyk kawy.

- Tak. Wszystkie umowy sporządzał prawnik Gadackiego. Podpisywałam je bez wgłębiania się w treść, wierzyłam w dobrą wolę współnika. Z jego strony nie było dobrej woli, z mojej zabrakło czujności. Dzisiaj te umowy więcej powiedzą o mojej ignorancji niż o nieuczciwości Gadackiego. Ocknęłam się bez mieszkania, bez środków do życia, za to z długiem, którego, mówiąc prawdę, nigdy nie zaciągnęłam.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Trzydzieści cztery, to znaczy w chwili otwierania kawiarni.

- Faktycznie, dzieckiem już nie byłaś, ale mam wrażenie, że nie możesz tak bardzo się obwiniać. Uczciwy człowiek w zetknięciu z oszustem ma nikłe szanse.

- Uczciwy i mądry w ogóle by się nie zadawał z oszustem.

- Wiesz, różnie w życiu bywa - wtrąciła szybko Artystka.

Sabina spojrzała na nią uważnie. Aż takiej obrony się nie spodziewała.

- Różnie bywa - przytaknęła. - Mnie jednak ostrzegał przyjaciel ojca, moja matka, pierwsza żona Gadackiego, a ja wiedziałam swoje. Lażałam w to nieszczęście jak w bagno, więc kiedy już obudziłam się

na ławce w parku, musiałam spojrzeć prawdzie w oczy, inaczej bym zwariowała.

- Wciąż jeszcze płacisz?

- W grudniu powinnam oddać bankowi ostatnią ratę.

- No, no! - mruknęła Wyniosła Artystka. - Podziwiam cię, bo ja z bólem spłacam to, co faktycznie pożyczyłam, i nawet nie chce mi się pomyśleć, że mogłabym płacić złodziejowi za to, co mi ukradł. Nie wiem, jak sobie poradziłaś, ale naprawdę cię podziwiam. Mój mąż jest bardzo sprawnym bankowcem i niezłym prawnikiem, wyczyta z tych dokumentów więcej niż inni. Na zwrot pieniędzy z całą pewnością nie możesz liczyć, jedynie na satysfakcję, że pokrzyżujesz plany oszustowi, który nagle zaczął pchać się do polityki. Chciałabym mieć te papiery jeszcze dzisiaj.

- O dwunastej jest pogrzeb Wielkiej Zapomnianej Artystki - szepnęła Sabina.

- Faktycznie! Zupełnie zapomniałam! Wobec tego jutro. Też się wybieram na pogrzeb. Nie znałam jej osobiście, czego bardzo żałuję. Parę razy miałam ochotę zadzwonić do niej, umówić się na rozmowę, bo tacy ludzie są chodzącą historią, z której my, następcy, powinniśmy czerpać pełnymi garściami. Niestety, tak jakoś schodziło, aż przestało być możliwe. Podobno miała bardzo ciekawe życie... Dobra, wracajmy do teraźniejszości. Darujemy sobie dziś wielkie sprzątanie. Mam już po uszy tej cudzej, wynajętej chałupy, razem z jej wystrojem, jednak o porządek wypada zadbać. Pościeraj kurze, ogarnij trochę, żebyś miała pretekst do zapłacenia ci dniówki.

Sabinie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Z miejsca wzięła się do pracy uszczęśliwiona, że odzyska parę groszy, na których położyła krzyżyk. Czuła się mile polechtana, że ktoś tak znakomity, jak Wyniosła Artystka, umiał ją ocenić sprawiedliwie: nie potępiał, lecz podziwiał za wytrwałość. Artystka nie zrozumiała tylko jednego. Kiedy Sabina mówiła: „Byłam beznadziejną ignorantką i nie słuchałam mądrzejszych, więc poniosłam karę”, nie było to obwinianie siebie, lecz nazywanie rzeczy po imieniu. Tylko człowiek silny potrafi się zdobyć na sprawiedliwą ocenę, słabeusz zadowoli się lamentem i szukaniem winy wszędzie dookoła, byle nie w sobie. Sabina była silna i pewnie dlatego

Ignęli do niej słabi mężczyźni. Kiedyś, jeszcze U Saby, Wieczny Amant bardzo cierpiał przy barze, narzekał na żonę, na reżyserów i ogólny dołek. Ktoś, kto stał z boku, dla odmiany chyba nie aktor, powiedział: „Stary, nie przestaniesz cierpieć, dopóki nie powiesz sobie, że wpadłeś w alkoholizm i musisz się z niego wydobyć”. Amant oczywiście nie był alkoholikiem i gdyby pewniej trzymał się na nogach, to może i pięści puściłby w ruch, tak bardzo zabolowały go zuchwałe słowa. Minęło kilkanaście lat i zapił się na amen, a Sabina powoli wychodziła na prostą. A to znaczyło, że mówiąc teraz: „Byłam głupia”, wcale już głupia nie była.

Czwartkowe popołudnie. Tydzień drugi

Wielką Zapomnianą Artystkę odprowadzały tłumy ludzi. Sabina szła w kondukcje i, zamiast szczerze modlić się za duszę zmarłej, wciąż myślała o porannej rozmowie. Wieczne odpoczywanie łączyła z żarliwą prośbą o nagłe oświecenie. „Pani była taka mądra, taka sławna, przeżyła pani osiemdziesiąt lat, niech mi pani podsunie jakąś myśl, żebyś wiedziała, co robić” - szeptała. Kiedyś takimi prośbami zakłócała spokój ojcu, potem wszystkie znaki tłumaczyła sobie po swojemu i wyszła na tym, jak wyszła, a mimo to nie umiała wyzwolić się z dziecięcej wiary, że zmarli fruwać nad bliskimi, wsłuchują się w ich życzenia, by je spełnić co do jednego. Otrząsnęła się, szepnęła kilka słów modlitwy i wtedy dostrzegła trzy kroki przed sobą Gadackiego. Głowa pod kapeluszem, szerokie barczyste ramiona... Wzdrygnęła się z przerażenia i chyba stanęła, bo ludzie z tyłu zaczęli na nią wpadać. Mężczyzna odwrócił się profilem i z ulgą stwierdziła, że kapelusz i plecy należą do kogoś zupełnie obcego. Zresztą Gadacki chodził podobno o kulach, a i postarzyć się zdążył, więc popłoch był na wyrost. Ruszyła dalej pewnym krokiem. Wciąż jeszcze wolałaby stanąć na wprost rozwartej paszczy rekina niż przed dawnym współnikiem, nawet postarzałym i przetrąconym. Znowu rozejrzała się trwożnie na boki. Mógł gdzieś tu być. Nadal obracał się w aktorskim świecie, choć mało prawdopodobne, by towarzyszył Wielkiej Zapomnianej Artystce w jej ostatniej drodze. On uwijał się głównie wokół tych, którzy byli mu przydatni.

Chociaż kto wie, jeżeli liczył na uczestników ceremonii, to możliwości do pokazania się miałyby spore. Pogrzeb był uroczysty, wyprawiony z wielką pompą i zgromadził wiele znakomitości. Tak jak powiedziała Średnia Aktorka: trzeba umrzeć, żeby przypomnieć się ludziom.

Prosto z cmentarza Sabina pojechała do domu nakarmić Bolka. Zastała go na tapczanie i od razu się zjeżyła, że wrócił do starych sztuczek z rakiem. On jednak tylko odpoczywał. Podniósł się, ledwie weszła, i znowu zaczął wypytywać o Januszka.

- Kiedy miałam dzwonić? - fuknęła. - Byłam w pracy, potem na pogrzebie, zaraz idę do następnej pracy. Uspokój się - powiedziała nieco łagodniej. - Jeżeli nie zechcesz pojechać, to nie pojedziesz. Dawaliśmy sobie radę do tej pory, to i teraz damy. Ja tylko myślałam, że tam łatwiej byłoby cię wyleczyć.

- Zdrowy jestem, nic mi nie dolega - zaprotestował.

- Nie jesteś zdrowy. Masz napady apatii, a noga chrobocze przy każdym poruszeniu. Endoproteza się oblużowała i hałasuje w kości.

- Na żadną operację się nie zgodzę.

- Zrobisz, jak będziesz uważał, teraz jedz - powiedziała, stawiając przed nim talerz z fasolką po bretońsku.

Bolek wyraźnie stracił apetyt. Wcześniej, jeżeli chciał dokuczyć Sabinie, natychmiast zaczynał się odgrażać, że wyjedzie do syna i poprawi sobie los. Mógł tak gadać w kółko i do oporu, bo wiedział, że Januszek matkę przekreślił. Ona musiała tkwić w klatce, pracować od rana do wieczora, żeby zarobić na długi. Bolek, dopóki sam w długi nie popadł, czuł się od żony lepszy. Teraz nie czuł się ani lepszy, ani gorszy, bo strach zwał go z nóg. Panicznie bał się wszystkiego, co nowe. Języka nie znał, synowej mógł się nie spodobać, syn też nie był ten, co dawniej, bo na pewno zmienił się na obcym chlebie. Nic go nie ciągnęło do Irlandii. Nic.

Sabina umyła patelnię i swój talerz, a Bolek wciąż grzebał widelcem w fasolce.

- Piątek to już jutro? - spytał.

- Jutro - przytaknęła.

- Jakbyś mi dała parę groszy, pojechałbym po chłopca na lotnisko. Wypadałoby pojechać, co?

- Faktycznie, na lotnisku jeszcze cię nie widzieli! - prychnęła. - A wiesz chociaż, o której przylatuje czy zamierzasz tam koczować?

- Byłoby mu milej - mruknął Bolek.

- Adres zna, sam do domu trafi - ucięła zdecydowanie.

- A czym my syna ugościmy? Lodówka pusta.

- Pusta. Na przyjęcie powitalne mogę wydać dwadzieścia złotych. Dla nas byłoby jedzenia na dwa dni, ale wiadomo, syn po dziesięciu latach przyjeżdża, trzeba się szarpnąć. Nie licz na to, że znowu się za pożyczkę. Jak mu się nie spodoba, zawsze może pójść do restauracji.

Wyszła z domu rozżalona. Nie była chyba jedynym bankrutem w Warszawie ani jedyną idiotką, która podpisywała umowy, zanim je doczytała do końca, i mocno się zastanawiała, czy ci inni też musieli płacić równie wysoką cenę co ona. Nie tylko w pieniądzech. Przy uporze Januszka bladły nawet kłopoty finansowe. On był jak wrzód na czubku nosa: ani go zasłonić, ani o nim zapomnieć. Od kilku już lat oswajała się z myślą, że straciła syna. Ten obcy, zacięty facet, który cedził słowa przez telefon, nie miał nic wspólnego z dzieciakiem przez nią urodzonym, wykarmionym i wychowywanym. Przeprosiła go raz, żegnając na lotnisku. Nawet nie wysłuchał do końca, odwrócił się plecami. Czy miała codziennie dzwonić, płaszczyć się i błagać o wybaczenie. Na to była za dumna. W rodzinie tak już jest, że za błędy jednego płacą wszyscy. Ze stu tysięcy kredytu bankowego oddała mu dwadzieścia, żeby jakoś się w Szwajcarii urządził, załatwiła mieszkanie u wuja i nic więcej nie mogła zrobić. Zostawała sama z całym tym piwem, którego nawarzyła. Wypiła je prawie do końca, nie prosząc syna o wsparcie. Sam jakoś na to nie wpadł, żeby choć ojcu przysłać parę groszy. Teraz, kiedy wreszcie przyjeżdżał, stanęła przed alternatywą: albo ostatnia bankowa rata, albo szynka. Oni z Bolkiem nie jedli szynki od lat i jeszcze przez jakiś czas mieli nie jeść, to i syn nie musiał.

Nie chciała rozdrapywać starych ran, szła do współniczki z nadzieją, że przy naszyjnikach odpocznie i uwolni się od koszmarów. Dawno już minęły czasy, kiedy burzyła się na samą myśl, że mogłaby spędzić życie w ciasnym zakładzie ojca. Teraz zasiadała w jeszcze

ciaśniejszym pokoju i żalowała, że nie ma pod ręką tych wszystkich tygli i wag, a w sobie dość umiejętności do robienia filigranów i obsadzania kamieni w srebrze. Musiała zadowalać się szczątkową wiedzą, nieco tylko wzbogaconą przez Internet, i odkrywać samodzielnie to, co inni dawno odkryli. Praca, niegdyś tak pogardzana, zaczęła dostarczać jej mnóstwo przyjemności. Bolał kark, cierpły ręce, ale każdy naszynnik, każde kolczyki to była czysta radość.

Wspólniczka czatowała na Sabinę w przedpokoju. Była przejęta i niezupełnie taka, jak zwykle. Coś zaczynała, nie kończyła, siadała, by za moment się zerwać.

- Kupiłam piwko - obwieściła. - Lubisz piwko?

- Zapomniałam już, jak smakuje. - wzruszyła ramionami Sabina. - Jest jakaś szczególna okazja, że stawiasz piwo?

- Nie, tak sobie pomyślałam, że czasem... - zaczęła i natychmiast zmieniła temat. - Jak było? Opowiadaj!

- Minorowo jak na pogrzebie. Przyszli wszyscy ci, którzy nie mieli czasu jej odwiedzić, kiedy jeszcze żyła. Mnóstwo ludzi.

- Wyniosła Artystka też była?

- Nie wiem, nie widziałam - odpowiedziała Sabina.

- A co z twoją pracą?

Sabina odsunęła wzornik z rozpoczętym naszynnikiem, żeby przypadkiem nie zniszczyć kompozycji i popatrzyła uważnie na współpracowniczkę. Bez złości, tak zwyczajnie. Tamta udawała, że pilnie czegoś szuka na ekranie komputera.

- Co ci strzeliło do głowy? - spytała. - Powiedziałaś jej o naszynniku, twoja sprawa, ale dlaczego mówiłaś o mnie?

- Powiedziała, że to ja?

- Nie musiała, sama się domyśliłam.

- Wcale nie chciałam zdradzać twoich sekretów! - wykrzyknęła. - Tak wyszło, ale nie ze złej woli, przysięgam. Wiedziałam z Internetu, kto jest jej mężem, zastrzegłam, że nie wiem, kim jest dla niej Gadacki, i dopiero wtedy opowiedziałam, jak się zachował z tymi naszynnikami. Wydawała się bardzo zainteresowana.

Wiola, współpracowniczka Sabiny, nie umiała fantazjować. Nawet jeżeli mówiła: „Ty wiesz, jak on się na mnie gapił? Mało soczewek nie pogubił”,

to nie zmyślała, mogła się jedynie mylić w ocenie owego zachwytu. Teraz też opowiedziała rzetelnie, jak było lub - jak jej się wydawało, że było. Mówiąc o wielkim zainteresowaniu Wyniosłej Artystki, raczej nie przesadzała. Artystka musiała być zainteresowana, jeżeli nie splawiła swojej fanki po kilku pierwszych słowach. Mało tego, umiejętnie podtrzymywała rozmowę, jakby spodziewała się dalszego ciągu rewelacji: „Prawie nie znam tego człowieka, to raczej satelita męża, chociaż przyznaję, słyszałam o nim parę niepochlebnych uwag. Sama pani wie, że nie wszystko, co ludzie plotą, jest prawdą. Może gdybym wiedziała więcej, udałoby się zapobiec pewnym... powiedzmy komplikacjom. Historyjka z naszyjnikami, choć nieprzyjemna, jest zbyt niepoważna, żeby oceniać według niej człowieka. Natomiast nie znam nikogo, kto byłby oszukany przez pana Gadackiego. A pani zna?” Takie pytanie wymagało rozwinięcia i współniczka opowiedziała co nieco o kawiarni U Saby. Początkowo naprawdę tylko ciut, ciut, lecz pociągnięta za język dopowiedziała resztę. Nie chciała narobić przykrości Sabinie, myślała jedynie o tym, żeby usadzić Gadackiego. Jeżeli Wyniosła Artystka mogła w tym pomóc, gra warta była kontynuowania. - Jak zdobyłaś jej telefon? - spytała Sabina.

- A widzisz! Ona też chciała to wiedzieć. Dotarłam do niej przez teatr i agentkę. Nagłówkowałam się, ale z pożytkiem. Pomożesz jej, dasz te papiery?

Sabina w zamyśleniu mierzwiła włosy.

- Dzisiaj na pogrzebie zobaczyłam faceta, który przypominał Gadackiego, i o mały włos nie odeszłam na zawał - powiedziała. - Chyba nie jestem gotowa, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. Zresztą to, że on był zawsze superkrętaćcem, mnie nie rozgrzesza. Ułatwiłam mu życie jak diabli. Za każdym razem podpisywaliśmy pierwszą wersję umowy. Nawet jeśli próbowałam coś tam negocjować, wyśmiewał mnie i machałam ręką. W parszywy wódczany interes też nie musiałam wchodzić. Chciałam komuś pomóc, a on tego kogoś dwa razy wystawił: najpierw na mnie, potem do wiatru.

- Tego nie mówiłaś?

- I nie powiem - mruknęła Sabina. - Są takie tajemnice, które ma się wyłącznie na swój użytek.

- Ja bym draniowi nie darowała, pomogłabym go usadzić. Nie powtarzaj swojego błędu sprzed lat. Wtedy nie wiedziałaś, co jest grane, teraz już wiesz.

- Wiem, w co chce zagrać Wyniosła Artystka, ale pojęcia nie mam, jaka będzie odpowiedź Gadackiego. Na pewno bardzo nieprzyjemna dla mnie, bo Artystka sobie poradzi. Ma za sobą męża bankowca i różnych polityków, a za mną leży na łóżku zdziecinniały Bolek i trzęsie się ze strachu, żeby syn nie wywiózł go do Irlandii. Nie wiem, co zrobię, mam czas do jutra, pomyślę, rozważę... A co z piwem?

Wiola puknęła się ręką w czoło i pobiegła do kuchni. Składkowa herbata stała w blaszanym pudełku i była podawana w miarę potrzeb, natomiast firma sabi_wiol nie przewidywała spożywania alkoholu w godzinach pracy. Ani po godzinach. Po raz pierwszy od pięciu lat pojawiły się na stolikach szklanki w większości wypełnione pianą.

- Jest coś, o czym chciałam z tobą pogadać - zaczęła uroczyście współpracowniczka. - Tylko przestań się jeżyć jak szczotka ryżowa i posłuchaj do końca, bo stracę wątek.

Sabina spojrzała z przestrachem. Dobre nowiny zwykle ją omijały, więc po takiej zapowiedzi spodziewała się wszystkiego najgorszego: rozwiązania firmy, albo czegoś w tym rodzaju.

- Coś się stało? - spytała tylko.

- Ojejku, nic się nie stało! Zaczynamy się rozwijać. Zdobyłam dla nas dwa nowe butiki i jedną małą galerię, gdyby jeszcze wypaliły naszymi gwiazdami, nie byłyby złe. I w związku z tym mam pomysł, to znaczy chyba propozycję... Mówiłaś, że jak w grudniu zapłacisz ostatnią bankową ratę, to zostaną ci do spłacenia te drobne kasy z wielkimi procentami. Dokładnie jaka to jest kwota, gdybyś ją chciała spłacić jednorazowo?

- W tej chwili piętnaście tysięcy dwieście, właśnie wczoraj się podliczałam. Ale kwota urośnie gdzieś do dwudziestu, bo to zwykle tak jest. Płacisz za każdy dzień zwłoki, za każde upomnienie, i to nie są drobne opłaty. Za wezwanie na piśmie sześćdziesiąt złotych, sama rozumiesz...

- Pożyczę ci te pieniądze. Ustalimy jakąś miesięczną ratę i zamiast oddawać lichwiarzom, będziesz płaciła mnie już bez procentów.

- Przecież będziesz na tym stratna! - wykrzyknęła Sabina.

- Nie rozśmieszaj mnie! Od razu widać, że dawno nie miałaś oszczędności na koncie. To jest tak: jeśli ty jesteś bankowi winna, to procenty są wielkie, ale jeśli bank obraca twoimi pieniędzmi, to odsetki płaci ci mikroskopijne. Mam trochę oszczędności na czarną godzinę, nie zamierzam ich chwilowo ruszać, więc te piętnaście dwieście mogę ci pożyczyć. Po co masz dorabiać lichwiarzy.

Z Sabiną zaczęło się dziać coś bardzo dziwnego. Pokręciła głową na tak, pokręciła na nie, próbowała wstać, aż wreszcie wybuchnęła płaczem. Tak bardzo przywykła do samotnego zmagania się z kłopotami, że inna reakcja nie wchodziła w rachubę. Wspólniczka patrzyła na nią przerażona.

- A jeżeli umrę, jeżeli coś mi się stanie - łkała Sabina - i nie splacę pożyczki?

- E, nie trafił cię szlag przy stu tysiącach, to z piętnastoma dasz sobie radę.

- Ale tak zupełnie bez procentów to chyba nie można! - Sabina rzadko płakała, ale jak już zaczęła, nie umiała przestać. - Zrozum, nigdy nikogo nie prosiłam o pożyczkę, a ty mi sama... Nie chcę, żebyś źle na tym wyszła...

- Co tam, postawisz piwo i będziemy kwita. Smakuje ci to świństwo? Gorzkie jakieś.

- Piwo zawsze jest gorzkie - Sabina uśmiechnęła się przez łzy. - To może zamiast procentów będę sprzątała ci mieszkanie?

- Zgłupiałaś? Ja też muszę się ruszać, bo mi brzuch rośnie. Jedno, na co się mogę zgodzić, to na umycie od czasu do czasu okien, bo mam lęk wysokości. Okna tak, nic więcej.

Przez resztę wieczoru Sabina pracowała jak w amoku. Wielka radość ani jej nie rozmiękczyła, ani nie rozmazała na dobre, chociaż od dwunastu lat była to pierwsza naprawdę szczęśliwa chwila. Do tej pory wyłącznie zmagala się z kłopotami, ściboliła złotówkę do złotówki i nie widziała końca udręki. Teraz w długim czarnym tunelu pojawiło się wreszcie bardzo wyraźne światło. Zaczęła liczyć. W poniedziałek splaci lichwiarskie kasy, w grudniu pożegna się z bankiem, a od stycznia zacznie splacać Wioli po pięćset złotych miesięcznie. Za dwa i pół roku powinna wyjść na prostą, bez grosza długu. Jeżeli z pracą nic się nie

pokręci, jeżeli na dobre ruszy sprzedaż biżuterii, wyraźnie odetchnie już w styczniu. Jeszcze nie zacznie żyć na luzie, jeszcze będzie musiała oszczędzać prawie na wszystkim, jednak życie oszczędne a wegetacja to nie to samo.

Noc z czwartku na piątek. Tydzień drugi

Od paru już lat Sabina wiedziała, do czego służy posłanie i jak je wykorzystać. Wystarczyło, że ułożyła się na materacu, przyłożyła jasek do ucha i odlatywała. Zdrowy sen, bez majaków i koszmarów był największym jej dobrodziejstwem. Ciężko pracowała, kiepsko jadła, wciąż miała kłopoty, a jednak nie opadała z sił i działała niczym sprawnie naoliwiony mechanizm. Żeby dojść do takiego zasypiania, musiała się nieźle nabiedzić, a przede wszystkim wyrzucić z myśli warunkowe i życzeniowe słówko „gdyby”. Po aferze z kawiarnią ledwie się położyła, zaczynała swoją nocną wyliczankę: gdyby nie Gadacki, gdyby nie Wieczny Amant, gdybym przeczytała, gdybym posłuchała, gdyby to można odkręcić... Mijała pierwsza, druga, czasem czwarta nad ranem, a ona wciąż gdybała, coraz bardziej rozżalona, zmęczona i przybita. Słowo „gdyby” nie posuwało spraw naprzód, było lamentem nad rozlanym mlekiem i niczym więcej. Zrozumiała to któregoś dnia w tramwaju, kiedy o mały figiel nie zemdląca z wycieńczenia, a dwie pańce zaczęły psioczyć na pijane kobiety. Wieczorem, zamiast gdybać, porozmawiała sama ze sobą jak z kim mądrym. Wtedy to właśnie, po raz pierwszy, powiedziała sobie: „Płacę za głupotę. Za piętnaście, dwadzieścia lat może wydzwignę się z tego bagna. Trzeba wszystko zrobić, żeby tę chwilę przyspieszyć”. Zmieniła wyliczankę, zaczęła mówić: muszę przesunąć termin płatności, muszę spytać w opiece o dofinansowanie do mieszkania, muszę załatwić dodatkową pracę... Konkretne działania zawsze trochę uspokajają. A potem wpadła w swój codzienny kierat, kładła się ledwie żywa i z miejsca zasypiała. Z czasem zapomniała, co to bezsenność, aż do nocy z czwartku na piątek.

Leżała na materacu z szeroko otwartymi oczami. Najchętniej uchyliłaby okno, jednak Bolek wiercił się i postękiwał, co znaczyło, że również nie śpi. Był uczulony na świeże powietrze, więc wołała nie

prowokować częściej dyskusji, na którą nie miała siły ani ochoty. Ochłoneła już trochę po rozmowie ze współniczką i teraz jej myśli krążyły wyłącznie wokół Gadackiego i Wyniosłej Artystki. Im dłużej się zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że nie powinna mieszać się w nie swoje sprawy. Nie obchodziło jej, co się teraz dzieje z Gadackim, jak wysoko się wspina i kto spuścił mu lanie, że aż musi wspierać się na kulach. Z drugiej jednak strony, nie chciała zawieść zaufania Wyniosłej Artystki, a pośrednio też Wioli. Obie jej tłumaczyły, że powinna się odegrać i dać nauczkę oszustowi.

Z sufitu nagle zeskoczyła Wielka Zapomniana Artystka. W rękę miała jakąś kartkę, która okazała się programem teatralnym. Patrzyła w tę kartkę i mówiła, że dzisiaj gra Średnia Aktorka, jej następczyni na scenie. „Idziemy!” - zdecydowała i Sabina nie miała innego wyjścia, musiała się podnieść z materaca. Jej stara piżama dawno straciła swój błękitny kolor i wdzięk, ale Zapomnianej Artystce bardzo się śpieszyło i nie chciała słyszeć o żadnym przebieraniu. Wyszły na ulicę. Sabina próbowała sobie wmówić, że piżama wygląda jak dzinsowy komplet i nikt nie widzi cery na tyłku ani rozerwanego rękawa. Dopiero w teatrze ktoś parsknął śmiechem, więc schowała się za tęgą sylwetką Zapomnianej Artystki. Szepnęła, że się wstydzi, bo ludzie wytykają ją palcem. Artystka pochyliła się, aż piękne rajery dopięte do koka połaskotały Sabinę po twarzy. „Przy mnie jesteś niewidoczna, a nimi się nie przejmuj! - powiedziała. - Ledwie usiądą na widowni, zaczną zajadać kanapki. Nie masz pojęcia, jak zapach kanapek niesie się po teatrze. Czasem na scenie mówisz o fiołkach, a wąchasz czosnek”. Sabina z ulgą opadła na swoje miejsce w trzecim rzędzie. Obok siedział młody mężczyzna o sympatycznej twarzy. Dopiero kiedy się uśmiechnął, poznała, że to Ludwik Gadacki. Mógł sobie siedzieć, ona była niewidoczna także dla niego. Ludzie zajmowali miejsca, tłoczyli się, rozmawiali i chyba nikt poza Sabiną nie zauważył, że kurtyna idzie w górę. Na scenie stały dwa krzesła. Zapomniana Artystka szepnęła, że zaraz wejdzie jej następczyni, czyli Średnia Aktorka. Musiała się pomylić, bo weszła Wyniosła Artystka. Chwilę pokręciła się, przysunęła krzesła do siebie, potem je odsunęła i wyraźnie zaczęła kiwać na Sabinę palcem. „Chodź, chodź! - powiedziała. - Wiesz, że nie lubię czekać. Chodź, opowiesz

nam o swojej kawiarni”. Z boku Gadacki zachichotał złośliwie, i choć Sabina wciąż była niewidoczna, szturchnął ją palcem w bok. „Idź, powiedz, co wiesz, a ja dopowiem resztę”. Wystraszyła się, wrzasnęła i usiadła na materacu.

- Co z tobą? - zaskrzeczał z łóżka Bolek.
- Nie wiem, jakiś koszmar - zamruczała.
- Ja też nie mogę spać, bo wciąż myślę o Januszku. Ty też?
- Mhm! - mruknęła dla świętego spokoju.
- Ciekawe, gdzie on teraz jest? Może już leci? Jak myślisz, może lecieć?

- Jeszcze za wcześnie, śpij!

Przewróciła się na drugi bok. Rzadko kiedy miała sny, ale ten wydał jej się proroczy, całkiem jakby ktoś mówił do niej: „Uważaj. Oni wszyscy, Wyniosła Artystka, jej mąż, ich przyjaciele załatwiają swoje sprawy i o ciebie się nie zatroszczą. Jeśli pokrzyżujesz plany Gadackiemu, on natychmiast pokrzyżuje twoje. Zestarzał się, zdziaśniał, ale metod chyba nie zmienił”. Sabina uśmiechnęła się do ciemności. Wiedziała przecież, że nigdzie w kącie nie stoi Wielka Zapomniana Artystka, ale sam fakt, że się pojawiła w jej śnie, był bardzo krzepiący, potwierdzał tylko to, co sama czuła. Usnęła uspokojona.

Piątkowy ranek. Tydzień drugi

Z samego rana zadzwoniła teściowa Znanego Aktora i odwołała sprzątanie. Tym razem dla Sabiny nie był to cios, a raczej szczęśliwy zbieg okoliczności. Pani Magdzie bardzo się śpieszyło z przeprowadzką, więc odwołała sprzątanie u siebie na Mokotowie i kazała Sabinie przygotować do remontu mieszkanie po ciotce na Nowolipkach. To nie była praca na dwie skromne godziny, tylko na całe przedpołudnie. Musiała opróżnić szafy, podzielić rzeczy, pozdejmować ze ścian zdjęcia, a także pamiątki, które w większości miały trafić do teatralnej rekwizytorni. Meble otulić folią, zdjąć firanki.

- Klucze pani ma? - upewniała się pani Magda. - Kartony i folię zawieźliśmy wczoraj. Przed jedenastą wpadną z rekwizytorni, niech pani wyda im wszystko, co zechcą, ale za pokwitowaniem.

Pani Magda była kobietą konkretną i obrotną. Bardzo przeżyła śmierć ciotki, jednak kartony i folię musiała dostarczyć zaraz po pogrzebie, a z rekwizytornią i ekipą remontową umówiła się chyba jeszcze wcześniej.

Sabina zaczęła porządki od opróżniania szaf. Bieliznę, garsonki, pończochy od razu pakowała do kartonów. Stare długie suknie o niemodnym kroju układała na tapczanie. Podobnie jak jedwabne i kaszmirowe szale, długie rękawiczki, wachlarze. Stos rósł. Na wierzchu położyła srebrnego lisa ze szklanymi oczami w wyliniałej mordce. Rzeczy nieużywanych było dużo więcej niż tych noszonych do końca. Dla Wielkiej Zapomnianej Artystki czas zatrzymał się tuż po zejściu ze sceny. Potem żyła jedynie wspomnieniami. Sabina знаła historię kilku sukien, niestety, nie zadała sobie trudu, żeby zapamiętać, kiedy i z jakiej okazji były szyte. Posmutniała. Przez rok miała szczęście obcować z kimś naprawdę wielkim i nie skorzystała z tej szansy. Niecierpliwiły ją herbatki i pogawędki, a może gdyby bardziej się postarała, spłynęłaby i na nią odrobina mądrości.

Od niewesołych rozważań oderwał ją dźwięk komórki. Nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, kto się za nią stęsknił. Miała zadzwonić do Wyniosłej Artystki tuż po przyjeździe na Nowolipki i odkładała ten moment z kwadrans na kwadrans. Mówiła sobie, że tylko spakuje to, potem tamto. Nie spodziewała się miłej rozmowy. Ubiegła niecierpliwe pytania.

- Niestety, mąż uznał, że te umowy nie są nam potrzebne i wyrzucił je na śmietnik - powiedziała. - Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc.

- Mnie? Raczej sobie, bo to byłaby twoja wielka chwila. Kto to wyrzuca ważne dokumenty na śmietnik?! - wykrzyknęła Wyniosła Artystka.

- Nie były ważne - sprostowała Sabina. - Spłaciłam Gadackiego jednorazowo.

- Masz chyba jakieś pokwitowania, że go spłaciłaś?

- Pokwitowania są rzetelne, mój prawnik tego dopilnował. Ale z pokwitowań nic nie wynika poza tym, że pożyczylam i oddałam.

- Trudno, będziesz musiała dać nam na piśmie swoje zeznania. Na-
głośnimy sprawę w mediach, zrobimy szum i nim Gadacki się opamię-
ta, będzie ugotowany. Wpadnij około piętnastej, porozmawiamy.

Sabinie zrobiło się gorąco na samą myśl o mediach i o Gadackim. Ton Wyniosłej Artystki nie dopuszczał sprzeciwu, jakby wszystko zo-
stało z góry postanowione w dobrze pojętym interesie Sabinie, niczym
więcej. Stała przy tapczanie, bezradnie miętosiła lisi ogon, a strach nie
dał jej dojść do słowa. Czuła, że jeszcze moment, a zostanie wplątana w
nową, bezsensowną aferę. Pokorna owieczka, którą hodowała w sobie
od lat, podpowiadała, żeby zagrać na zwłokę, wymigać się przyjazdem
syna, co w gruncie rzeczy niczego nie załatwiało, najwyżej odsuwało w
czasie o dobę lub dwie. Szarpnęła lisi ogon, spojrzała, czy przypadkiem
nie odpadł od tułowia i w tym momencie stało się coś bardzo dziwne-
go, jakby z ogona spłynęła na nią lisia przebiegłość. Nawet jej głos
stracił pokorne brzmienie.

- Obiecałam pani pokazać papiery, nie obiecywałam występów w
televizji ani opowieści o starej krzywdzie. Papierów nie mam, reszta
mnie nie interesuje.

- Wiesz, na czym polega geniusz Gadackiego? - Wyniosła Artystka
była wyraźnie zirytowana. - On umie wybrać ofiary. Celuje w ludzi,
którzy ani na policję nie pójdą, ani do prokuratora, tylko prosto do
banku pędzą. Nie dość, że daliście się oszukać, to jeszcze ze strachu
milczycie. A on pcha się coraz natarczywiej nie tam, gdzie jego miejsce.
Pcha się, krzyczy, że jest czysty, a pomówieniami gardzi. Może rzeczy-
wiście na starość wyszlachetniał, co nie zmienia faktu...

- Nie wyszlachetniał - zaprzeczyła lisica siedząca w Sabinie. - Wciąż
handluje, i to nie pietruszką, więc z samej prowizji może nieźle żyć.
Złota kolia starej roboty z brylantami w platynie za osiemnaście tysię-
cy, złota omega, działka w Żelazowej...

- Skąd to wiesz? - Ze słuchawki powiało lodowatym chłodem.

- Jak zaczął nas nękać telefonami, popatrzyliśmy, czym handluje
na Allegro.

- Allegro, Allegro! - zawołała niecierpliwie. - Jak można to spraw-
dzić?

- Biżuteria i zegarki, potem wyroby jubilerskie, wcisnąć obojętnie jaki wyrób i do wyszukiwarki wprowadzić nick LuGad: wielkie el, małe u...

- Powtórz jeszcze raz.

Sabina z przyjemnością powtórzyła jeszcze dwa razy, nie zominając przy okazji o pisowni. Czuliła się tak, jakby wygrała nie małą potyczkę, a całą wojnę. Wtuliła twarz w lisi ogon. Nie pachniał zbyt pięknie, poczuła naftalinę i coś jakby zjełczały tłuszcz. Wcałe jej to nie przeszkadzało. Leciutka panika w głosie Wyniosłej Artystki warta była lisiej chytryści. Z wdzięcznością pomyślała o Serialowej Gwiazdce i jej wiedzy na temat urządzania kaplic. A zaraz potem pomyślała sobie, że Wyniosła Artystka, opowiadając bzdety na swój temat, wtyka gdzieś niezgodnie z prawdą.

Piątkowe popołudnie. Tydzień drugi

W drodze do domu Sabina jak zwykle wstąpiła do sklepu. Kupiła duże opakowanie flaków, do tego bułki, a na kolację trzy laski kiełbasy, takiej do odgrzania z cebulką. Odeszła od lady, zawróciła i poprosiła jeszcze o dziesięć deko szynki. W końcu przyjeżdżał syn, musiała to jakoś uczcić. Im bliżej była domu, tym szła wolniej. Drzwi mieszkania otwierała z duszą na ramieniu. Nie wiedziała, jak się zachować, co powiedzieć, bo nie umiała przewidzieć, jak zachowa się i co powie Janusz. Na wieszaku w przedpokoju nie było kurtki Bolka. Sam Bolek z całą pewnością nie opuścił Warszawy. Jego dokumenty, obwiązane aptekarską gumką, wciąż tkwiły w torebce Sabiny, a bez dokumentów mógł sobie najwyżej zafundować wycieczkę do Miedzeszyna. Rozejrzała się po pokoju. Nie zauważyła żadnej walizki ani torby, niczego, co wskazywałoby na obecność Janusza. Najwidoczniej wolał zatrzymać się w hotelu niż zwać na trzeciego do ciasnej klatki. To jeszcze dało się wytłumaczyć, nie mogła tylko darować mężowi i synowi, że nie zadzwonili, nie napisali słowa i wyszli w miasto, jakby ona się w ogóle nie liczyła.

Schowała zakupy do lodówki. Czajnik wciąż był ciepły, więc prawdopodobnie panowie pili herbatę. Umyte i pochowane szklanki musiały być zasługą Janusza. Sabina popiła wodą suchą bułkę i zaczęła zbierać się do wyjścia. Przez moment pomyślała o telefonie, ale nawet go

nie wyjęła. Syn też miał telefon. Zostawiła tylko na stole kartkę, żeby dali jej znać, jak wróca. Coś ją wypychało z pustego mieszkania. Dziwne, bo dotąd zawsze myślała, że to obecność Bolka ją wypycha. Teraz Bolka nie było, a ona dalej nie miała co ze sobą zrobić w chwilowo pustej klatce. Z wielką ulgą pomyślała o Wioli.

Był taki czas, krótko po otwarciu firmy, że Sabina nie mogła się przyzwyczaić do współpracownicy. Nie miała zastrzeżeń do jej uczciwości czy dobrych chęci, natomiast drażniła ją hałaśliwa bezpośredniość, problemy na miarę starzejącej się panny i wieczna paplanina. Wiola uwielbiała gadać o niczym, a Sabina dość nagadała się w kawiarni U Saby i teraz wołała milczeć. Powoli bo powoli, zaczęła doceniać takt współpracownicy, jej życzliwość, lecz wciąż nie wierzyła, że kiedykolwiek zdołają się zaprzyjaźnić. A jednak nadeszła taka chwila i współpracownica wiedziała więcej o Sabinie niż matka i mąż.

- Ty tu? - zdziwiła się szczerze. - I jeszcze punktualnie? Myślałam, że dzisiaj będziesz dopieszczać synka.

- Na razie synek dopieszcza ojca zakupami, tak przynajmniej myślę. Wyfrunęli z klatki obydwaj, a mnie jest byle jak, więc przyszedłam pozatruwać ci życie i podgonić robotę.

Sabina nie traciła czasu, przysunęła sobie wzornik, żeby dać zajęcie rękom, nie tylko językowi.

- Świetnie! Zaraz ci poprawię humor - zapowiedziała współpracownica.
- Właśnie dostałyśmy komentarz za kolię z oliwinów. Usiądź wygodnie, żebyś mi nie zemdląła z wrażenia i słuchaj: „Transakcja idealna. Towar pięknie zapakowany, z miłą karteczką i gratisem. Kolia to małe arcydzieło sztuki jubilerskiej. Dołączam sprzedawcę do moich ulubionych”. I co ty na to?

- Do dzisiaj mam oczopląs na samo wspomnienie oliwinów - uśmiechnęła się Sabina. - To był diablo pracochłonny naszyjnik, ale rzeczywiście, muszę nieskromnie przyznać, zasłużył na miano arcydziełka. Nie wiem tylko, co z tym gratisem?

- Surowy cytryn - wykrzyknęła współpracownica.

- Co „surowy cytryn”?

- Grudka surowego cytrynu noszona nawet w kieszeni wspomaga leczenie cukrzycy, chorób nerek i wątroby, wyprowadza z depresji, poprawia pamięć. Ludzie wierzą w te rzeczy, nie myśl sobie.

Wiola zachichotała bardzo zadowolona z zaskoczenia Sabiny, ale jeszcze bardziej z siebie. Jej zdaniem, w handlu, oprócz kupieckiej rzetelności, liczyła się pomysłowość, a więc umiejętność przyciągnięcia i dopieszczenia klienta. Gratisy były właśnie formą dopieszczenia. Do droższych naszyjników, takich powyżej dwustu złotych, dołączała grudkę cytrynu. Były to pozostałości po sporej wpadce Sabiny. Znalazła kiedyś na Allegro surowe, nieoszlifowane kamienie i bardzo się na nie napaliła. Wymarzyła sobie niebanalny naszyjnik dla niebanalnej kobiety, dobrała odpowiednie srebro i ledwie rozpakowała paczkę, zobaczyła jak piękny naszyjnik dostaje skrzydeł i odlatuje w dal. Do wykorzystania pozostało jedynie srebro. Kamienie, które pięknie wyglądały na zdjęciu, nadawały się do podcięcia gardła, do niczego więcej. Można było przymknąć oko na brzydkie wyraźne inkluzje i prawie trzymilimetrowe dziurki, ale nie na ostre krawędzie i dzioby. Cytryny leżały z rok ukryte głęboko, żeby nie ranić Sabiny, aż Wiola przypomniała sobie o nich, zmieniła im przeznaczenie z kamieni ozdobnych na amulety, powrzucała do malutkich ozdobnych saszetek i zaczęła dołączać do przesyłek jako gratisy.

- Sprytnie to wymyśliłaś! - ucieszyła się Sabina.

- Też tak myślę! - przytaknęła skromnie. - W końcu od roku mamy tytuł supersprzedawcy, a to zobowiązuje nie tylko do śrubowania sprzedaży, ale także do rozpieszczania klientów. Jak myślisz, zaczniemy kiedyś handlować brylantami i perłami?

- Brylantami handluje już Gadacki. Zapomniałam w kamień, twoja ulubiona gwiazda chyba ma kłopoty.

- Byłaś u niej? Zaniósłś te papiery? - Wiola ożywiła się wyraźnie.

- Papiery leżą w skrytce dobrze ukryte przed Bolkiem, ale i przed nią też. Ona chce mnie pokazywać w telewizji jako ofiarę Gadackiego. Nie z Gadackim takie numery, sama baba nie wie, w co się pakuje. Chociaż może teraz już wie. Jestem prawie pewna, że wszystkie fanty, które on wystawił na Allegro, należą do niej.

- Myślisz, że je ukradł?

- Na razie próbuje sprzedać. Okradnie ją dopiero z pieniędzy. Niech ona sobie gada, co chce o swojej wierności, ale tym razem zdradziła.

- Jest kochanką Gadackiego? - wykrzyknęła z niedowierzaniem Wiola.

- Nie znasz innej zdrady poza łózkową? Ja nie byłam jego kochanką, a też sprzeniewierzyłam się swoim najbliższymi. Gadacki lubił otaczać się znanymi ludźmi, a już aktorów upodobał sobie szczególnie. Można powiedzieć, że on i twoja ulubiona gwiazda kręcili się w tym samym tyglu, wśród tych samych znajomych. Wystarczy, że usłyszał o jej kłopotach i zaproponował pomoc w sprzedaży fantów. Jestem pewna, że najpierw dotarł do niej i w zamian za pomoc, wymógł coś, na czym jemu zależało. Z jej napomknięć wnioskuję, że zapachniała mu kariera polityczna. Najpewniej próbuje wcisnąć się do partii, w której działa mąż Artystki, ale nie tak po szczebelkach, tylko po znajomości. Nie chcę się mądrzyć, nie wiem, jak to się robi, podejrzewam natomiast, że z jakichś względów, ona ma go po dziurki w nosie. Ta kompromitacja, w której niby miałam uczestniczyć, to jej pomysł. Oj, głupia ona, głupia. Gadackiego nie spali, kolię straci i jeszcze mężowi się narazi.

- Biedna! - westchnęła współniczka.

- Można to tak nazwać - zgodziła się Sabina. - Chociaż jak mnie dzisiaj wyzywała od tchórzy, to wcale nie uważałam jej za biedną.

- Co on jej może zrobić?

Sabina wzruszyła ramionami.

- Zależy, jaką umowę zawarli. Jeżeli nie wzięła sobie prawnika, to w najlepszym razie dostanie za swoje fanty tyle co kot napłakał. W sumie i tak wyjdzie nie najgorzej.

- Tobie nie jest jej żal?

- Żal! - przytaknęła Sabina zdecydowanie. - Żal mi każdego, kto skrzyżował swoje losy z Gadackim. Na tego faceta nie ma mocnych. Jeżeli sobie założył, że będzie politykiem, to będzie wspomnisz moje słowa. A ona? Głową sięga chmur, jednak nie jest najgorsza. Serialowej Gwiazdki nie naciągnęła na pierścionek, mnie podarowała naszyjnik...

- A co z twoją pracą?

Sabina odsunęła delikatnie wzornik i całkiem nieoczekiwanie się uśmiechnęła.

- Pewnie się zdziwisz - powiedziała - ale mam zamiar gruntownie zmienić kwalifikacje. - Ze sprzątaniami całkiem nie zerwę, zostawię sobie Średnią Aktorkę i panią Magdę, obie zresztą zamieszane w handel biżuterią, a ja otworzę firmę albo dobieję do ciebie jako pracownik. Zastanowimy się, co będzie lepszym wyjściem. Muszę wreszcie pomyśleć o emeryturze i uwolnić się od wydziału zatrudnienia. Nie mogę w nieskończoność brać zwolnień lekarskich i migać się od sprzątanania ulic.

Wspólniczka poderwała się z krzesła z wyraźnym zamiarem pochwycenia Sabiny w objęcia. Powstrzymał ją dźwięk komórki. Telefonowała Wyniosła Artystka, która była jeszcze mniej wyniosła niż wczesnym popołudniem, a nawet całkiem pokorna, kiedy prosiła, żeby przeprowadzić ją krok po kroku przez zawile ścieżki Allegro. Sabina oddała słuchawkę wspólniczce, która nie dość, że siedziała przed komputerem, to jeszcze ten komputer miała w małym palcu. Sama wróciła do naszyjnika.

Wyniosła Artystka najwyraźniej nigdy nie robiła zakupów na Allegro, bo wszystko było dla niej nowością. Może się śpieszyła, może była zdenerwowana, bo kazała sobie powtarzać całkiem oczywiste rzeczy. Szczęśliwie dotarły do Wyrobów jubilerskich, wybrały jeden na chybił trafił i próbowały namierzyć LuGada. Wiola tłumaczyła cierpliwie, że na górze ekranu, pod słowem Allegro jest klawisz Szukaj, a obok ramka, do której trzeba wpisać el jak Ludwik. Sama też wpisywała, przytrzymując słuchawkę ramieniem. Artystce coś nie szło.

- A gdzie ma pani kursor? - spytała Wiola. - Kursor musi być w ramce.

Kiedy oddawała komórkę Sabinie, była czerwona z emocji. Sama już nie wiedziała, o czym najpierw chce mówić: o firmie sabi_wiol, draniu Gadackim czy biednej Artystce, więc nawijała o wszystkim naraz, dopóki znowu nie rozdzwonił się telefon.

- Mój syn przypomniał sobie, że ma matkę - mruknęła Sabina.

Niestety, nie zgadła.

- Gdzie jest ojciec? - spytał Janusz.

- Jak to, gdzie? - zdziwiła się Sabina. - A ty gdzie jesteś?

- Piąty raz dobijam się do mieszkania i nikt nie otwiera - powiedział z wyraźną irytacją.

Choć wcześniej Sabina bała się spotkania z synem, teraz nie myślała już, co on powie, co ona powie, nie dopięła kozaków ani kurtki, tylko popędziła na złamanie karku. Janusz czekał na dole przed drzwiami. Popsuty domofon nie stanowił bariery, więc bez trudu jeździł na górę i wracał na dół. Stał w świetle lampy barczysty, tęgi i tak obcy, że łyzy zakręciły jej się w oczach. Słowo „synku” całkiem do niego nie pasowało.

- Nie przywitasz się ze mną? - spytała.

Schylił głowę, musnął ustami jej rękę. Poklepała go delikatnie po ramieniu.

- Chodźmy na górę - powiedziała. - Może już wrócił, tylko nie otwiera drzwi.

Zawahał się i w tej swojej niezdecydowanej pozie wreszcie zaczął przypominać Bolka. Niezdecydowanie było pozorne. Był zdecydowany, a przede wszystkim zacięty i bardzo pamiętliwy. Dwu ostatnich cech nie odziedziczył ani po matce, ani po ojcu, może częściowo po babce.

- Gdzie on jest? Dlaczego mu nie oddawałaś telefonu, kiedy dzwoniłem?

- Chodźmy na górę! - powtórzyła, nie czekając na dalsze wymówki.

Niechętnie ruszy! za nią do windy.

Bolka nie było w domu. Sabina podciągnęła zamki w kozakach i dopięła kurtkę.

- Myślałam, że pojechaliście razem do miasta - powiedziała.

- Do głowy mi nie przyszło, że on zechce uciekać. Przebiegnę się po osiedlu, a ty możesz tu poczekać, a możesz iść ze mną. Ojciec nie mógł pójść daleko, piechur z niego żaden, więc kręci się gdzieś w pobliżu.

Wyszli razem. Czują jego mrukliwą obecność, która wcale nie dawała jej odwagi. Zaczęli obchodzić najbliższe bloki.

- Kiedy przyjechałeś? - spytała.

- Wczoraj wieczorem. Zatrzymałem się w hotelu.

Skinęła głową.

- Musisz zdać sobie sprawę z jednego - powiedziała. – Ojciec nie wyszedł na spacer, on uciekł przed tobą. Taka jest prawda, nic na to nie poradzę. Odkąd powiedziałam mu, że chcesz go zabrać do Irlandii, jest nieprzytomny ze strachu. Jego zawsze przerażało wszystko co nowe, więc trudno wymagać, żeby na starość się zmienił. To człowiek chory fizycznie i psychicznie. Rzuciłeś hasło „zabieram ojca” i dziwisz się, że on nie skacze z radości. Nic nie wiesz o naszym życiu, a próbujesz w nim mieszać – dokończyła ze smutkiem.

- To ty próbujesz pomieszać mi szyki, jeszcze raz pokazać, gdzie jest moje miejsce. Idę o zakład, że schowałeś ojca przede mną.

- To mi jeszcze powiedz, dlaczego miałabym to zrobić?

- Więc, twoim zdaniem, gdzie on jest?

- Też chciałabym wiedzieć.

- Ma jakichś przyjaciół, kolegów.

- Nie ma nikogo.

Dla pewności Sabina zajrzała do pubu. W salce ciemnej od dymu i śmierdzącej piwem hałasowały automaty, ale Bolka przy nich nie było. Nie miał przy duszy grosza, więc po co by siedział w pubie.

- Pierwszy raz byłem w domu o dziesiątej, teraz dochodzi osiemnasta, a to znaczy, że on od ośmiu godzin jest na nogach?

- Rano po prostu cię nie wpuścił, wyszedł krótko przed moim powrotem, bo jeszcze czajnik był ciepły. Wałęsa się od trzech, czterech godzin. Zmęczy się, to sam przyjdzie. Bilet masz już wykupiony?

- Zarezerwowany. Samolot do Dublina odlatuje przed dwudziestą, chciałem na niego zdążyć.

- Jeśli chcesz się spotkać z ojcem, to będziesz musiał odwołać rezerwację. Wracamy. Zjesz coś, napijesz się herbaty.

Obruszył się niecierpliwie. Nie chciał pić ani jeść, chciał zobaczyć się z ojcem i zabrać go do Irlandii.

- Nie strzepnę palcami i nie wyciągnę ci ojca z kapelusza. W końcu wróci do domu, bo gdzie pójdzie? No chodźże, nie zachowuj się jak obrażony dzieciak. Nie masz już pięciu lat.

Ruszyła przodem. W domu przypomniała mu o odwołaniu rezerwacji i zajęła się kolacją. Czasy, kiedy Bolek zniknął na dłużej, dawno

minęły, ale i wtedy nie szedł dalej niż do pubu. Trochę się niepokoiła, żeby nie złapał zapalenia płuc, bo zamrażać na ławce przy plusowej temperaturze raczej nie mógł. Nakryła stół obrusem, ustawiła talerz z kanapkami i drugi z gorącą kielbasą.

Janusz jadł z apetytem, ale nie zrobił się przez to rozmowniejszy. Jak ci tam? - Dobrze. - Dlaczego wyjechałeś ze Szwajcarii? - Tak się złożyło. - Podobno się ożeniłeś? - Tak. Ani jednego zdania rozwiniętego, ani jednej wyczerpującej odpowiedzi. Tak. Nie. Dobrze. I ani jednego pytania z jego strony.

- Odwiedziłeś może babcię?

- Nie.

- Na babcię też się gniewasz? Za co niby?

Spojrzał ze złością i odsunął talerz.

- Na mnie czas - powiedział. - Przekaż ojcu, jak już go przyprowadzisz do domu, że jutro wrócę. Nie tracę nadziei, że pojedzie ze mną.

- Jesteś pewien, że bez paszportu go puszczą?

- Myślałem... - wydawał się całkowicie zbity z tropu.

- Chwalisz się, wcale nie myślałeś. Wystarczył moment zastanowienia: po co człowiekowi, który nie rusza się z łóżka paszport? Nie spytałeś, nie dałeś nam czasu na wyrobienie, więc nie mów, że myślałeś. Pamiętasz, jak włamywałeś się z kolegami do samochodów na parkingu? Też wtedy podobno myślałeś. Jak podrabiałeś prawa jazdy, też myślałeś.

- Kiedy to było! - fuknął. - Chcesz mnie teraz rozliczać ze starych dziecięcych grzechów?

- A nie mam prawa? Ty mnie od jedenastu lat rozliczasz i ani razu nie powiedziałeś z czego. Twoje grzeszki czy raczej chuligańskie wybryki latałam, jak mogłam. Włos ci z głupiej głowy nie spadł, a powiniem. Ty mi nie umiesz darować, że skończyły się duże pieniądze, markowe portki i inne głupoty.

Zerwał się gwałtownie od stołu i stanął w oknie. Widziała załazek łysiny z tyłu głowy i szerokie plecy. Powtarzała sobie w myślach: „To mój syn” i jakoś trudno jej było uwierzyć, że ten obcy, nieprzejednany mężczyzna jest rzeczywiście jej synem. Odwykła nawet od myśli, że ma dziecko. Sama się nieraz zastanawiała, jak to możliwe. Kiedyś kochała

go bardzo, rozpieszczała, pobłażała wysokom, a od jedenastu lat, dokładnie od chwili porwania, wyrósł między nimi mur grubszy niż ten chiński.

- Wiem więcej niż ci się wydaje - powiedział, nie odwracając się od okna.

- Pewnie nawet więcej niż ja - zauważyła ze smutkiem.
- Wystarczająco dużo, żeby... - zawahał się i zamilkł.
- Żeby osądzić i ukarać bez dopuszczenia oskarżonego do głosu.

Odwrócił się od okna. Zamiast łysiny i pleców widziała teraz zimne niebieskie oczy. Nie mówił jak prokurator, głos miał beznamiętny, może nawet smutny.

- Nie chodzi o bankructwo. Bankructwo zrozumiałbym i wtedy, i dzisiaj, kiedy sam mam nie najlepsze doświadczenia. Ojciec nieraz wdychał, że kawiarnia zniszczyła nam rodzinę. To była prawda połowiczna. Nie miałem nic przeciwko kawiarni, ale rodzinę zniszczyłaś ty, nie kawiarnia. Musiało być bardzo źle, jeśli nawet ojciec stracił cierpliwość i chciał od ciebie odejść. Mówiłaś „kawiarnia”, a w podtekście był ten aktorzyzna, dla którego zapożyczyłaś się po uszy. Nie winię ojca, że znalazł sobie inną kobietę, może nie tak atrakcyjną, jak ty wtedy, ale taką, co by mu gotowała obiady i piekła ciasto. On chciał mieć dom, a ty chciałaś mieć aktora przeciętniaka, który cenil się wyżej niż ci z Hollywood, a przynajmniej dla ciebie okazał się bardzo drogi.

Sabina czuła, że krew odpływa jej z twarzy. Ucisk w żołądku groził przykrymi konsekwencjami. Z trudem przełknęła ślinę.

- Kto ci powiedział, że zapożyczyłam się dla jakiegoś aktora? Ojciec tego nie mógł wymyślić... - zastanowiła się moment.

- Gadacki?
- Jakie to ma znaczenie? - wzruszył ramionami.
- Kolosalne, bo nie ma w tym cienia prawdy.
- Co innego możesz teraz powiedzieć?

- O to chodzi, że teraz to już tylko prawdę. Odcierpiałam swoje i nie mam nic do stracenia. Powiedział ci wtedy, kiedy cię porwał?

- Nie. To było wcześniej. Sam do niego podszedłem na ulicy, żeby mu mordę obić. Wepchnął mnie do samochodu, chciał pogadać i pojechaliśmy do niego.

- Ojciec widział tę scenę przed kawiarnią i polecał cię ratować - dopowiedziała.

- Nie, ojciec próbował mnie ratować wtedy, kiedy rzeczywiście mnie porwali. Niepotrzebnie się tam wpakował, był osłabiony po operacjach i nie miał szans wygrać z goryłami Gadackiego. Zepchnęli go ze schodów i potem już w ogóle nie mógł chodzić. Ja miałem więcej fartu. Stłukli mnie mokrymi ręcznikami, skopali, ale udało mi się uciec. Pobiegłem... Zresztą nieważne.

- Ważne, tylko widzisz, ja tego przewidzieć nie mogłam. Prawdziwy Gadacki ujawnił się dopiero po bankructwie kawiarni. I co ci takiego powiedział, że zamiast mi powtórzyć, odwróciłeś się ode mnie i przez jedenaście lat nie stać cię było na jedno cieplejsze słowo? Wcześniej w potyczkach z kumplami też obrywałeś, mało to razy woziłem cię na cerowanie głowy, nogi, ręki? Powiedz mi wreszcie, co cię tak ruszyło. Miałam kochanka aktorkę, tak? To jeszcze nie byłaby zbrodnia. Ojciec też miał kogoś, jak mówisz.

- Naprawdę chcesz, żebym ci to wszystko jeszcze raz przypominał? Ja mogę, po jedenastu latach nie robi to na mnie wrażenia. Wtedy nie mogłem. Miałem w gardle kłębek kolczastego drutu.

- Mów, mów! Jeśli ty to zniesiesz, to i ja sobie poradzę.

- Nie porównuj się z ojcem. On miał dosyć życia z tobą i po prostu chciał odejść. A tobie były potrzebne wielkie pieniądze, już nie drobne manka w kawiarni, tylko wielki przemysł spirytusu. Marzył ci się wyjazd z Warszawy, nowe życie z aktorem, ale i z fortuną, bo nie miałaś już dwudziestu lat. Straciłaś na przemyśle i skończyło się wszystko, nie tylko marzenia o wyjeździe. Gadacki mi o tym powiedział przy pierwszej rozmowie, przy porwaniu go nie było. Tylko dwaj goryle. Kiedy mnie tłukli, kazali ci powtórzyć, że amory drogo kosztują i żebyś nie myślała, że wykręcisz się od płacenia.

Syn znowu odwrócił się do okna, a Sabina poczuła, że koszmar, z którego wychodziła, zaczyna się od nowa. Milczała. Każde jej słowo zabrzmiałoby jak nędzny wykręt, jak odwracanie kota ogonem. Janusz przez jedenaście lat przyzwyczał się do swojej prawdy i innej chyba nie chciał. Nie była mu do niczego potrzebna. Jej była, i to bardzo, tylko nie umiała skłecić prostego zdania. Odezwała się po dłuższej chwili:

- Do tej pory myślałam, że Gadacki okradł mnie tylko z pieniędzy, teraz widzę, że również z twojego zaufania. Dług fikcyjny, którego nawet nie zaciągnęłam, spłaciłam co do grosza. Gorzej z twoim zaufaniem. Nie wiem, co musiałabym zrobić, żebyś uwierzył mnie, a nie mojemu wrogowi. W twojej prawdzie nie ma ani słowa prawdy, może poza drobiazgiem o niewinnym flircie z aktorem. Nigdzie się z nim nie wybierałam, nawet mi to do głowy nie przyszło. Popęliłam w życiu mnóstwo błędów, i tak sobie myślę, że ktoś tam w górze całkiem niepotrzebnie zaplanował, że powinnam zostać świętą i za życia wszystkie grzechy odpokutować.

Janusz podszedł do stołu i oparł ręce na blacie krzesła.

- Tego dnia, kiedy ojciec miał wypadek, aktor był z tobą w samochodzie?

- Tak.

- Całowaliście się, widziałem. Stałem w oknie.

- Źle widziałeś. To były godziny szczytu, próbowałam zaparkować samochód, jak mogłam się całować? Płakał mi na ramieniu. Nie przeze mnie płakał, nie byłam dla niego aż taka ważna. Sam wypadek też widziałeś?

- Zobaczyłem samochód, wybiegłem z mieszkania, żeby odebrać od ciebie torbę. Kiedy znalazłem się przed domem, ojciec już leżał na jezdni.

Sabina chciała coś jeszcze dodać, ale gwałtowne pukanie do drzwi poderwało ją na równe nogi. Potem nie było już czasu na rozmowy. Oboje z Januszem musieli zjechać na dół, gdzie w piwnicy sąsiad znalazł zwiniętego w kłębek Bolka. Zanim namówili go do wstania, zanim wytaszczyli z piwnicy i zawieźli na górę, minęło sporo czasu. Bolek zachowywał się jak wielkie, wystraszone dziecko. Próbował udawać, a może i nie, że nie poznaje syna.

- Głodny jesteś? Zjesz coś? - dopytywała się Sabina, kiedy udało się ułożyć go w łóżku.

Janusz znowu stał w oknie. Widziała tylko jego plecy, a kiedy spojrzała w szybę, dostrzegła drżącą brodę. Jeżeli wciąż miał przed oczami ojca sprzed jedenastu lat, to rzeczywiście mógł przeżyć szok.

- Przyjdiesz jutro? - spytała już w przedpokoju.

Kiwnął głową, że tak. Podała mu klucze Bolka.

- Weź, przynajmniej będzie pewność, że znowu gdzieś nie ucieknie. Ja w soboty rano zawsze jeżdżę do babci. Wrócę koło pierwszej.

Znowu kiwnął głową. Nie miała mu za złe tego kiwania. Pewnie bał się odezwać, żeby nie zdradzić wzruszenia.

Bolek dygotał na łóżku bardziej chyba ze strachu niż z zimna. W piwnicy wykazał się przebiegłością i leżał pod kaloryferem, nie zdążył więc za bardzo zmarznąć. Usnął w końcu, a Sabina wzięła się do sprzątania stołu. Zerknęła na zegarek. Dochodziła dziewiąta, niesło ją do współniczki, gdzie czekała konkretna praca. Została jednak w domu, zrobiła sobie wolny wieczór dla rąk i bardzo pracowity dla głowy. Analizowała rozmowę z synem, wściekała się od nowa na Gadackiego, myślała też o Bolku. Patrzyła na śpiącego męża i zastanawiała się, jak wyglądała kobietą, która chciała mu gotować obiady i piec ciasto. Janusz powiedział, że nie była specjalnie atrakcyjna. Bolek w tamtych czasach też nie wyglądał jak Apollo. Roztył się na wartowniczym chlebie, zaniedbał treningi, więc trudno przypuszczać, żeby zawrócił w głowie kandydatce na miss. Był nieruchawy, ociężały, rzadko wychodził z domu, więc ta jego zdrada wyglądała mocno podejrzanie. Kiedy zdążył? Gdzie? Jakim cudem? W czasach kawiarni nie poświęcała mu zbyt wiele uwagi, więc może poczuł się odrzucony. Dziwne, ale bardziej przejęła się wiadomością, że Wieczny Amant miał gdzieś na boku piękną lekarkę niż zdradą Bolka. Mężowska zdrada, poza wielkim zaskoczeniem, nie obudziła w niej żadnych emocji. „Może to dlatego - myślała - że tamten wciąż pozostał dla mnie młody, że nie widziałam, jak się starzeje i ostatecznie stacza, a tego oglądam dzień w dzień i czasem aż mi niedobrze na jego widok. On jest częścią kary za grzechy, a z kim mam o karze dyskutować?”

Piątek. 13 maja, czternaście lat wcześniej

Sabina zapowiedziała, że o piętnastej, zanim w kawiarni zacznie się ruch, podrzuci do domu jakieś zakupy, żeby mąż z synem nie padli z głodu. Ani Janusz, ani Bolek nie rwali się do czatowania przed blokiem i przeczuwała, że jak zwykle sama zataszczy ciężar na górę. Jej mężczyźni

byli wyjątkowo nieskorzy do pomocy, widzieli w niej silną kobietę, która ze wszystkim sobie poradzi. Tak ich przyzwyczaiła i miała za swoje. Śpieszyła się, wybiegła z kawiarni i wtedy przyplątał się Wieczny Amant. Na tle nowiutkiej czerwonej toyoty wyglądał jak obraz nędzy. Opuścił ręce wzdłuż tułowia, zwiesił głowę i stał tak, jakby samym swoim wyglądem chciał powiedzieć: „Jakiego mnie Panie stworzyłeś, takiego mnie masz”. Przystojny, nieźle ubrany, lecz taki jakiś niedorobiony. Przynajmniej tak to widziała chłodnym wzrokiem kobiety, która już nie kochała.

- Co z tobą? - spytała, kiedy tak stał z opuszczonymi ramionami.
- Słyszałaś, żeby piątek trzynastego był kiedyś szczęśliwym dniem?
- Wyglądasz na faceta, który wszystkie szczęśliwe dni ma za sobą - powiedziała.

Władował się na przednie siedzenie, zanim uprzedziła go, że jedzie do domu. Obiecał wyskoczyć gdzieś po drodze i chyba natychmiast o tym zapomniał. Milczał uparcie. Był trzeźwy, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Wreszcie się ocknął.

- Muszę pryskać z Warszawy - powiedział. - Tu już dla mnie nie ma życia, chyba że w więzieniu. A moja ciekawość świata...
- Wiem, słyszałam! - ucięła. - Przecież Gadacki obiecał ci pożyczkę.
- Przed chwilą rozmawiałem z Gadackim o zaliczce na poczet pożyczki. - Głos mu się niebezpiecznie załamał. - Powiedział mi, że dla życiowych bankrutów nie ma litości. Nie pożyczysz ani teraz, ani potem, bo nie wierzy, że oddam. Oddałbym, przysięgam! Pogadaj z nim, może ciebie posłucha.

Sabina skupiła się na samochodach jadących przed nią. Zaczął się wielki ruch i nie mogła sobie pozwolić na nieuwagę. Trochę nią szarpnęło, kiedy usłyszała o pożyczce. Weszła do wódczanej spółki pod warunkiem, że Gadacki pomoże Wiecznemu Amantowi. Zapewniał wtedy, że pomoże i nic nie mówił o życiowym bankructwie.

- Pogadasz? - skamlał.

- Spróbuję - mruknęła poirytowana humorami współnika.
- Co ja bym bez ciebie zrobił - szepnął i nieoczekiwanie zaczął płakać.

Tulił się do niej i płakał. Bezszykownie go odsuwała, prosiła, żeby usiadł jak człowiek. Wjeżdżała już na parking i wcale nie cieszyła jej aż taka poufałość: głowa na ramieniu, ręka na karku. Przeszkadzał jak diabeł, kiedy wpasowywała się w ulubione miejsce, na wprost niewysokiego murku. Dokładnie za plecami miała okna swojego mieszkania. W ostatniej, dosłownie w ostatniej sekundzie zauważyła, że na ziemi, tuż przy murku, coś się poruszyło. Pijak nieborak z butelką w ręku ocknął się i zaczął raczkować. Gwałtownie cofnęła samochód. Za nią była ulica. Może nie najruchliwsza w innych porach dnia, lecz nie w godzinach szczytu. Mimo że cofnęła tylko odrobinę, usłyszała pisk opon i krzyk. Wskoczyła z samochodu. Kawałek za jej czerwoną toyotą, pod kołami pikapu, leżał Bolek. Nie potrafiła go, sam uskok, choć skok do szczęśliwych nie należał. Kierowca wzywał pomoc, ona uklękła przy mężu na jezdni i za nic nie mogła zrozumieć, dlaczego wyskoczył jej zza pleców niczym diabeł z kieliszka. Nieraz powtarzał, że jest mistrzynią parkowania za pierwszym podejściem, ale to mizerny powód, żeby pchać się pod samochód, który jeszcze jest w ruchu. Mało prawdopodobne, żeby aż tak bardzo palił się do dźwigania pakunków, więc najprawdopodobniej zachował się po swoim, czyli bezmyślnie. Wystarczył pijaczyna pod murkiem i nawet mistrzyni musiała się cofnąć. Pijaczyna przed autem i zapłakany facet w aucie, który dusił ją i utrudniał ruchy. Nigdy nie spytała Bolka, co zdołał zauważyć, podbiegając do toyoty, a nurtowało ją to bardzo. Dowiedziała się natomiast, co widział syn.

Przez dwie doby życie Bolka wisiało na włosku. Wieczny Amant uciekł i - o czym dowiedziała się wiele lat później - oplakiwał u przyjaciela swoje zmarnowane życie. Potem zniknął z oczu nie tylko Sabinie, tak więc nie musiała rozmawiać z Gadackim o pożyczce. Zresztą nie miała głowy do takich dyskusji. Po kilku dniach, kiedy celnicy podobno zatrzymali wódczany przemyt, całkiem inne rozmowy zaprzętnęły jej uwagę. Miała na głowie likwidację kawiarni, swoje bankructwo i ciężko chorego męża.

Z wypadku oboje wyszli mocno poszkodowani: mąż na ciele, ona na duszy. Jeżeli czegoś w życiu nie mogła sobie darować, to właśnie tego, że przyczyniła się do kalectwa Bolka. Nieumyślnie co prawda, ale gdyby nie pijaczyna... gdyby nie Amant... Jeżeli chodziło o wypadek, nie umiała się wyzbyć gdybania.

Sobota. Tydzień drugi

Sabina musiała jakoś matce powiedzieć o przyjeździe Janusza. Nie było to normalne, że jedyny wnuk wpadał do kraju po dziewięciu latach nieobecności i nie miał w planach spotkania z babką. Całą drogę myślała, jak wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji. Kiedy jeszcze Janusz był chłopcem, zdobyła niezłą wprawę w kryciu i tuszowaniu jego wyskoków, teraz jednak chłopcem już nie był, a i ona się zmieniła.

- Nareszcie jesteś! Myślałam, że już nie przyjdiesz! - powiedziała matka, ledwie Sabina przekroczyła próg.

- Czy ja kiedyś nie przysłam?

- Nie mów, nie mów, parę razy się zdarzyło.

Zaczerpnęła tchu, żeby pociągnąć dalej swoją ulubioną rozmowę. Sabina była szybsza.

- Janusz przyjechał. Obawiam się, że nie zdąży do ciebie wpaść - oznajmiła jednym tchem.

- Przyjechał? No cóż, zdążyć by zdążył, ale najpierw musiałyby chcieć babkę odwiedzić - powiedziała powoli matka. - No, chodźże, nie stój w przedpokoju, bo po nogach ciągnie. Sprzątanie dzisiaj sobie daruj, w końcu niecodziennie masz okazję syna oglądać. Rozpuściłaś go jak dziadowski bicz, to teraz się nie dziw, że za nic ma rodzinę.

- Jasne. Trzęsienia ziemi, powodzie i wszystkie plagi to też moja wina.

Matka ze zniecierpliwieniem machnęła ręką.

- Rozmawiałaś z nim, mówił coś o sobie?

- Niewiele. Wciąż się na mnie boczy. Wiem, powiesz zaraz, że zaśłużyłam sobie, ale... - urwała.

Matka patrzyła gdzieś ponad jej głową. Wyraźnie nie była w swoim normalnym, zaczepnym nastroju.

- To ci powiem innym razem - mruknęła. - Teraz ci powiem coś, czego się nie spodziewasz. Rozpuściłaś Janusza, Bolek próbował sobie z nim poradzić, ale nie umiał. Kiedy twój pożałowania godny interes z Gadackim skończył się wielką katastrofą, Janusz wpadł do mnie któregoś dnia napompowany złością jak balon powietrzem. Niechybnie rozmawiał z twoim równie pożałowania godnym współnikiem, bo sam by takich bzdur nie wymyślił. Nie pytaj, o czym gadał, bo nawet gdyby w tym gadaniu było ziarno prawdy, to smarkacz zapomniał o szacunku należnym matce. Próbowałam go uspokoić, ale nie szło, więc kazałam mu opuścić mój dom. W moim domu nawet mój wnuk nie ma prawa szkalować własnej matki. Ja ci mogę powiedzieć, że byłaś głupia, i mówię to wystarczająco często, syn nie. Jakiś porządek na tym świecie musi być.

- Mamo, ty mnie broniłaś?

- Broń Boże! Nie broniłam i nie bronię. Ja tylko nie mogłam pozwolić, żeby dziewiętnastoletni smarkacz wykrzykiwał pod adresem matki świństwa, które mu wepchnął do głowy Gadacki. Zresztą nawet gdyby to była prawda, to też nie takim tonem, nie z taką wściekłością. Rozpuściłaś go, ja ci to mówię. Więcej do mnie nie przyszedł. Nie wiem, po kim on odziedziczył zaciętość, naprawdę nie wiem, ale raptusem jest takim samym jak twój ojciec.

- Ojciec był uosobieniem łagodności! - wykrzyknęła Sabina,

- Nie byłaś jego żoną, to nie gadaj. Był raptusem. Ja może też trochę, ale ja jestem sprawiedliwa. Z Bolka to twój syn nic nie wziął, może poza zewnętrznym podobieństwem, a z ciebie? Bo ja wiem? Zacięta na pewno nie jesteś i wreszcie widzę u ciebie charakter. Z największych głupot się wyleczyłaś, tylko kiedy ty, dziecko, zdążysz zademonstrować swoją życiową mądrość, jeżeli pięćdziesiątka ci już stuknęła?

Sabina wracała od matki ze słojem pomidorówki i z mętklikiem w głowie. Ostatnie dni dostarczały jej mnóstwo tematów do przemyśleń, jednak ta rozmowa przebiła wszystkie. Myślała, że zna matkę na wylot, że jest w stanie przewidzieć, co za chwilę powie, jak zareaguje, a okazało się, że zaskoczyła ją nie mniej niż Wiola propozycją pożyczki. Zaczęła się poważnie zastanawiać, co tak naprawdę wie o ludziach, wśród

których żyje. Tramwaj nie sprzyjał koncentracji, więc odłożyła te rozważania na lepszą porę.

W domu zastała ożywionego Bolka i smętnego Janusza. Bolek demonstrował synowi, na czym polega podrzut. Oparł kulę na klatce piersiowej, po czym zwycięskim ruchem wybił ją do góry. Wyszło całkiem niezłe, bo aluminium to był ciężar w sam raz na jego siły.

- I co? - spytała Sabina. - Rozmawialiście o wyjeździe?

- Bez paszportu? Jak to sobie wyobrażasz? - wzruszył ramionami Janusz.

Pomyślała, że nie wzięłby ojca nawet z paszportem. W gruncie rzeczy Janusz, podobnie jak Bolek, nie lubił zmian. Bolek przyzwyczajał się do miejsc, Janusz do swoich poglądów. Zapamiętał ojca w miarę sprawnego i nie dopuszczał myśli, że coś się mogło zmienić. Ojciec-wrak przeraził go kompletnie. Przyjął za swoją opinię Gadackiego i nawet nie chciał jej zweryfikować. Odgrzała flaki, pokroiła bułki i ustawiła talerze na stole.

- Opowiesz nam trochę o sobie? - spytała.

- Nie ma o czym - mruknął.

- Choćby o żonie. Masz jej zdjęcie?

- Nie.

- Wiesz co, nadęty baranie? - powiedziała spokojnie, niemal czule.

- Moja bardzo mądra matka lubiła powtarzać, a pewnie i teraz powiedziałaby to samo, że rodzice nie mogą się obrażać na dzieci. Mają takie pociechy, jakie sobie wychowali. Przez dziewięć lat nie obrażałam się na twoje burczenie, łudziłam się, że nadejdzie chwila, pogadamy i wytłumaczymy sobie, jeśli nie wszystko, to choć trochę. Nadeszła ta chwila, o co spytam, słyszę: tak, nie, nie ma o czym i nie chce mi się z tobą rozmawiać. Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żebym wpajała ci zaciętość i uczyła cię takiej cholernej obojętności. Jedz spokojnie, jedz, nie wyrzucam cię z domu, ale następnym razem, jak zechcesz przyjechać do Warszawy, zatrzymaj się u Gadackiego.

- No co ty! - wykrzyknął Bolek. - Do rodziców przyjechał, gdzie go wysyłaś?

- Widzę, że przyjechał. Nakarmiłam, napiłam, teraz wracam do pracy. Nie przeszkadzajcie sobie, rozmawiajcie dalej.

Dopiero we wnęce kuchennej poczuła, że trzęsie się cała od środka. Bolek coś tam sztukował, dowcipkował i próbował rozruszać syna. Janusz wyszedł do przedpokoju, kiedy usłyszał, że matka zaczyna się ubierać.

- Co właściwie jest z ojcem? - spytał,

- To, co widać, plus kilka innych chorób. Siadły nogi, siadła głowa.

- A lekarze co mówią?

- Zapisałam go na operację w klinice, odczekaliśmy trzy lata w kolejce, z trudem dał się zawlec i po dwóch godzinach wyszedł na własne żądanie. Prywatnie nie ściągnę mu specjalisty, a zanieść go nie mam siły.

- Jak ty to wytrzymujesz?

- Normalnie. Wciąż jest moim mężem i nie wyrzucę go na ulicę ani nie zamknę w przytułku. Tu jest jego dom.

- Nie chciałbym, żebyś zrozumiała mnie źle - powiedział - ale mnie też jest trudno, minęło tyle lat, nie umiem się odnaleźć wśród was.

- A u siebie w domu się odnajdujesz czy też burczysz żonie? - uśmiechnęła się przelotnie. - Nie popełniaj błędu swojego ojca, kobiety lubią czułość, nawet te bardzo silne. I przyjmij do wiadomości, że czasem możesz się mylić. Prawda niby jest jedna, lecz każdy co innego w niej widzi. Zostajesz do jutra?

Pokręcił głową. Udało mu się przełożyć wyjazd i wylatywał wieczorem. Chciał jeszcze odwiedzić znajomych, więc zaczął się ubierać.

Pożegnanie z ojcem wypadło dość niezręcznie. Bolek dygotał na całym ciele, nie mógł zapanować nad głową ani rękami. Przepraszał bełkotliwie, że jeszcze tym razem nie pojedzie, że następnym to już na pewno.

- Wiem, tato, wiem - powtarzał Janusz. - Wytłumaczyłeś mi, dlaczego nie możesz jechać, ja to rozumiem. Wszystko w porządku, tato, rozumiem.

Z widoczną ulgą wyrwał się z objęć roztrzęsionego ojca. Dopadł do windy, zanim Sabina zdążyła zamknąć drzwi mieszkania. Bała się, że nie zechce na nią poczekać, zjedzie sam i wtopi się w mrok, nie mówiąc nawet do widzenia. Czowała, że nieprędko go zobaczy, jeżeli w ogóle jeszcze

kiedyś. Poczekał jednak i zjeżdżali razem.

- Co ci ojciec naopowiadał? - spytała. - Dlaczego nie mógł jechać?
Sporządził na nią spode łba i spuścił głowę.

- Zadajesz bardzo niewygodne pytania - mruknął.

Zatrzymali się w tym samym miejscu, co poprzedniego dnia.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział na pożegnanie Janusz. - Może przez telefon łatwiej będzie rozmawiać.

- Może - przytaknęła.

Pocałował ją w rękę, trochę mniej zdawkowo niż przy powitaniu, jednak bez specjalnej czułości. Zastanawiała się, czy gdyby go objęła, przytuliła, odwzajemniłby uścisk czy raczej odskoczył jak oparzony. Bała się zaryzykować i chyba nie czuła takiej potrzeby. Odpychał ją, odgradzał się murem, więc z niej też uleciała dawna serdeczność. Poczekała aż skręcił, zniknął jej z oczu i zamiast do współniczki pobiegła w głąb osiedla, żeby choć chwilę powłóczyć się bez celu, uporządkować myśli. Nie tyle żał jej było burkliwego-go faceta, który dobijał do trzydziestki i miał w nosie matkę, ile tamtego dziesięcioletnia, który został sam z kłamliwą i niepotrzebną mu wiedzą. Tamtego przytuliłaby nawet, gdyby się bronił. A Gadackiego gotowa była własnoręcznie obeдрzeć ze skóry.

Niedziela. Tydzień drugi

Co prawda w niedzielę Sabina nie spodziewała się żadnych telefonów, jednak na wszelki wypadek, przed wejściem do świątyni, wyłączała komórkę, a po wyjściu zawsze sprawdzała, czy rzeczywiście nikt jej nie szukał. I wreszcie ostrożność została nagrodzona. Wyniosła Artystka chciała z nią rozmawiać akurat w czasie mszy. Sabina nie spodziewała się wielkich rewelacji, ale pierwsze słowa kompletnie ją zaskoczyły. Usłyszała „Przepraszam” i „Pani Sabino”. Z wrażenia potknęła się i o mały włos nie upadła jak długa na śliskich płytkach. Zgodziła się na przejazd i obiecała poczekać na przystanku. Nie było wątpliwości, o czym, a raczej o kim, będą rozmawiać, bo przecież nie o aktorskich kreacjach gwiazdy.

Od gry aktorka miała swoich ekspertów, Sabina natomiast była dla niej ekspertką w dziedzinie, dającej się zamknąć jednym słowem: „Gadacki”. Od dwu dni Sabina gotowa była zabić potwora własnoręcznie, ale zabić, a rozdrażnić to nie to samo. Nadal nie chciała się mieszać w żadną aferę, a zwłaszcza w publiczne opowiadanie o doznanych krzywdach.

Wyniosła Artystka nie kazała na siebie długo czekać. Podjechała pięknym czarnym bmw i zabrała Sabinę na Bemowo, do mieszkania, które wciąż było w remoncie.

- Straszny tam jeszcze rozgardiasz - tłumaczyła - ale przynajmniej nikt nam nie będzie przeszkadzał. A przy okazji zobaczy pani miejsce swojej nowej pracy.

Sabina miejsce zobaczyć mogła, nawet chętnie, lecz co do pracy nie wyprowadzała Artystki z błędu. To nie była dobra pora na takie rozmowy. Rozglądała się ciekawie po osiedlu i nawet była lekko zdziwiona, kiedy auto zatrzymało się przy furtce niewielkiego skromnego domu. Wewnątrz pachniało drewnem i mokrymi murami. Usiadły na deskach, które już niedługo miały być podłogą.

- Sprawa jest delikatna i dla mnie bardzo niezręczna - zaczęła Artystka. - Dłatego niezręczna, że mąż o niczym nie wie i nie powinien się dowiedzieć. Chodzi o kolię wystawioną na Allegro. Gadacki obiecał mi za nią trzy tysiące, a sam wystawił za osiemnaście. Czy pokrzyżuję mu plany, jeśli wcisnę guziczek Kup teraz? Musiałby mi oddać kolię, prawda?

- O, matko! Chyba pani tego nie zrobiła? - spytała przerażona Sabina.

Artystka zdecydowanie pokręciła głową. Nie zrobiła, bo najpierw chciała się upewnić. Sabina westchnęła z ulgą.

- Żeby dostać licytowany przedmiot - tłumaczyła - trzeba przelać na konto właściciela pieniądze. To chyba nierozsądne, żeby płacić za coś, co jest pani własnością. On pani obiecał te trzy tysiące czy dał?

Pytanie musiało być dość niewygodne, bo Artystka zaczęła się kręcić, poprawiać deski, które wcale poprawiania nie wymagały, w końcu przyznała, że sprzedała kolię za trzy tysiące. Na tyle wycenił ją jubiler.

- Niemożliwe! Z tego, co widziałam na zdjęciu, oraz z opisu wynika, że powinna kosztować dużo więcej. Złoto, platyna, brylanty, stara robota, co najmniej piętnaście tysięcy.

- Zna się pani na prawdziwej biżuterii? - zdziwiła się Artystka.

- O tyle, o ile. Mój ojciec się znał, a ja u niego trochę praktykowałam. Była pani u jubilera osobiście? - dociekała Sabina.

- Gadacki wziął na siebie wycenę, za którą zresztą zapłacił. Trochę mnie poniosło ze sprzedażą, nie powinnam tego zrobić. Niechby lepiej podłogi poczekały. Rzadko wkładałam tę kolia, leżała sobie w pudełku i dalej by leżała... Skąd mogłam wiedzieć, że będzie potrzebna. A teraz mam kłopot. Widzi pani, to jest tak. Pewne ugrupowanie polityczne, młode jeszcze, ale bardzo prężne, szuka twarzy, która by je reprezentowała. Żadne tam panienki na mercedesach, nic z tych rzeczy. To są w większości ludzie dużego biznesu, zamożni, energiczni, więc chcą udowodnić wyborcom, że luksus jest w zasięgu ręki każdego obywatela. Twarz partii ma być kwintesencją elegancji. Perfekcyjny makijaż, nobliwa fryzura, brylanty. .. Jednym słowem chcą, żebym to była ja. Mój pan, to znaczy mąż, najpierw chciał, potem nie bardzo, a teraz znowu chce, więc będzie mi potrzebna kolia. Nie wiem, co mam robić. Gadacki zaklinał się, że już ją sprzedał. Na otarcie łez podarował mi te fioletowe kamyczki. Dopiero pani powiedziała, co i jak. Wyszło sztydło z worka: oszukał mnie, właściwie okradł.

- Na to wychodzi - przytaknęła Sabina. - Okradł panią świadomie i z premedytacją, bo on nieźle się zna na biżuterii. Dawała mu pani jakieś pokwitowania? Może zawarliście umowę kupna-sprzedaży? - spytała.

- Na trzy tysiące? Nie to była transakcja z ręki do ręki. Przed próbą przyniósł mi do teatru pieniądze, pokazał wycenę i nawet kolii nie wyciągał z teczki.

- Ktoś widział, jak rozmawialiście?

- W holu było pusto. Jakby chciał zdzielić mnie w głowę, to by zdzielił.

- Mówiła pani komuś o sprzedaży?

- Mówiłam o sprzedaży ziemi, szabli, to mogłam wspomnieć o kolii, ale to było takie sobie gadanie.

Przez chwilę obie milczały. Serce Sabiny waliło tak mocno, że gdyby Artystka mniej była zajęta swoimi kłopotami, z pewnością usłyszałyby ten łomot. W uszach, w sobie Sabina miała jedno słowo: okazja! Nie-wiarygodna, niespodziewana okazja! Wcześniej nie szukała zemsty, nie miała na nią siły ani odwagi, teraz jednak, kiedy Gadacki tak się roz-zuchwilił, że stracił czujność i sam wystawiał tyłek do uderzenia, poczuła w sobie wielką ochotę, żeby uderzyć. Silnie, ale mądrze, nie jak owieczka, tylko jak lisica. Musiała jednak zdobyć pewność, że i naj-większemu oszustowi czasem zdarzają się wpadki.

- Gadacki bywał u państwa w domu? - dążyła, coraz bardziej prze-jęta.

- Dwa, może trzy razy przychodził do mojego męża w sprawach... partyjnych, inaczej tego nie nazwę. Chyba zależało mu na wkręceniu się do władz, bo członkiem już był. Próbował się wykazać, chciał nawet coś finansować. Ktoś szepnął, że to aferzysta, panowie zaczęli go trochę przeświećlać i podziękowali za współpracę. Mężczyźni w takich spra-wach są dużo bystrzejści od kobiet, ich nie tak łatwo wyprowadzić w pole. Kiedy sprzedawałam mu kolia, nic jeszcze nie wiedziałam o jego nieuczciwości. Przeciwnie, sprawiał wrażenie człowieka bezinteresow-nego, który próbuje pomóc z czystej życzliwości.

- To oblicze Gadackiego też znam - mruknęła Sabina. - Jak można udowodnić, że kolia jest pani własnością?

- Była - sprostowała Artystka.

- Jest! - powtórzyła Sabina. - Ma pani jakiś certyfikat, może zdję-cia.

- Oczywiście. Jeżeli tylko zdjęcia są wiarygodnym dowodem, to łącznie z portretem mam ich kilkanaście. Na zdjęciu portretowym wi-dać każdy najdrobniejszy szczegół. Myśli pani, że jest jakieś wyjście z tej niezręcznej sytuacji?

Sabina zaczerpnęła powietrza, żeby nie udusić się na amen.

- Całkiem proste - powiedziała. - Kolia jest wciąż pani własnością, a jeżeli, z jakichś niewyjaśnionych powodów, znalazła się u Gadackiego, to znaczy, że on ją ukradł, będąc gościem w państwa domu. Trzeba zgłosić kradzież na policji, i to jak najszybciej, dopóki jeszcze jest do-wód na Allegro.

- Tak całkiem dokładnie to on jej nie ukradł - zawahała się Artystka.

- Ja też nie pożyczyłam od niego pieniędzy, a wyrwał mi pół miliona. Panią okradł gdzieś na piętnaście tysięcy. Te trzy dołożył już od siebie, żeby grosza nie stracić i odzyskać to, co wypłacił pani.

- Nie jestem przekonana, czy to będzie takie całkiem etyczne? - Artystka uniosła brwi i patrzyła na Sabinę, jakby wciąż jeszcze się wahała. W jej oczach wahania już nie było. Powoli chwyciła, o co chodzi.

- Mogę panią zapewnić, że tego słowa Gadacki nie zna. Z ludźmi trzeba rozmawiać językiem, jaki rozumieją. Oczywiście nie przyzna się pani do żadnej sprzedaży i nie odda ani grosza z tych trzech tysięcy.

- Czyli co? - spytała Artystka już całkiem rzeczowo. - Wracam do domu, wchodzę na Allegro i podnoszę krzyk, że moja kolia jest wystawiona na sprzedaż. Mąż zdenerwuje się, że rozrzucam biżuterię po całym domu, bo często się denerwuje, ale policję zawiadomi, jestem tego pewna. Z policją sobie poradzę.

- Samo oskarżenie to za mało. Trzeba go zaskoczyć, wytrącić argument, że on pośredniczy, a kolia jest u pani. Potrzebny jest nabywca. Przy takiej cenie nikt nie kupuje kota w worku, więc musi się znaleźć ktoś, kto weźmie kolię do ręki i porówna z pani zdjęciami.

- Myśli pani, że policja nie będzie wiedziała, jak to rozegrać? - zdziwiła się Artystka.

- Myślę, że Gadacki ma swoich przyjaciół wszędzie tam, gdzie powinien mieć, więc czujność nie zawadzi.

- Dobrze - kiwnęła głową. - Będę to miała na uwadze.

- I jeszcze jedno - Sabina zawiesiła głos. - Nie chciałabym być źle zrozumiana, ale to jest...

- Tajemnica do grobowej deski, chciała pani powiedzieć? Wiem. W zasadzie nie mam wielu tajemnic przed mężem, jednak tym razem nie mogę mu powiedzieć prawdy. Kolia jest prezentem od jego matki, pani rozumie? Pojęcia nie mam, co mi strzeliło do głowy... No to się Gadacki zdziwi! - powiedziała z satysfakcją. - Muszę tylko uważać,

żeby nie przeszarżować. Umiar, zażenowanie, że ktoś, kto był gościem w domu... Niedowierzenie i prawda, która poraża.

Była wspaniała. Mówiła i przeżywała, a Sabina nie miała wątpliwości, że to będzie znakomita kreacja wielkiej Artystki, o ile w ostatniej chwili nie odezwą się jakieś skrupuły. Na razie nic na to nie wskazywało. Wydawała się bardzo ożywiona i uspokojona. Uparła się, że musi Sabinie pokazać dom. Piętro już było prawie wykończzone. W pustych pokojach głos odbijał się od ścian i dudnił jak w beczce.

- Chciałam panią o coś spytać - powiedziała Sabina cicho, choć zabrzmiało głośno. - Czy pani wspominała coś Gadackiemu o mnie, choćby przypadkiem.

- Nie! - zaprzeczyła energicznie. - To znaczy o pani nic, ale zadzwonił któregoś dnia i spytał, jak mi się podoba naszyjnik z tych fioletowych kamyczków. Wkurzyłam się, bo co to za wypytywanie? Powiedziałam, że... Powiedziałam, że podarowałam go swojej gosposii i ani słowa więcej. Czemu pani pyta?

- Tak na wszelki wypadek - odpowiedziała Sabina. - Nie chciałabym, żeby nas skojarzył.

- Nie skojarzy - zapewniła Artystka.

Sabina nie podzielała tej pewności, jak również nie była przekonana, czy Gadacki rzeczywiście uwierzył w Anetę Sabiszewską. Węch to on miał lepszy niż niejeden pies gończy, chyba że na starość zaczął zatracać instynkt rasowego oszusta. Jedna jaskółka nie czyniła jeszcze wiosny, ale była zbyt przejęta, żeby się zadreć na zapas.

- Czy to możliwe, aby Gadacki wyrażał się o żonie per wywłoka? - spytała Artystka już w samochodzie. - Tak mówiła ta kobieta, która do mnie dzwoniła.

Sabina nieoczekiwanie się uśmiechnęła. Artystka, podobnie jak ona kiedyś, najpierw dała się zwieść pozorom, a potem wykołować.

- W czasach, kiedy go znałam, mówił o kobietach „pipy”, oczywiście w prywatnym gronie, gdzie nie musiał nic udawać. Możliwe, że z biegiem lat pipy zmieniły się w wywłoki, w końcu wszyscy się starzejemy.

- No to się Gadacki zdziwi! - powtórzyła Artystka. – Dołożę mu za panią, za wszystkie pipy i wywłoki, no i za siebie.

Sabina z całych sił życzyła jej powodzenia. Gdyby była bardziej odczytana i obeznana z teatrem, powiedziałaaby, że stworzyła właśnie klasyczną komedię, w której sprytna subretka broni skóry swojej pani, a przy okazji sama na tym coś zyskuje, choćby drobną satysfakcją, że przy odrobinie szczęścia nawet największemu krętaczowi można się dobrać do skóry.

Poniedziałek rano. Trzeci tydzień.

W poniedziałek na Nowolipkach zaczął się remont. O jedenastej rano Sabina pojechała razem ze współniczką do banku, a potem, nie bez kłopotów, pospłacała resztę lichwiarskich pożyczek. Te dziwne kasy nie lubiły klientów, którzy w zębach przynosili cały dług. Taki klient to była wyraźna strata na karach, ponagleniach i upomnieniach. W końcu się udało. Wlokły się z przystanku noga za nogą. Wprawdzie w domu czekały kamienie na nowe naszyjniki, jednak dzień był pogodny i po raz pierwszy od dłuższego czasu pokazało się słońce. Sabina szła wyprostowana, bez rezygnacji wypisanej na twarzy. Wszak przygarbione plecy i rezygnacja zwykle chodzą w parze.

- Jutro żegnam się z Serialową Gwiazdką, w piątek z teściową Znanego Aktora, a w czwartek z Wyniosłą Artystką - powiedziała. - Słowo się rzekło, zaczynam pracować na rzecz naszej firmy.

- Myślisz, że Artystce uda się usadzić Gadackiego? - spytała Wiola, jedyna osoba dopuszczona do tajemnicy.

- Usadzić? - roześmiała się Sabina. - Za dużo powiedziane. Artystce ani jej mężowi nie będzie zależało na rozgłosie, tylko na kolid. Gadacki do więzienia nie pójdzie, straci raptem trzy tysiące, a do słowa „złodziej” dawno się przyzwyczaił. Wiesz, co dla niego będzie najgorsze? To, że zlekceważył przeciwnika i dał się przechytrzyć kobiecie. Rozcho-ruje się ze zgrzyoty, a to już coś.

Nie zdążyła nic więcej dodać, bo rozdzwonił się telefon, a na ekraniku pojawiło się pieszczotliwe zdrobnienie: JANUSZEK. Pomyślała, że nie da sobie popsuć pięknego dnia bez względu na to, co syn ma jej

do powiedzenia. Początkowo wyglądało na to, że miał niewiele. Dojechał, był u siebie, cedził słowa, ale najwyraźniej coś go gniotło.

- Pytałaś w windzie, pamiętasz, dlaczego ojciec nie chciał jechać.

- Pamiętam.

- Pomyślałem, że powinnaś to wiedzieć, że to może mieć jakieś znaczenie - dukał. - Otóż powiedział, że nie może ciebie zostawić. Wtedy, kiedy zdecydował się odejść i chciał ostatecznie z tobą zerwać, wpadł pod samochód. Uważa, że wypadek był dla niego karą za zdradę.

Sabina westchnęła ciężko. Jeżeli o nią chodziło, dosyć miała kar za własne grzechy, nie musiała dźwigać jeszcze Bolkowych, ale tego już nie chciała synowi mówić. Nie opuściła ramion, nie zwiesiła głowy. Wychodziła z dołka, i to było najważniejsze.